• Dokumenty: Plan „Barbarossa" • „Żółty kubek" – afera w hotelu „Centrum" • Ludzie z rudery • Rozmowa z Andrzejem Majem i recenzja z „Oziminy" wg. Berenta • Pasożyt to ma klawe życie

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

Trwa pielgrzymka Jana Pawła II po Polsce NUMER 26 (1317) ROK XXVI 25 CZERWCA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

Korespondencja z Paryża str. 6

Inżynier od hieroglifów

PAWEŁ TOMASZEWSKI

„Historię pisma należy zatem uznać za jedną z ważniejszych, a może nawet najważniejszą dyscyplinę historii, za klucz do dziejów rozwoju intelektualnego człowieka" — David Diringer

W 1936 roku w Burlington House w Londynie zorganizowano wielką wystawę z okazji 50-lecia Brytyjskiej Szkoły Archeologicznej w Atenach. Sir Arthur Evans wygłosił wykład na temat swoich prac wykopaliskowych w Knossos na Krecie, prowadzonych na przełomie stuleci. To właśnie wtedy znalazł on m. in. wiele przedmiotów — głównie glinianych tabliczek — pokrytych znakami tajemniczego pisma, które nazwał minojskim. Wyodrębnił też trzy jego rodzaje: pismo hieroglificzne, pismo linearne A i linearne B. Czwarty rodzaj pisma odkrytego na wyspie znany jest z jednego tylko zabytku — glinianego dysku o średnicy około 15 centymetrów, znalezionego w 1908 roku przez włoskich archeologów w Fajstos.

Jednym ze słuchaczy wykładu Evansa był 14-letni syn angielskiego oficera i Polki, Michael Ventris. Dla zafascynowanego starożytnością chłopca było to duże i ważne przeżycie. Ważne, gdyż postanowił wówczas, że dokona tego, co nie udało się samemu sir Arthurowi, a także wielu innym wybitnym archeologom i lingwistom — rozwiąże zagadkę owych pism.

Po latach żmudnych badań 30-letni architekt, Michael Ventris poinformował świat naukowy, że z pomocą językoznawcy Johna Chadwicka zdołał odczytać pismo linearne B. Była to prawdziwa sensacja.

Mimo iż przez lata nie wszyscy chcieli zgodzić się z wynikami prac Ventrisa, dziś jego nazwisko stawiane jest obok Jean Francois Champolliona, który zgłębił sekrety egipskich hieroglifów, czy Georga Friedricha Grotefenda i sir Henry'ego Rawlisona, dzięki którym przemówiły tabliczki z pismem klinowym.

W 1958 roku ukazało się w Polsce tłumaczenie książki pt.: „Zapomniane pisma i języki", do której autor, J. [illegible]ch, niemal w ostatniej chwili przed rozpoczęciem druku dołączył rozdział poświęcony wielkiemu

Uczynić z marksizmu ideologię atrakcyjną

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Organizatorami niedawnej centralnej konferencji naukowo-ideologicznej z okazji setnej rocznicy śmierci i 165 rocznicy urodzin Karola Marksa byli: Wydział Ideologiczny KC PZPR, Instytut Podstaw Marksizmu-Leninizmu przy KC, WSNS oraz redakcja „Nowych Dróg". Na sesji tej wygłoszono 7 interesujących referatów naukowych. Żywa, polemiczna dyskusja bardzo wzbogaciła dorobek tego potrzebnego i na czasie zorganizowanego forum dyskusji nad stanem badań marksistowskich w naszym kraju.

Nader często, zarówno w referatach, jak i w toku dyskusji odwoływano się do znanej, choć czasami ignorowanej tezy K. Marksa głoszącej, iż to ludzie tworzą własną historię, ale nie tworzą jej w sposób dowolny, lecz w oparciu o warunki i okoliczności zastane. Przypomniano, że niedostateczne uwzględnianie tej prawdy przez praktykę polityczną prowadzi w prostej drodze do woluntaryzmu lub utopii. Liczne tego dowody nietrudno znaleźć w naszej niedawnej przeszłości. Stąd, jak podkreślił sekretarz KC PZPR, prof. dr **Marian Orzechowski**, „przyszłość socjalizmu w naszym kraju musi wynikać z tego marksistowskiego determinizmu".

Do naszych trudnych i niewolnych od błędów doświadczeń odwoływano się w toku dyskusji jeszcze kilkakrotnie. Podkreślano przy tym, iż to, że socjalizm w Polsce ostał się pomimo trudnych lat 1944—1948, pomimo czerwca, grudnia i sierpnia, to nie jest tylko sprawa tzw. geopolitycznych uwarunkowań, ale przede wszystkim jest to dowód na to, że socjalizm pomimo błędów i niedostatków jest ustrojem akceptowanym przez znakomitą większość Polaków. Mówienie jedynie o geopolitycznym determinizmie jako swoistej gwarancji przyszłości socjalizmu w naszym kraju jest „grzechem" na dialektyce marksistowskiej, jest niczym innym jak „podrzucaniem" przeciwnikowi wrogich nam argumentów.

Podobnie niebezpiecznym jest unikanie w ocenie aktualnej sytuacji w kraju analizy klasowej. Lekceważąc podejście klasowe do zjawisk naszej pogmatwanej rzeczywistości traci się z pola widzenia różnice interesów, a więc i rzeczywiste granice podziałów społecznych, prawdziwe źródła konfliktów. Społeczeństwo bezklasowe, tzw. państwo ogólnonarodowe to — jak podkreślano — bardzo odległa przyszłość. A będzie jeszcze odleglejsza, jeśli nie będzie się dostrzegać lub bagatelizować aktualnie występujące w naszym społeczeństwie podziały, sprzeczności i różnice interesów.

Aby właściwie, prawidłowo prognozować i programować przyszłość należy przywrócić rzeczywisty sens **„odkrywaniu marksizmu-leninizmu jak gdyby od nowa"** — powiedział prof. dr M. Orzechowski. — **„jest to niezbędne m. in. dla określenia dalszej drogi budownictwa socjalizmu w Polsce, ale też i dla poznania doświadczeń, osiągnięć i błędów w okresie Polski Ludowej (...). Trzeba z teorii marksizmu-leninizmu uczynić ideologię atrakcyjną, ideologię przyszłości".**

Do tego wątku wypowiedzi nawiązał m. in. prof. **J. Wiatr**, stwierdzając, iż istnieje w naszych badaniach poważny niedostatek marksistowskich, pogłębionych analiz przyszłości socjalizmu, w skali globalnej, jak również szczegółowej, tzn. w warunkach polskich. Istnieje również pilna potrzeba uszczegółowienia ogólnych koncepcji do konkretnych warunków, czasu, miejsca i ich specyfiki. Przy czym niezbędny jest autentyczny, bieżący związek badań i dociekań naukowych z praktyką, z polityką partii.

Prof. J. Wiatr w swojej wypowiedzi nawiązał również do doświadczeń niedawnej przeszłości. W poszukiwaniu odpowiedzialności za aktualny, kryzysowy stan budownictwa socjalistycznego w naszym kraju formułowana jest często jednostronna zasada tej odpowiedzialności, tj. teza o wyłącznej odpowiedzialności praktyki za to, do czego dziś doszliśmy. Nie umniejszając rzeczywistych rozmiarów błędów polityków — powiedział prof. J. Wiatr — należy również pamiętać o innego rodzaju odpowiedzialności, a mianowicie o roli i odpowiedzialności teoretyków tego systemu, którego praktyka polityczna była wyrazem, dowodem. Prof. J. Wiatr przypomniał, iż istnieje bowiem jeszcze coś takiego, jak społeczna odpowiedzialność twórców konstrukcji pseudoteoretycznych, które z marksizmem niewiele miały wspólnego, a którę praktykę błędów i wypaczeń nadbudowywały, szły w parze z woluntarystycznymi decyzjami strategicznymi, aż z czasem stały się ich apologetyką.

W tym miejscu dyskusji w szeregu wypowiedziach pojawiło się pytanie o to, czy istniały jak dotąd w naszym kraju warunki dla ułożenia właściwych stosunków pomiędzy teorią a praktyką? Czyż czego innego głównie, jak nie apologetyki posunięć poszczególnych ekip kierowniczych przez naukę nie wymagano?

Kolejnym dyskutowanym problemem było pytanie o to, czy faktycznie mamy do czynienia, jak to imputują nasi przeciwnicy, z kryzysem marksizmu?

Jak wielokrotnie podkreślano, pod twierdzeniem takim kryje się zarówno atak na marksizm, jako sposób naukowej interpretacji świata, jak i próba dyskredytacji marksizmu, jako ideologii klasy robotniczej.

W referatach, jak i szeregu wypowiedziach w trakcie dyskusji można było odnaleźć liczne dowody zarówno na aktualność, jak i atrakcyjność marksizmu. Ale, jak to podkreślano z naciskiem, wiedza o tym, znajomość ideologii marksistowskiej ogranicza się w znacznej mierze jedynie do kręgów profesjonalistów, badaczy -teoretyków. Wciąż zbyt mało czyni się dla popularyzacji marksizmu-leninizmu w naszym kraju. W świadomości polskiej klasy robotniczej nie dominuje bynajmniej marksistowskie poznawanie i rozumienie współczesnego świata. Wiele wciąż pozostawia do życzenia poziom wykładania marksizmu na uczelniach wyższych.

Marksizm, jako ideologia oraz jako sposób naukowej, a zarazem klasowej interpretacji współczesności, ograniczył swoje wpływy na świadomość polskiej klasy robotniczej. Stało się to za przyczyną błędów i niedostatków poprzednich okresów. W tym znaczeniu, jak to podkreśliło kilku dyskutantów, możemy mówić o czymś w rodzaju „kryzysu marksizmu" w naszym kraju.

Jednym z zaniedbań w tym zakresie jest brak zaangażowanych, na wysokim poziomie merytorycznym i intelektualnym prowadzonych polemik z przeciwnikami marksizmu i jego wszelakiej maści „poprawiaczami". Taka sytuacja była zawsze podatnym gruntem dla rewizjonizmu. A jeśli do tego dodamy poważne rozchwianie i zagubienie ideowe niektórych członków partii, to uzmysławiamy sobie jak szczególnie pilne i trudne czekają nas zadania w sferze ideowego oddziaływania.

W tym miejscu wyrażono pogląd, iż zadania te zostaną sprecyzowane na najbliższym ideologicznym posiedzeniu KC PZPR.

Znaczącym nurtem w dyskusji były kwestie wywołane w wystąpieniu prof. **Jerzego Muszyńskiego**, a dotyczące etapów rozwoju budownictwa socjalizmu. Przypomniał on, iż od IV Zjazdu PZPR zaniechano używania terminu dyktatura proletariatu, by wrócić doń na V Zjeździe, a to głównie w kontekście wydarzeń marca 1968 roku. Po czym w latach siedemdziesiątych termin ten znów zarzucono na korzyść hasła: „państwo ogólnonarodowe". Na VII Zjeździe partii sprecyzowano pogląd o rzekomo istniejących już wówczas warunkach wyjścia z dyktatury proletariatu w nową, wyższą fazę rozwoju społecznego w Polsce. Teza ta, jak wiadomo, okazała się fałszywa, przedwczesna. Stąd istnieje potrzeba szczegółowego odniesienia się do niej oraz określenia warunków „powrotu" do dyktatury proletariatu i sposobów jej urzeczywistniania na aktualnym etapie. Prof. Muszyński powiedział, iż **„XIII plenum partii winno do tego terminu powrócić, jako do aktualnego stanu rzeczy, jako do systemu, który należy umacniać i doskonalić mając na uwadze przede wszystkim interes klasy robotniczej".**

Istnieje przy tym potrzeba wyjaśniania treści, które kryją się pod pojęciem dyktatury proletariatu, rozumianej jako rządy klasy robotniczej i stałe doskonalenie formy tych rządów, rozwijanie demokracji socjalistycznej.

Kwestie, które tu przypomniałem to jedne z bardzo wielu problemów szeroko, polemicznie dyskutowanych na wspomnianej centralnej konferencji naukowo-ideologicznej. Konferencja ta zamyka obchody marksowskiej rocznicy, ale bynajmniej nie zamyka dyskusji nad kierunkami, sposobami i etapami badań nad marksizmem i popularyzacją konkluzji tych prac. Winna zarazem stać się kolejnym asumptem do rozwijania marksizmu-leninizmu w naszym kraju, do podjęcia szerokich prac nad przyszłością socjalizmu w Polsce.

Pomnik Staszica wraca do Łodzi

„Doceniając znaczenie zachowania zabytków techniki jako dóbr kultury narodowej świadczących o tradycjach rozwoju myśli technicznej, a równocześnie o tradycjach twórczej działalności kolejnych pokoleń inżynierów i techników stowarzyszenia naukowo-techniczne powinny sprawować patronat nad ochroną tych zabytków oraz nad muzealnictwem technicznym w kraju.

Kongres popiera ideę patronatu inżynierów i techników nad odbudową pomnika Stanisława Staszica w Łodzi".

Taką Uchwałę Generalną podjął XX Kongres Techników Polskich obradujący w naszym mieście w roku ubiegłym.

Uzasadnieniem lokalizacji pomnika jest nie tylko fakt, że przed ostatnią wojną było tu poniersie tego wybitnego przedstawiciela polskiego Oświecenia, które zniszczone przez Niemców, ale także to, że Staszic widział pilną potrzebę rozwoju w kraju produkcji włókienniczej i uniezależnienia się w ten sposób od zagranicy, a miasto Łódź wskazywał jako przyszłe centrum tego przemysłu.

Projekt znalazł poparcie u władz politycznych i administracyjnych miasta, wyasygnowano 2 mln złotych na uporządkowanie terenu pod pomnik, przyobiecano daleko idącą pomoc przy jego montowaniu. Całość ma kosztować 12 mln, co jest sumą niewielką jak na takie przedsięwzięcie. Odlew w brązie — projekt pomnika wykonał Kazimierz Karpiński — wykonają Łódzkie Zakłady Sprzętu Przeciwpożarowego. Przewiduje się, że odsłonięcie nastąpi we wrześniu przyszłego roku, w drugą rocznicę Kongresu NOT. Pomnik stanie w parku im. S. Staszica i będzie miał wysokość wraz z postumentem 4,5 m.

Wspomniane 12 mln złotych, odliczając to, co daje miasto, będą pochodzić z dobrowolnych składek wszystkich organizacji sfederowanych w Naczelnej Organizacji Technicznej. Przygotowano już „cegiełki" 100, 500, 1.000, 5.000 i 10.000-złotowe. Są także przyjmowane wpłaty od osób indywidualnych i zakładów pracy z całego kraju na konto Komitetu Budowy Pomnika: PKO I M Łódź 47513-40211-132 NOT — Komitet Budowy Pomnika S. Staszica.

(I. W.)

Węgrzy pracują za granicą...

Od dłuższego już czasu, każdego roku kilka tysięcy Węgrów wyjeżdża z kraju, aby podjąć pracę za granicą. Czas przebywania za granicą jest różny, waha się od kilku miesięcy do kilku lat. Większość wyjeżdżających zostaje zatrudniona na podstawie kontraktów czy też umów zawieranych np. przez węgierskie centrale handlu zagranicznego, ale spora grupa załatwia te sprawy „na własną rękę" — korzystając z ofert firm i przedsiębiorstw zagranicznych, lub też z własnych kontraktów. Ta ostatnia forma częsta jest zwłaszcza wśród przedstawicieli świata artystycznego.

Ostatnio Rada Ministrów WRL wydała nowe rozporządzenie w tej dziedzinie, które wejdzie w życie z dniem 1 lipca br. Mówiąc najkrócej liberalizuje ono w znacznym stopniu przepisy w tej mierze i w zasadzie umożliwia podjęcie pracy za granicą każdemu, kto ma taką możliwość. Obecnie zgodę na taką formę zatrudnienia będą miały prawo wydawać ministerstwa i instytucje centralne. Rozporządzenie upraszcza więc procedurę, a ponadto dopuszcza podejmowanie pracy za granicą przez np. emerytów oraz członków rodzin tych osób, które zatrudnione są poza granicami kraju.

Oczywiście wydawanie takich zezwoleń uzależnione jest od określonych warunków. Tak więc obywatel węgierski, który pragnie podjąć pracę za granicą indywidualnie, musi wykazać się posiadaniem odpowiedniej oferty ze strony firmy czy przedsiębiorstwa zagranicznego. Musi także przedstawić dowód zatrudnienia na Węgrzech, i — rzecz jasna — uzyskać zezwolenie władz paszportowych na wyjazd.

Osoba wyjeżdżająca do pracy za granicę indywidualnie, winna sama załatwić wszystkie sprawy związane z pobytem w obcym kraju, rozpoczynając od wyżywienia i mieszkania, aż do opłacenia składek ubezpieczeniowych. Płaci ona podatek w myśl przepisów kraju do którego się udaje, ale niezależnie od tego musi także uiszczać składki ubezpieczeniowe, względnie emerytalne w WRL — stosowne do wysokości zarobków uzyskiwanych za granicą.

Oprócz tego obywatel węgierski zatrudniony na podstawie indywidualnej umowy za granicą zobowiązany jest do przekazywania 20 proc. swych dewizowych zarobków na konto węgierskiego Banku Narodowego. Równowartość tej kwoty otrzymuje on w forintach, zgodnie z obowiązującym kursem. Zezwolenie na tego rodzaju prace wydaje się w zasadzie najwyżej na okres 5 lat i dotyczy ono jednego tylko miejsca zatrudnienia. Na każdą zmianę miejsca pracy za granicą należy uzyskać dodatkowe zezwolenie władz węgierskich.

Jak wynika z danych statystycznych, w roku 1982 41 proc. Węgrów podejmujących pracę za granicą zatrudnionych było w krajach socjalistycznych, w tym największa liczba w NRD. W krajach kapitalistycznych pracowało 39 proc. ogółu wyjeżdżających, z tego najwięcej w RFN i Austrii. Wreszcie w krajach rozwijających się, a głównie w Libii, Algierii i Iraku — podjęło pracę 30 proc. ogółu.

Nowe rozporządzenie Rady Ministrów — jak podkreśla się na Węgrzech — ma na celu stworzenie możliwości, ale nie zachęcania do pracy za granicą.

Przegląd prasy

„REALIZM"

którego tom I ukazał się właśnie nakładem łódzkiego oddziału Krajowej Agencji Wydawniczej. Sądząc z zapowiedzi, w przygotowaniu jest już następny tom i można mieć nadzieję, że ukażą się też kolejne.

Niedawno mój „przyjaciel" w „Żywociku Literackim" posądził mnie o tendencje likwidatorskie, że to ja niby jestem za tym, aby zlikwidować niektóre pisma „literackie". Mniejsza o jego praktyki i złośliwości, chodziło mi zupełnie o coś innego. Krótko mówiąc o to, że w nowych warunkach pisma tygodniowe muszą szukać innej niż przed reformą formuły. I życie to jakby potwierdzało. Upadają jedne pisma, powstają drugie, a inne szukają swego miejsca na rynku i dotarcia do Czytelnika. „REALIZM" jest wydawnictwem — jeśli można to tak określić — zupełnie nowym, przynoszącym ciekawe i poważne treści.

Podtytuł „Realizmu": „Kultura — nauka — społeczeństwo" wyjaśnia, jakich problemów i tematów może się Czytelnik spodziewać. Redakcja nie opublikowała żadnego „manifestu", wyjaśnienia, jakie stawia sobie cele, do kogo adresuje wydawnictwo poza krótkim, zaczerpniętym z „Leksykonu PWN" wyjaśnieniem, co należy rozumieć pod słowem realizm:

„REALIZM — postawa życiowa, polegająca na trzeźwej, bezstronnej ocenie rzeczywistości, oparta na doświadczeniu i rozumowaniu, pozwalająca na wybór takich środków działania, które prowadzą skutecznie do zamierzonego celu."

Celu trzeba się zatem domyślić z prezentacji materiałów zawartych w tomie I „Realizmu". Publikacje te otwierają rozważania Kazimierza Żygulskiego zatytułowane „Ryzyko zawodowe czy mecenat państwa?", prezentujące też uwagi na temat historii, miejsca i roli inteligencji twórczej w państwach Wschodniej Europy. Obok tego, powstałe w latach 1934—1935, rozważania Bertolta Brechta o pisaniu prawdy. Uważa on, że każdy, kto chce pisać prawdę, musi pokonać 5 trudności: *„Musi posiąść odwagę pisania prawdy, chociażby była ona całkowicie skryta; mądrość, aby ją posiąść, choćby była całkowicie niedostępna; umiejętność posługiwania się nią jako bronią; ocenę, komu będzie ona służyć przez określony wybór; jednocześnie sposób jej upowszechnienia".* Jak już z tego widać równie ważny, jak prawda, jest cel, jakiemu ma ona służyć.

W tomie I „Realizmu" piszą ponadto: Jan Szczepański o dwóch perspektywach świata społecznego, Henryk Pustkowski o dorobku naukowym Stefanii Skwarczyńskiej, Andrzej Grun o Konstantym Mackiewiczu i jego malarstwie, Ewa Pankiewicz o twórczości reżyserskiej Lidii Zamkow. Obszerne studium o „Miazdze" Jerzego Andrzejewskiego publikuje Tadeusz Błażejewski, a Maria Kornatowska pisze o filmach W. Hasa, T. Konwickiego i J. Kawalerowicza.

Bogato reprezentowane są też wspomnienia. Jerzy Gos przetłumaczył „Dzienniki" Miroslava Krleży — które mają ukazać się drukiem w całości — publikuje w „Realizmie" fragmenty, obejmujące lipiec i sierpień 1942 roku oraz początek 1943 roku. „Wywoływanie duchów" — to tytuł fragmentów dzienników Jana Marii Gisgesa, przełom maja i czerwca 1982 roku widziane z Obór i z Kielecczyzny. Natomiast „Zapis" Jerzego Wilmańskiego to refleksje powstałe na tle wydarzeń lata i jesieni 1981 roku.

Wiesław Jażdżyński recenzuje książkę Zbigniewa Kuchowicza „Miłość staropolska".

„Realizm" skupia — a przynajmniej dąży do tego — ludzi nauki, pisarzy, krytyków, publicystów. Zapowiadając następny tom, redakcja sygnalizuje, że ukażą się w nim artykuły M.F. Rakowskiego, Edmunda Lewandowskiego, Bohdana Baranowskiego, Tadeusza Chróścielewskiego, Grzegorza Matuszaka, Małgorzaty Karbowiak; ekonomistów i prawników: C. Kosikowskiego, W. Kasperkiewicza, S. Borkowskiej; recenzje T. Błażejewskiego, W. Jażdżyńskiego, Z. Kuchowicza. Jest to bez wątpienia wydawnictwo adresowane do środowisk inteligenckich, twórczych, artystycznych. „Realizmowi" życzymy powodzenia!

Ponieważ miejsca pozostało mi już bardzo mało, z konieczności chciałbym tylko zasygnalizować interesujące pozycje

W PRASIE TYGODNIOWEJ

— W „POLITYCE" (nr 25 z 18 czerwca 1983) profesor Andrzej Stasiak w wywiadzie zatytułowanym „Mapa i życie" wyjaśnia zawiłości koniecznych korekt w podziale administracyjnym. Na uwagę zasługuje również wywiad z min. Kazimierzem Żygulskim, który wypowiada się o demokratyzacji kultury. Tomasz Kalita próbuje wyjaśnić fenomen Joanny G. z Sosnowca, w której obecności dzieją się różne dziwne rzeczy.

— „ŻYCIE LITERACKIE" (nr 25 z 19 czerwca 1983) tak zapowiada najciekawsze pozycje: *„Jan Paweł II w kraju — Stalin w Krakowie — Sikorski w Londynie — Camorra w Neapolu — Science Fiction w Polsce"*. Zapewniam, że zapowiedź nie przesadza. Numer rzeczywiście ciekawy.

— W „TYGODNIKU KULTURALNYM" (nr 25 z 19 czerwca 1983 r.) Barbara Jelonek i Bogdan Zakrzewski sugerują, że „Bursztynowa komnata" została ukryta w Pasłęku.

Za tydzień może będzie lepiej i na przegląd prasy znajdzie się więcej miejsca.

LUCJAN BOGUSZ

W najbliższych numerach:

- CO MYŚLĄ O SWOIM ZAWODZIE PRZYSZLI LEKARZE
- OSTATNI CHALLENGE
- SOBOTA W DYSKOTECE
- DLACZEGO DZIECI UCIEKAJĄ Z DO[illegible]
- JAK ŁÓDZCY SZEWCY KUPOWALI W KRAKOWIE SKÓRĘ

Dokumenty: 1941

Plan „Barbarossa"

22 czerwca 1941 roku wojska hitlerowskie zaatakowały Związek Radziecki. Druga wojna światowa weszła w nową fazę. Adolf Hitler zarzucił realizację planu „Lew Morski" — inwazji na Anglię i przystąpił do realizacji innego planu, planu „Barbarossa", który hitlerowskim Niemcom miał zapewnić trwałe panowanie w Europie i później na świecie. Zwycięstwo nad Związkiem Radzieckim miało zapewnić surowce dla przemysłu Tysiącletniej Rzeszy, przestrzeń życiową dla niemieckich kolonistów i możliwość przesiedlenia na Syberię niepożądanych w Rzeszy narodowości, między innymi Polaków. Pokonanie Związku Radzieckiego dawało też gwarancję pewniejszego i łatwiejszego zwycięstwa nad Anglią.

W maju 1946 roku feldmarszałek byłego Wehrmachtu, Friedrich Paulus, tak opisał przyczyny, dla których Adolf Hitler zrezygnował z realizacji planu „Lew Morski":

Gdy z perspektywy czasu rozpatruję wydarzenia, wydaje mi się, że rezygnacja z przeprowadzenia tej operacji miała następujące przyczyny:

1. **Ryzyko i obawa przed utratą prestiżu w** razie niepowodzenia operacji.
2. **Nadzieja na zmuszenie Anglii do przyjęcia pokoju na skutek groźby bezpośredniej inwazji** w połączeniu z sukcesami wojny podwodnej i nalotami z powietrza.
3. **Niechęć Hitlera do wywierania zbytniej presji na Anglię**, ponieważ zawsze pragnął dojść z nią do porozumienia.
4. Skonkretyzowany już latem 1940 roku **zamiar** Hitlera **napaści na Rosję."**

W grudniu 1940 roku Adolf Hitler podpisał słynną „Dyrektywę nr 21", określającą cele, taktykę i strategię ataku na Związek Radziecki. Oto pełny tekst tego dokumentu:

„Führer i Naczelny Dowódca Sił Zbrojnych
Naczelne Dowództwo Sił Zbrojnych
Sztab Dowództwa Operacyjnego Sił Zbrojnych
18 grudnia 1940 r.

Oddział Obrony Kraju
Nr 33408/40
Ściśle tajne

Dyrektywa nr 21
Plan „Barbarossa"

Niemieckie siły zbrojne muszą się przygotować, aby jeszcze przed zakończeniem wojny z Anglią rozgromić Rosję Radziecką w błyskawicznej operacji (plan „Barbarossa").

W tym celu wojska lądowe będą musiały wyznaczyć wszystkie znajdujące się w ich dyspozycji związki z wyjątkiem niezbędnych do osłony obszarów okupowanych przed wszelkim zaskoczeniem.

Zadaniem lotnictwa jest zwolnić niezbędne siły dla wsparcia wojsk lądowych na froncie wschodnim z tym aby można było liczyć na szybkie przeprowadzenie operacji lądowej, a także aby ograniczyć do minimum skutki nalotów nieprzyjacielskich na wschodnie tereny Niemiec.

Podstawowe zadanie polega na tym, by rejony działań bojowych i zabezpieczenia bojowego naszych wojsk były całkowicie bronione przed powietrznym atakiem nieprzyjaciela, i żeby działanie zaczepne przeciwko Anglii, a zwłaszcza przeciwko jej komunikacjom morskim, nie osłabły w najmniejszym stopniu.

Główny wysiłek działań Marynarki Wojennej w czasie kampanii wschodniej pozostaje nadal skierowany przede wszystkim przeciwko Anglii.

Rozkaz, rozwinięcie sił zbrojnych do natarcia na Rosję Radziecką wydam w razie konieczności na osiem tygodni przed rozpoczęciem operacji.

Przygotowania wymagające dłuższego czasu powinny być rozpoczęte (jeśli nie są jeszcze rozpoczęte) już teraz i zakończone do 15 V 1941 r.

Szczególną uwagę należy zwrócić na to, aby nie został ujawniony zamiar uderzenia.

Przygotowania Naczelnego Dowódcy należy oprzeć na następujących założeniach:

ZAMIAR OGÓLNY

Wojska rosyjskie, znajdujące się w zachodniej części Rosji należy zniszczyć w śmiałych operacjach przez głębokie wdarcie się jednostek pancernych. Należy uniemożliwić wojskom zdolnym do walki odwrót w głąb rozległych przestrzeni terytorium rosyjskiego.

Następnie w szybkim pościgu należy osiągnąć linię, spoza której lotnictwo rosyjskie nie będzie już mogło dokonywać nalotów na tereny (rdzennie) niemieckie. Ostatecznym celem operacji jest wyjście na rubież Archangielsk-Wołga, oddzielająca azjatycką część Rosji. W ten sposób, w razie konieczności, lotnictwo będzie mogło sparaliżować ostatni pozostający w dyspozycji Rosji obszar przemysłowy na Uralu.

W toku tych operacji rosyjska Flota Bałtycka szybko utraci swoje punkty oparu i tym samym zdolność bojową.

Już na samym początku operacji należy przez potężne uderzenia zapobiec skutecznej interwencji ze strony lotnictwa rosyjskiego.

PRZEWIDYWANI SOJUSZNICY I ICH ZADANIA

1. **W wojnie przeciw Związkowi Radzieckiemu możemy liczyć na aktywny udział Rumunii i Finlandii na skrzydłach naszego frontu.**

Naczelne Dowództwo Wehrmachtu we właściwym czasie uzgodni i ustali, w jakiej formie siły zbrojne obu państw będą z chwilą przystąpienia do wojny podporządkowane niemieckiemu dowództwu.

2. **Zadanie Rumunii będzie polegało na tym, aby wspólnie z nacierającą tam grupą wojsk niemieckich związać znajdujące się przed nimi siły przeciwnika, a poza tym pełnić służbę pomocniczą w rejonie tyłowym.**

3. **Finlandia powinna osłaniać strategiczne rozwijanie północnej niemieckiej grupy desantowej (jednostki XXI grupy) przybywającej z Norwegii, a następnie przejść do wspólnego z nią działania. Ponadto Finlandii przypadnie w udziale likwidacja Hanko.**

4. **Należy przewidywać, że od momentu rozpoczęcia operacji udostępnione będą koleje i szosy Szwecji dla przerzutu niemieckiej grupy północnej.**

PRZEPROWADZENIE OPERACJI

Wojska lądowe (zgodnie z przedstawionymi celami).

Na obszarze działań wojennych, rozdzielonym przez bagna rzeki Prypeć, należy wyznaczyć kierunek głównego uderzenia na północ od tej rzeki i w tym celu ześrodkować tutaj dwie grupy armii.

Południowa z tych dwóch grup armii, stanowiąca środek ogólnego frontu, ma za zadanie przy pomocy specjalnie wzmocnionych jednostek pancernych i zmotoryzowanych nacierać z rejonu Warszawy i na północ od niej i rozbić rosyjskie wojska na Białorusi. W ten sposób stworzone zostaną warunki do zwrotu na północ silnych jednostek szybkich, ażeby we współdziałaniu z północną grupą armii, nacierającą z Prus Wschodnich w kierunku na Leningrad, zniszczyć wojska przeciwnika walczące w krajach nadbałtyckich. Dopiero po wykonaniu tego niezbędnego zadania, które powinno zakończyć się zdobyciem Leningradu i Kronsztadu, można prowadzić dalej operacje zaczepne w celu opanowania Moskwy — bardzo ważnego ośrodka komunikacyjnego i przemysłu zbrojeniowego.

Tylko zaskakujące i szybkie załamanie oporu wojsk rosyjskich może zapewnić jednoczesne zakończenie obu etapów operacji.

Podstawowym zadaniem XXI grupy w czasie operacji wschodniej pozostaje jak poprzednio obrona Norwegii. Posiadane ponadto siły (korpus górski) użyć należy na północy przede wszystkim do zabezpieczenia obwodu Petsamo i jego kopalń rudy oraz dróg prowadzących do Oceanu Lodowatego, a następnie wspólnie z fińskimi siłami zbrojnymi podejść do murmańskiej linii kolejowej, żeby przerwać zaopatrzenie obszaru murmańskiego.

Czy operację taką można będzie przeprowadzić większymi siłami wojsk niemieckich (2,3 dywizji) z rejonu Rovaniemi i na południe od niego — zależy od zgody Szwecji na oddanie do naszej dyspozycji linii kolejowych dla przerzutu wojska.

Zależnie od przesuwania się niemieckiego lewego skrzydła podstawowe siły armii fińskiej otrzymują zadanie, by nacierając na zachód lub po obu stronach jeziora Ładoga związać możliwie największą ilość wojsk rosyjskich oraz opanować Hanko.

Grupa armii, działająca na południu od bagien Prypeci, wykonuje główne uderzenie z rejonu Lublina w ogólnym kierunku na Kijów, aby potężnymi siłami pancernymi natrzeć zniemacka na skrzydło i tyły Rosjan, a następnie wyjść na Dniepr.

Niemiecko-rumuńska grupa na prawym skrzydle ma wykonać następujące zadanie:

a. osłaniać terytorium rumuńskie i tym samym zabezpieczać południowe skrzydło całego frontu;

b. w trakcie natarcia na swoim północnym skrzydle Grupa Armii „Południe" ma związać znajdujące się przed nią siły nieprzyjaciela, a w razie pomyślnego rozwoju sytuacji zorganizować pościg i współdziałając z siłami powietrznymi przeszkodzić w zorganizowanym odwrocie Rosjan przez Dniestr.

W wypadku, gdy wojska przeciwnika na południe albo na północ od Prypeci zostaną rozbite, należy w czasie pościgu opanować ważne pod względem gospodarczym Zagłębie Donieckie.

Na północy — szybko osiągnąć Moskwę. Zdobycie tego miasta oznacza decydujący sukces zarówno z politycznego, jak gospodarczego punktu widzenia, nie mówiąc już o tym, że Rosjanie utracą najważniejszy węzeł kolejowy.

LOTNICTWO

Zadanie sił powietrznych będzie polegać na tym, aby w miarę możliwości paraliżować i eliminować oddziaływanie lotnictwa rosyjskiego, a także wspierać operacje wojsk lądowych na kierunkach decydujących, a mianowicie: środkowej i południowej grup armii. Rosyjskie linie kolejowe należy przecinać w zależności od ich znaczenia dla operacji; najważniejsze obiekty (mosty i przeprawy), znajdujące się w nieznacznej odległości od linii frontu, trzeba uchwycić zaskakującymi działaniami oddziałów powietrznodesantowych.

W celu ześrodkowania wszystkich sił do walki z lotnictwem nieprzyjaciela i do bezpośredniego wsparcia wojsk lądowych nie należy w czasie operacji dokonywać nalotów na przemysł zbrojeniowy. Dopiero po zakończeniu operacji manewrowych lotnictwo otrzyma zadanie atakowania obiektów przemysłowych przede wszystkim w okręgu uralskim.

MARYNARKA WOJENNA

Zadaniem Marynarki Wojennej w wojnie z Rosją Radziecką jest zapewnić obronę własnego wybrzeża i nie dopuścić do wydostania się nieprzyjacielskich sił morskich z Morza Bałtyckiego. Ponieważ po zdobyciu Leningradu rosyjska Flota Bałtycka utraci swój ostatni punkt oporu i znajdzie się w sytuacji bez wyjścia, należy unikać przedtem większych operacji morskich.

Po wyeliminowaniu floty rosyjskiej zadanie polegać będzie na tym, aby drogą morską całkowicie zabezpieczyć zaopatrzenie północnego skrzydła armii (oczyszczenie z min).

Wszystkie zarządzenia, które w myśl niniejszej dyrektywy zostaną wydane przez naczelnych dowódców, powinny bardzo wyraźnie podkreślić, że chodzi o środki ostrożności na wypadek, gdyby Rosja miała zmienić swój stosunek do nas. Liczba oficerów angażowanych do prac wstępnych powinna być maksymalnie ograniczona. Oficerów tych powinno się zapoznawać tylko z zakresem prac niezbędnym dla bezpośredniej działalności każdego z nich. W przeciwnym razie powstanie niebezpieczeństwo rozgłoszenia naszych przygotowań, których terminy nie są jeszcze ustalone, co może spowodować najcięższe skutki polityczne i wojskowe.

Oczekuję od naszych dowódców meldunków o ich dalszych zamiarach w oparciu o niniejszą dyrektywę.

O zamierzonych przygotowaniach wszystkich rodzajów sił zbrojnych oraz o ich przebiegu meldować mi przez naczelne dowództwo (OKW).

HITLER"

Gdy Adolf Hitler kreślił w „Dyrektywie nr 21" cele strategiczne napadu na Związek Radziecki, „jego ludzie" dokładnie precyzowali, jak należy zachowywać się wobec ludności cywilnej na zajmowanych terenach na Wschodzie. Oto fragmenty dyrektywy feldmarszałka Waltera von Reichenau, zatytułowanej „O zachowaniu się wojsk na Wschodzie":

„(...) Zaopatrywanie ludności cywilnej i jeńców wojennych w żywność jest zbytecznym humanitaryzmem.

Żołnierz nie powinien wrogowi rozdawać tego, czego odmawia sobie ojczyzna i co dowództwo z wielkim trudem wysyła na front, nawet jeśli jest to zdobyczne. Stanowi to niezbędną część naszego zaopatrzenia. Wojsko jest zainteresowane w likwidowaniu pożarów tylko tych budynków, które mają być przeznaczone na kwatery dla jednostek wojskowych. Poza tym wszystko, co jest symbolem byłego panowania bolszewików, łącznie z budynkami, powinno być zniszczone; żadne historyczne bądź artystyczne wartości znajdujące się na Wschodzie nie mają znaczenia.

W celu zachowania ważnego pod względem militarno-gospodarczym surowca i obiektów przemysłowych dowództwo wyda specjalne wytyczne.

Z uwagi na zasięg i wrażliwość dróg dowozu należy całkowicie rozbroić ludność na tyłach walczącej jednostki. Gdzie można, tam przechowywać i ochraniać zdobyczną broń i amunicję. Jeśli jednak warunki walki nie pozwolą na to, broń i amunicję należy niszczyć. Wobec pojedyńczych partyzantów działających zbrojnie na tyłach armii stosować zdecydowane i bezwzględne środki. To samo dotyczy ludności męskiej, aby zapobiec z jej strony ewentualnym zamachom. Wobec licznych biernych elementów antyradzieckich, które zajmują pozycję wyczekującą, trzeba stosować metodę wyjaśniania i wciągać je do aktywnej współpracy w walce z bolszewizmem.

Jeśli na to nie przystaną, to niech się nie uskarżają, że traktuje się ich jak zwolenników ustroju radzieckiego. Strach przed niemieckimi zarządzeniami musi być silniejszy niż strach przed zagrożeniem ze strony wałęsających się niedobitków bolszewickich.

Nie wdając się w polityczne rozważania na temat przyszłości, żołnierz powinien wykonać zadanie podwójne:

1. całkowicie zlikwidować herezję bolszewicką, państwo radzieckie i jego siły zbrojne;

2. bezlitośnie wykorzenić przebiegłość i okrucieństwo wroga i tym samym zapewnić bezpieczeństwo niemieckim siłom zbrojnym w Rosji.

Jedynie w ten sposób możemy wypełnić nasze historyczne posłannictwo, to znaczy uwolnić naród niemiecki od azjatycko-europejskiego niebezpieczeństwa.

Dowódca
feldmarszałek von Reichenau."

W Norymberdze feldmarszałek Friedrich Paulus zeznawał jako świadek w procesie hitlerowskich zbrodniarzy. Pytania zadawał mu główny oskarżyciel radziecki — Roman Rudienko:

Rudienko — W jakich okolicznościach została przeprowadzona zbrojna napaść na ZSRR?

Paulus: — **Agresja na Związek Radziecki nastąpiła, jak już o tym mówiłem, zgodnie z przygotowanym na długo wcześniej i dobrze zakamuflowanym planem. Wielki manewr pozorujący, zorganizowany na obszarze od Norwegii po wybrzeże francuskie, miał sugerować zamiar lądowania w Anglii w czerwcu 1941 roku i odwrócić uwagę od Wschodu.**

Rudienko — Jak określiłby pan cele, które Niemcy wiązały z napaścią na Związek Radziecki?

Paulus: — **Postawienie zadania opanowania linii Wołga — Archangielsk, które znacznie przekroczyło niemieckie możliwości, charakteryzuje brak umiarkowania odnośnie do zdobyczy politycznych Hitlera i narodowosocjalistycznego kierownictwa państwa. Ze strategicznego punktu widzenia osiągnięcie tych celów oznaczało rozbicie sił zbrojnych Związku Radzieckiego.**

O tym, jak bardzo zależało Hitlerowi w tej wojnie na zrealizowaniu celów ekonomicznych, świadczy jego wypowiedź, której sam byłem świadkiem 1 czerwca 1942 roku w czasie narady z wyższymi dowódcami grupy armii „Południe" w Połtawie. Hitler oświadczył: „Jeśli nie dostanę ropy z Majkopu i Groznego, będę musiał skończyć tę wojnę" (...)

Zbrodnicze zamiary Adolfa Hitlera i jego zwolenników nie spełniły się. Skończyło się to samobójstwem wodza Trzeciej Rzeszy i bezwarunkową kapitulacją jego wojsk. Dziś sporo ludzi stara się o tym zapomnieć. Warto więc poznać dokumenty z tamtego czasu, aby więcej wiedzieć o naszej przeszłości i przez to lepiej rozumieć naszą teraźniejszość.

JERZY ŻUKOWSKI

Tam, gdzie dachy słomą kryte (6)

VIII. MSZA PARTYZANCKA

15 sierpnia, dzień Matki Boskiej Zielnej obchodzony był przed wojną jako Święto Żołnierza Polskiego.

Tego dnia oddział kwaterował we wsi Przyłęk Mały. Zaraz po śniadaniu Sam powiadomił o mającej odbyć się z tej okazji, specjalnie celebrowanej mszy świętej, a Kaprowi zlecił przygotowanie wszystkiego, by msza wypadła uroczyście. Chodziło nie tylko o chłopców z oddziału, ale i gospodarzy oraz ich zaufanych. — Są to ludzie wierzący — powiedział — i uważają, że tam gdzie jest ksiądz, tam też jest słuszność. To, że msza odbędzie się u naszego gospodarza i on, i rodzina uważać będą na pewno za specjalne wyróżnienie. Poza tym zrobi to dla oddziału dobrą propagandę u miejscowej ludności.

Do pomocy Kaper zaangażował Kresa, Wita, Leliwę i Świerka i zabrali się do dzieła. Poprosili gospodarzy o pozwolenie przestawienia sprzętów w największej izbie, a także o dostarczenie z pobliskiego lasu sześciu brzózek, a z ogrodu — kwiatów. Następnie ustawili pod ścianą stół przykryty białą serwetą, nad stołem zawiesili łowicki kilim, a na nim obraz Matki Boskiej. Ze stołka owiniętego białym płótnem zrobili tabernaculum, na którym stanął krucyfiks. Ku zdumieniu i zachwytowi gospodarzy, izba zamieniła się w kaplicę.

Około godziny dziesiątej przybył ksiądz z Jeżowa w cywilnym ubraniu i gdy wszedł do środka aż go zatkało, widząc jak przygotowano izbę do odprawienia konspiracyjnej mszy. Powoli zaczęli też schodzić się odświętnie ubrani krewni i zaufani sąsiedzi gospodarzy. Nie wiedzieli nic więcej ponad to, że będzie msza. Jak w kościele, stali skupieni oczekując rozpoczęcia nabożeństwa, a gdy ksiądz, odziany w komżę i ornat, stanął przed ołtarzem, do izby wszedł Sam, a za nim cały oddział w pełnym uzbrojeniu, ustawiając się patrolami. Uroczystą ciszę na krótko zakłóciły ściszone głosy: „To partyzanci", „Jędrusie", „Nasze chłopaki, polskie wojsko". Kiedy szepty zdziwienia ucichły, odezwał się ksiądz:

— Wierni w Chrystusie, Rodacy. Msza dzisiejsza, którą mam wielki zaszczyt odprawić tu i w tak niezwykłych dla nas warunkach, w dniu święta Matki Boskiej, Królowej Korony Polskiej i Święta Żołnierza, odbędzie się na intencję tego oddziału partyzanckiego, oddziału Sama, który walczy z okupantem o wyzwolenie naszej umiłowanej Ojczyzny, jak również na intencję tych wszystkich, którzy ten oddział wspomagają i z nim współpracują, za co niech ich Bóg błogosławi. Będziemy się modlić do Boga Wszechmogącego, aby wszyscy tu zebrani i ich najbliżsi przeżyli w zdrowiu ten ciężki dla całego naszego narodu okres. Amen.

Gdy msza już zaczęła się, z prawej strony ołtarza zgrupowali się ci chłopcy, którzy stanowić mieli chór, przed nimi stanął Kaper i po pewnym czasie rozległy się słowa starej pieśni, śpiewanej przed bitwą pod Grunwaldem — „Bogurodzica Dziewica...". Większość mieszkańców wsi pieśń tę słyszała po raz pierwszy i widać było, że słuchali jej słów z głęboką uwagą. Nastrój stawał się coraz bardziej podniosły. Tuż przed podniesieniem zaintonowano pieśń — modlitwę żołnierską:

O Panie, któryś jest na niebie
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń...

Kiedy powtarzano słowa refrenu, do chóru przyłączyła się reszta oddziału, śpiewając pełnym głosem, jak gdyby śpiewający chcieli być pewni, że ich głos dotrze do nieba. W izbie zadrżały szyby, a ksiądz ze wzruszenia przestał odmawiać modły i przez parę chwil stał nisko pochylony nad ołtarzem, ocierając łzy. Były to chwile najwyższych wzruszeń dla wszystkich zebranych, spotęgowane jeszcze świadomością tego, co by się działo, gdyby o mszy dowiedzieli się Niemcy.

Tegoż samego popołudnia dotarła do oddziału wiadomość o przeprowadzanej przez Niemców i Ukraińców obławie w Lasach Bobrowskich. Od pewnego czasu działał tam oddział Maszynisty. Sam Maszynista i jego ludzie byli to pełni brawury zapaleńcy, bez przeszkolenia partyzanckiego, i słabo uzbrojeni. Na razie wynik obławy nie był znany, ale informacje mówiły o dość długiej strzelaninie, co nasuwało przypuszczenie o możliwym wyniku bitwy w lesie, wiadomo bowiem było, iż Niemcy atakować będą przynajmniej dziesięciokrotnie większymi siłami i przy użyciu granatników oraz ciężkiej broni maszynowej.

Chłopcy posmutnieli. Myślami byli z ludźmi Maszynisty, z których wielu znali. Nie mogli jednak pomóc im w walce ze względu na brak rozeznania sytuacji, sporą odległość od miejsca wydarzeń, jak i dlatego, że przestrzeń między wsią Przyłęk Mały a Lasami Bobrowskimi była otwarta i trudno byłoby przez nią przejść bez zwracania na siebie uwagi.

IX. POD NOWYM DOWÓDZTWEM

Następnego dnia nawiązano łączność z Dowództwem Okręgu, skąd dowiedziano się, iż za dwa dni oddział otrzyma nowych dowódców. Po przybyciu na umówione miejsce oddział zastał już tam majora Osta (Stanisław Gołębiowski), porucznika Zagladę (? Mirski) oraz 32 ludzi, którzy dołączyć mieli do chłopców Sama. Sam odejść miał na „urlop" wypoczynkowy.

Wkrótce nowy dowódca wyznaczył na swego zastępcę por. Zagładę. Drugim jego zastępcą został st. strz. Grom. Cała organizacja oddziału pozostała bez zmian, z tym, że starymi dowodzić miał Grom, nowymi zaś, których podzielono też na cztery patrole — por. Zagłada.

Wobec braku obeznania z partyzanckimi obyczajami i sposobami prowadzenia walki u nowego dowództwa, od razu wyniknęły kontrowersje i nieporozumienia. Przede wszystkim zwrócono uwagę, że 75-osobowy oddział jest zbyt liczny w terenie, w jakim ma działać, że będą problemy z zakwaterowaniem tak dużej liczby ludzi i z ich wyżywieniem, nie mówiąc już o względach bezpieczeństwa. Niestety, nowe dowództwo było innego zdania. Dopiero wieczorem przekonano się, jak mało wie ono o partyzantce.

Oto por. Zagłada wyszedł na dwór i na całe gardło krzyknął „Zbiórka. Wychodzić!", a głos jego rozszedł się po całej wsi wśród wieczornej ciszy. Chłopcy od Sama struchleli wprost z przerażenia i chyba wybuch granatu nie zrobiłby na nich w tej chwili większego wrażenia, niż ta komenda. Niejeden z nich odstał przecież swoje pod karabinem za byle głośniejszą rozmowę na kwaterze, a tu nagle taki wrzask na całą wieś i dekonspiracja gospodarzy. Na dobitkę, gdy ustawiono się patrolami przed stodołą, znów padł gromki rozkaz „Kolejno odlicz!". Grom tego już nie wytrzymał i zwrócił uwagę por. Zagładzie, iż nigdy dotąd tego nie praktykowano, a o stanie liczebnym patroli meldowali ich dowódcy. Po tej uwadze nastąpiła konsternacja, a por. Zagłada stwierdził, że teraz wszystko się będzie odbywało zgodnie z dawno przyjętym regulaminem wojskowym.

Podobnych nieporozumień i dyskusji z nowym dowództwem było więcej. Doszło nawet do tego, że Kaper, a za nim i inni dali jednoznacznie do zrozumienia, że wstąpili do partyzantki dobrowolnie i w każdej chwili mogą odejść z oddziału, jeśli taka sytuacja trwać będzie dalej. Partyzantka to nie regularne wojsko i dlatego inne tu niż w wojsku muszą panować zwyczaje. Nie odniosło to jednak większego skutku, toteż gdy pewnego popołudnia przybyła na kwaterę łączniczka Krystyna, Grom i Nero w imieniu oddziałowej starszyzny opowiedzieli jej o stosunkach, jakie ostatnio zapanowały w oddziale, i poprosili, by poinformowała o tym Komendę Okręgu z prośbą o wyznaczenie innego dowódcy i sugestią, że najlepszy byłby znany wszystkim dobrze Wirek.

Następnego dnia, na innej już kwaterze rzeczywiście zjawił się Wirek. Serdecznie powitany przez chłopców, powiedział, iż do czasu wyzdrowienia Sama pozostanie z oddziałem. Tuż przed zachodem słońca, po dość oschłym pożegnaniu major i porucznik wraz z prawie wszystkimi ludźmi, z którymi przyszli, opuścili oddział. Zapanowało zadowolenie i zupełnie inna niż ostatnio atmosfera, bo towarzystwo znów miało dowódcę, którego lubiło i darzyło zaufaniem.

Jeszcze tej samej nocy oddział Sama, bo taka już przy nim pozostała nazwa, pod dowództwem Wirka zrobić musiał dłuższy marsz, doszły go bowiem wiadomości o przygotowywanej przez Niemców obławie. Informacje były dobre, gdyż następnego dnia rano zaalarmowano dowództwo, iż Niemcy w sile około trzystu ludzi, przeważnie Wehrmachtu, obstawili Las Rogowski i robią w nim obławę, skoncentrowawszy swą uwagę na gajówkach, gdzie spodziewali się zastać kwaterujących partyzantów.

Po południu zawiadomiono oddział, że Niemcy odjechali. Wszyscy odetchnęli z ulgą, gdyż nie było wiadomo, jak obława będzie prowadzona i czy Niemcy nie zaczną przetrząsać okolicznych wsi. Na szczęście, jak się okazało, Niemcy mieli złe rozeznanie i zadowolili się przeprowadzeniem obławy tylko w lesie. To z kolei było dowodem dobrej taktyki przyjętej przez oddział i wspaniałej konspiracji współpracującej z nim ludności. Bez jej pomocy oddział nie mógłby tak długo utrzymać się w tak niedogodnym terenie.

X. STACJA SŁOTWINY

Chłopcy z Baudienstu zaczęli trochę pomrukiwać pod nosem, iż nie po to szli do partyzantki, aby jeść, śpiewać wojskowe piosenki i włóczyć się po okolicy. Uważali, że w ciągu ostatnich tygodni zdobyli już na tyle leśne doświadczenie, iż mogą się w pełni nazywać partyzantami i chcieliby dowieść tego w jakiejś większej akcji. Na takie dictum Wirek powiedział: — Poczekajcie, przyjdzie czas i będziecie mieli okazję pokazać, co potraficie.

Okazało się, że czekać mieli już niedługo, bo kiedy oddział stanął na kwaterze u Brzozy, koło wsi Romanowa, przybył wieczorem kpt. Rymsza (Zbigniew Krywko), a Wirek wezwał do siebie Groma, Masława i Nurka i w piątkę zaczęli się w odosobnieniu nad czymś naradzać. Chłopcy czuli, że coś się szykuje, ale co?

Na zbiórce oddziału w stodole Wirek poinformował całe towarzystwo o czekającym je bardzo ważnym zadaniu na nadchodzącą noc. Otóż nasi kolejarze donieśli, iż w parowozowni na stacji Słotwiny Niemcy zmagazynowali pewną ilość rosyjskiej broni, którą jutro przekazać mają Bahnschutzowi i własowcom dla wzmocnienia linii kolejowych. Broń tę należy sprzątnąć tym zbójom sprzed nosa jeszcze tej nocy i to jest właśnie zadaniem oddziału. Wirek dodał jeszcze, że tej części stacji w Słotwinach strzeże posterunek składający się z sześciu Bahnschutzów i trzech niemieckich kolejarzy, z którymi oddział, działając przez zaskoczenie, powinien sobie łatwo poradzić. Położenie i rozkład stacji znane były dobrze chłopcom z Kołuszek i Baudienstu, którzy tam pracowali.

Gdy tylko zapadł zmierzch pożegnano miłych i ofiarnych gospodarzy i pomaszerowano miedzami i częściowo na przełaj przez pola w kierunku Słotwin. Ponieważ droga nie była długa, a do północy jeszcze dużo czasu, maszerowano dosyć wolnym krokiem i po trzech kwadransach zatrzymano się na krótki odpoczynek. Wkrótce po podawanym szeptem rozkazie „Gasić papierosy i naprzód marsz" zameldowano Kaprowi, że brakuje w patrolu strzelca Leliwy. Kaper powiadomił o tym Wirka, który doszedł do przekonania, iż Leliwa prawdopodobnie „zdryfował" przed akcją i zwiał do mamy. Zaraz przypomniano sobie jego zachowanie się w oddziale — dziwne i trochę odmienne niż innych chłopców.

Zniknięcie Leliwy najbardziej zaniepokoiło Kresa, który jako kolega z Baudienstu czuł się za niego w pewnej mierze odpowiedzialny. Dlatego też przez resztę drogi Kres klął pod nosem jak przysłowiowy szewc.

Po pewnym czasie zauważono w oddali skąpe światła stacyjne. Oddział przywarł do ziemi obserwując i nasłuchując. Na tle czarnego lasu lekko rysowały się zabudowania parowozowni. Od strony pola rosło kilka wysokich drzew. Wszystkie semafory stacyjne świeciły na czerwono, co świadczyło, że w najbliższym czasie nie spodziewano się żadnego pociągu. Od strony tej części stacji nie dochodziły żadne odgłosy, syczała jedynie jakaś lokomotywa.

Na dowódcę grupy szturmowej Wirek wyznaczył najstarszego wiekiem i najbardziej doświadczonego, gdyż brał udział w walkach we wrześniu 1939 roku, chorążego Masława (Jan Witczak). Po wstępnej obserwacji terenu przesunięto się bliżej parowozowni i oddział zaległ na polu tuż przed drogą idącą wzdłuż torów. Wtedy to Masław wysłał patrol zwiadowczy dla zorientowania się w sytuacji przed budynkiem administracji od strony torów. Szperacze pod dowództwem Pika odskoczyli i zniknęli w cieniu rosnących przed budynkiem drzew, gdzie natknęli się na... czekającego tam już od pół godziny „dezertera" Leliwę, który poinformował Pika, że już od jakiegoś czasu obserwuje Szwabów. Nie opuszczają oni sąsiadującego z dyspozytornią pokoju, grają w karty. Jest ich około siedmiu. Pozostali prawdopodobnie śpią w sypialniach.

W czasie, gdy szperacze Pika byli już pod budynkiem, Wirek raz jeszcze objaśnił grupie szturmowej jej zadania, a otrzymawszy wkrótce meldunek od jednego z ludzi Pika, że w budynku administracji parowozowni nic specjalnego się nie dzieje, że na bocznicy tuż obok stoi parowóz z trzema wagonami towarowo-sypialnymi, a na drugim torze bocznicy jest kilka wagonów towarowych, nie zwlekając wydał rozkaz zaatakowania budynku.

Ruszono biegiem naprzód. Oddział przeciął drogę i rozdzielił się na dwie grupy, aby zajść budynek z obu stron. Dwóch ludzi zostało na posterunku dla obstawy drzwi wychodzących na drogę. Na prawe skrzydło poszedł pierwszy i drugi patrol. Pierwszy — z Juką, jako celowniczym erkaemu — ubezpieczać miał akcję przy prawej stronie budynku. Drugi — dołączyć do grupy szturmowej na peronie. W lewo pobiegła reszta, prowadzona przez Wirka i Masława, od której oderwał się czwarty patrol dla zajęcia ubezpieczającego stanowiska od strony bocznicy. Na nieszczęście paliła się tam na wysokim słupie silna latarnia elektryczna i aby nie leżeć całkowicie w jej świetle Kaper ze swym patrolem podsunął się bliżej parowozu, gdzie wśród podkładów kolejowych zrobiono stanowisko.

Kiedy patrole pierwszy i czwarty zajmowały stanowiska ubezpieczające, pozostali chłopcy spotkali się na peronie w pobliżu wejścia do budynku. Było tam ciemno, więc można było zajrzeć do środka przez niedbale zasłonięte kocami okna. U dyżurnego dyspozytora dwóch niemieckich kolejarzy w rozpiętych mundurach prowadziło jakąś rozmowę. Przy pasie dyspozytora widoczna była kabura. W sąsiednim pomieszczeniu, do którego prowadziły z dyżurki otwarte drzwi, przy stole siedziało pięciu zajętych grą w karty Bahnschutzów, a stojąca na parapecie pusta półlitrówka świadczyła, że urozmaicali oni sobie czas nocnej służby zaglądając do kieliszka. Na znajdującej się około półtora metra od stołu ławie leżały dwa pistolety maszynowe. Wydawało się, iż nikt więcej już nie czuwa w budynku o tak późnej porze. Oceniwszy sytuację, Wirek wydał ostatnie instrukcje.

Grom i Nero — uzbrojeni w steny, a Nurek — w pistolet, przebiegając obok dwóch kolejarzy, wpadną szybko do pokoju, gdzie siedzą Bahnschutze i sterroryzują ich tak, by nie zdążyli chwycić za broń. Następnie pieciu z Wirkiem na czele zajmie się kolejarzami i pomoże w rozbrajaniu Bahnschutzów. Reszta grupy szturmowej opanuje pozostałą część budynku i dostanie się do magazynu broni. Patrol Kresa wspomoże ewentualnie atak przez okna i ubezpieczać będzie wnętrze budynku.

W chwię później Wirek energicznym ruchem otworzył drzwi na oścież i z wymierzonym visem wpadł do dyspozytorni.

Tuż za nim wbiegli Grom, Nero i Nurek. Widząc to, jeden z kolejarzy podniósł ręce do góry i krzyknął „Nicht schiessen" co zaalarmowało Bahnschutzów, lecz Wirek minął wystraszonych kolejarzy i wpadł błyskawicznie do drugiego pomieszczenia, wołając „Haende hoch". Tuż za Wirkiem ukazali się Nero, Grom i Nurek mierząc w Bahnschutzów z pistoletów. Na okrzyk kolejarza, który rozległ się w dyspozytorni, Bahnschutze poderwali się od stołu: dwóch zaczęło uciekać w kierunku drugich drzwi, a jeden z pozostałych podbiegł do ławy, na której leżały pistolety maszynowe. Już sięgał ręką po empi, gdy doskoczył Nurek i chwycił broń, lecz Niemiec zdążył złapać za pas pistoletu. Zaczęli się szamotać. Widząc to, Wirek uderzył Szwaba po rękach swoim visem, który był bez iglicy i służył tylko za postrach. Niemiec puścił.

Dwaj uciekający dopadli drzwi, a ponieważ zamknięte były na klucz, zanim je otworzyli, minęło kilka sekund. To wystarczyło aby po pomocy udzielonej Nurkowi zauważył ich Wirek i w chwili, gdy zamykali już drzwi za sobą, zdążył wsunąć nogę między nie a futrynę. Niemcy naciskali z całej siły na drzwi usiłując je zamknąć z drugiej strony, ale Wirek wsunął w szparę rękę i tłukł ich visem po głowach. W tej chwili Grom rąbnął w szparę krótką serię ze stena, drzwi stanęły otworem i Wirek zobaczył Niemców stojących z rękami podniesionymi do góry. W ten oto sposób budynek został opanowany przez partyzantów w przeciągu niemalże minuty.

c.d.n.

Opracował i do druku podał:
PAWEŁ TOMASZEWSKI

Inżynier od hieroglifów

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Jeśli bogowie Talos i Zbawca i Ospiżony,
Jeśli (ten, który był) Dolopów (?) Dobrym Zbawcą
tak często...

W podsumowaniu swego artykułu w „Problemach" (nr 11 z 1979 roku) napisał:

„1. Język inskrypcji na dysku z Fajstos — dialekt grecko-protojoński. 2. System pisma — sylabiczny. 3. System pisma został zbudowany w oparciu o formułę bazową (zasada ainos) zredagowaną w dialekcie greckim, więc jest greckim systemem pisma. 4. Jakkolwiek napisy w piśmie linearnym B są zredagowane w dialekcie greckim różnym od dialektu napisu na dysku z Fajstos, to u podstaw obu systemów pisma legła ta sama formuła bazowa. 5. Najstarszym dotychczas odczytanym tekstem greckim jest tekst wyżej wspomnianej formuły bazowej. 6. Formuła bazowa jest dowodem wystarczającym poprawności deszyfracji napisu na dysku z Fajstos".

Potem przyszła kolej na napisy protobyblijskie. Ostatnio bliżej zajmował się hieroglifami minojskimi — najstarszym z czterech systemów pisma starożytnej Krety. I do nich znalazł klucz. Na razie jest to tylko jego prywatny klucz, bo oprócz rodziny i grona znajomych nikt jeszcze o nim nie wie.

— Dobrze, możemy się spotkać i porozmawiać — powiedział przez telefon — ale pod warunkiem, że opublikuje pan dowód graficzny na prawidłowość odczytania przeze mnie tych hieroglifów.

* * *

Na początku czuje się jak cudzoziemiec-analfabeta. Nie wie właściwie nic. Więc najpierw kopiuje rysunki i zdjęcia z tymi napisami. Potem przerysowuje — nieraz dziesiątki razy — poszczególne znaki lub ich grupy (wyrazy). Stara się wczuć w tego, który ponad trzy i pół tysiąca lat temu je wyrył. W jakiej kolejności mógł stawiać kreski? Dlaczego tę głowę „napisał" właśnie tak? Co mógł wtedy myśleć?

Następnie trzeba policzyć ile jest wszystkich znaków i wyodrębnić ich warianty. Dawni skrybowie nie byli zbyt precyzyjni, panowała dość duża dowolność w pisaniu, błędem byłoby więc przyjmować, że różne warianty tego samego znaku mają różne znaczenie.

Każdy taki napis, to jak równanie z samymi niewiadomymi. Jeśli danych jest zbyt mało, równania takiego nie sposób rozwiązać, ale jeśli — zbyt dużo i na dodatek te same dane oznaczy się różnymi symbolami, wszystko gwałtownie zaczyna się plątać, gmatwać, komplikować. A to dopiero wstęp, przygotowanie materiału, który poddać dopiero trzeba analizie. I nie bez znaczenia jest tu, że Benon Szałek ma wykształcenie techniczne, a Ventris był architektem!

— Parę lat to kontemplowałem. Próbowałem znaleźć jakąś racjonalną, sensowną drogę do odczytania hieroglifów kreteńskich. Nie wystarczy, że wpadnie się na genialny pomysł: ta głowa w pióropuszu przedstawia Indianina, a ta tarcza, to jego tarcza, więc zespół tych dwóch znaków należy czytać: tarcza Indianina. Pan się śmieje? Takie tłumaczenia znaków na dysku z Fajstos proponowali różni — nawet utytułowani — panowie, choć są to oczywiste brednie!

— Większość naukowców uważa, że na odczytanie hieroglifów kreteńskich nie ma żadnych szans. Przede wszystkim dlatego, że napisów tych jest mało i są na ogół bardzo krótkie. Najdłuższe mają zaledwie po kilkanaście znaków. Rzeczywiście stanowi to istotne utrudnienie, ale...

* * *

Już wcześniej zauważył, że istnieje duże podobieństwo między pismem z dysku z Fajstos, a pismem linearnym B, które jest jakby jego uproszczeniem oraz hieroglifami. To podsunęło mu myśl, iż wszystkie cztery rodzaje pisma minojskiego są w gruncie rzeczy jednym i tym samym pismem, tyle że na różnych etapach ewolucji w czasie co najmniej ośmiu wieków.

Co prawda świat naukowy zgodny jest na razie jedynie co do bliskiego nawet pokrewieństwa obu pism linearnych, ale przecież nie zawsze większość musi mieć rację. Dopóki Ventris nie udowodnił, że językiem pisma linearnego B jest na ogół greka, również panowało dosyć powszechne przekonanie, iż nie jest to możliwe, ponieważ w czasach, z jakich pochodzą inskrypcje, na Krecie — twierdzili historycy — Greków być jeszcze nie mogło. Okazało się jednak, że nie oni mieli rację, lecz młody angielski architekt, a zatem...

— A zatem stawiam tezę — mówi dr inż. Benon Szałek — że pismo minojskie stworzyli Grecy.

Większość napisów hieroglificznych sporządzona została w nieznanym i dotąd niezrozumiałym języku — prawdopodobnie tym samym, który kryje się za pismem linearnym A. Musiały się nim posługiwać ludy zamieszkujące wcześniej na wyspie. To wyjaśniałoby też chyba po części różnice, deformacje i uproszczenia, jakie daje się zauważyć na wielu inskrypcjach. Ale niektóre napisy hieroglificzne wykonano — zdaniem dr Szałka — w archaicznym dialekcie języka greckiego, podobnym do znanego z pisma linearnego B.

Jeden z owych napisów znajduje się na polnym kamieniu, w którego górnej części widoczne jest misowate wgłębienie. Napis biegnie pionowo, z góry na dół, i w tłumaczeniu na polski brzmi: **„Napełnij kamień Talosowi Obrończemu ofiarą".**

Talos, to znany z mitologii opiekuńczy bóg Krety, a kamień rzeczywiście można napełnić np. oliwą. Może więc kamień ten pełnił funkcję przydrożnego ołtarza? Jego kształt i treść napisu wykazują zadziwiającą zbieżność. Przypadek? Imaginacja? Być może. Benon Szałek utrzymuje jednak, że po prostu prawidłowo odczytał napis i to wszystko. Czy ma rację?

Na to pytanie jednoznacznie mogliby odpowiedzieć już tylko naukowcy-specjaliści, ci zaś...

* * *

Amatora prawie zawsze traktuje się z przymrużeniem oka, bez żadnych zobowiązań. Amatorowi na ogół nie pomaga się, bo nie należy odbierać mu przyjemności pokonywania kolejnych przeszkód. Z amatorem rzadko dyskutuje się poważnie, można co najwyżej poklepać go po ramieniu, ale najlepiej w ogóle nie zwracać na takiego uwagi.

Mniej więcej dwa lata temu Benon Szałek dowiedział się, że znaleziono właśnie na Krecie jakieś przedmioty pokryte pismem podobnym do tego na dysku z Fajstos. Wiadomość była tyleż niedokładna, co podniecająca. Gdyby mógł zobaczyć to pismo, porównać, spróbować za jego pomocą sprawdzić słuszność swoich teorii... Napisał trzy listy z prośbą o przesłanie zdjęć lub przerysów — na Kretę, do Anglii i do Warszawy. Na dwa pierwsze w ogóle nie było reakcji, zaś w odpowiedzi na trzeci przeczytał, że dopóki nie pojawi się publikacja na temat tych znalezisk, nie ma raczej szans, by bliżej się z nimi zapoznać, a znalazca zabytku trzymać go może latami i nic nie publikować. Musi zatem być cierpliwy.

Na zdjęcie toporu z Arkalochori czekał rok. O dziwo, dostał je z Polski, mimo że pisał bezpośrednio do muzeum, w którym się ów topór znajduje, i w którym mają być może gotowe jego zdjęcia, a gdyby nawet nie — kłopot niewielki.

Przychylnie nastawieni do jego niezwykłego hobby koledzy z uczelni radzili mu kiedyś, żeby zrobił z tego doktorat. Materiału ma przecież dużo, a i wiedzę imponującą. To już byłoby coś! Pomyślał jednak, że skoro to jest tylko hobby, to chce zachować je w czystej, nieskażonej postaci. Nie o tytuły naukowe czy pieniądze przecież chodzi, ale o wzbogacenie nauki (— Dla mnie największą korzyścią i radością byłoby opublikowanie wszystkich wyników moich analiz starożytnych pism.)

Jeden artykuł ukazał się w kwartalniku „Z otchłani wieków", trzy w „Problemach", dwa następne czekają na druk. Benon Szałek zwracał się jeszcze do redakcji „Meandra", ale usłyszał w odpowiedzi, że nie mają technicznych możliwości drukowania takich tekstów i sprawa upadła. Próbował też drukować za granicą.

Amator zniesie wszystko: samotność, obojętność, śmieszność, szyderstwa. Świadomie przecież bierze na siebie ryzyko z tym związane. Zazwyczaj wie, co może go czekać, a jeśli nie wie — prędzej czy później będzie mógł się przekonać. Ale najtrudniejsza do zniesienia jest niepewność. Miałem rację, czy nie? Osiągnąłem cel, czy cała tyloletnia praca poszła na marne? Bo amator nie może żyć bez zawodowców. Obie te kategorie wzajemnie dopełniają się i muszą współistnieć, choć raczej rzadko współistnienie to opiera się na zasadach równości i wzajemnego szacunku. Dr Benon Szałek, który — choć amator — jako pracownik naukowy Politechniki Szczecińskiej, jest też przecież zawodowcem, wie o tym doskonale. I dlatego chyba tyle w jego słowach goryczy:

— Wydawać by się mogło, że sprawa odczytania pism kreteńskich powinna zainteresować ludzi, którzy zawodowo zajmują się starożytnością, a szczególnie historią basenu Morza Śródziemnego. Wydawać by się mogło, że powinni z entuzjazmem podejść do moich teorii i wziąć je pod lupę i albo potwierdzić ich słuszność, albo udowodnić, że nie mam racji. Sądząc po tylu latach milczenia, nie interesuje ich to!

— Nie wiem, być może cechą „prawdziwego" naukowca jest marnotrawienie wysiłku innych? I gdyby to jeszcze chodzio o tę jedną dziedzinę... Ale widzę, że w innych dzieje się tak samo. Ważne są pieniądze, stanowiska, a nauka... U nas jak ktoś poważnie chce się zajmować nauką, to raczej nie zrobi na tym pieniędzy. Jak znów nastawi się na robienie pieniędzy, nie ma czasu na poważne zajmowanie się nauką, wnoszenie do niej naprawdę nowych wartości. Ja nigdy nie miałem materialistycznego stosunku do tego, czym się zajmuję. W wieku trzydziestu czterech lat nie mam własnego mieszkania, nie mam samochodu ani konta dolarowego... Nie wiem, może nie jestem jeszcze w pełni dojrzały? Może nie nauczyłem się jeszcze życia?

* * *

Od 1908 roku do chwili obecnej na całym świecie przedstawiono już ponad sto propozycji odczytania napisu na dysku z Fajstos. Twierdzono, że inskrypcja jest w języku hetyckim, luwijskim, baskijskim, etruskim, starogreckim i jeszcze paru. Niejedna profesorska sława przez ten niewielki krążek wypalonej gliny straciła już swój blask. Podobnie było z hieroglifami kreteńskimi i wieloma innymi nie odczytanymi dotąd pismami.

Już choćby tylko na tej podstawie można dojść do prostego wniosku, że teorie dr Benona Szałka są jeszcze jednym wymysłem, tworem jego bujnej i bezkrytycznej wyobraźni i nie warto zaprzątać sobie nimi głowy. Oczywiście, można i tak, ale trzeba to najpierw udowodnić. Proszę bardzo...

P.S. Gdyby ktoś młody i pełen zapału też zechciał zająć się w domowym zaciszu odczytywaniem starożytnych pism i napisów, niech zapyta pewnego szczecinianina, co o tym sądzi. W odpowiedzi usłyszy na pewno: nie rób tego, idź lepiej na dziewczyny, do parku, pojedź na spływ kajakowy, nie marnuj swego młodego życia, bo czeka cię samotność, śmieszność i zgorzknienie, chyba że... Chyba że by ci się udało!

Rys. 1. Różne warianty tego samego zespołu znaków hieroglificznych, tworzących jeden wyraz.

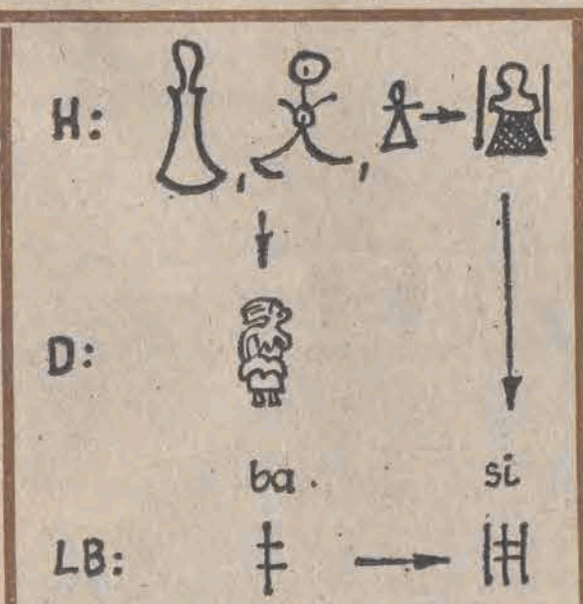

Rys. 2. Ewolucja pism kreteńskich od hieroglifów (H) (ok. 2000—1550 r. p.n.e.) poprzez pismo na dysku z Fajstos (D) (ok. 1700 r. p.n.e.) do pisma linearnego B (LB) (ok. 1450—12000 r. p.n.ę.).

W lewej kolumnie znak odpowiadający sylabie „ba" (ba=pa). Znak ten — na dysku z Fajstos widać to wyraźnie — przedstawia kobietę z obnażonymi piersiami, ubraną w coś w rodzaju spódnicy. Otóż w języku greckim istnieje wyraz „bathuzonos" (niskoopasana), którego pierwszą sylabą jest właśnie „ba".

W piśmie linearnym B, które odcyfrował M. Ventris, znak „ba" występuje niekiedy między dwiema kreskami i wówczas należy go czytać jako „si". Podobnie jest też i w piśmie hieroglificznym. Ta wybrana przypadkowo analogia świadczy, zdaniem dr Szałka, o bliskim pokrewieństwie hieroglifów i pism linearnych.

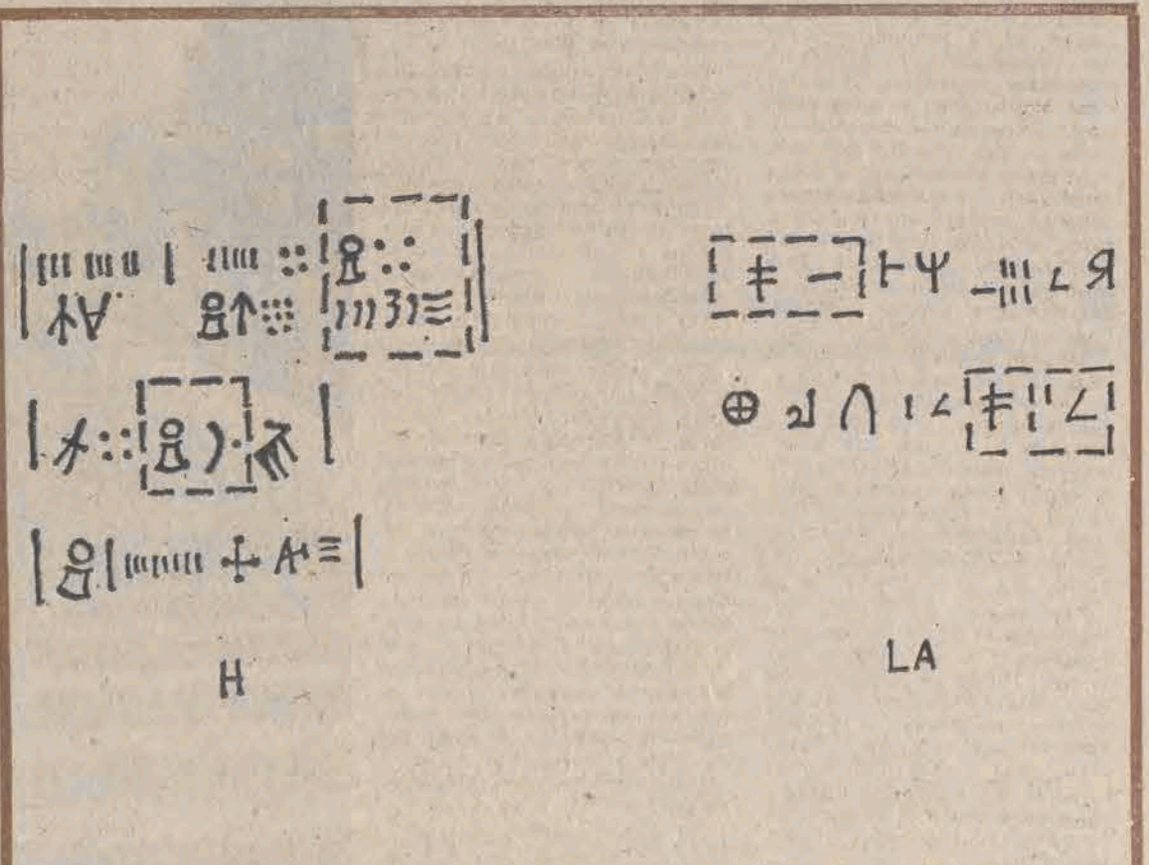

Rys. 3. Zarówno w piśmie hieroglificznym jak i w pismach linearnych —np. w linearnym A (LA) (ok. 1850—1200 r. p.n.e) wspomniany już znak „ba" występuje często — na tabliczkach inwentarskich — w towarzystwie cyfr. Sposób oznaczania cyfr w pismach kreteńskich został już dawno wyjaśniony i powszechnie zaakceptowany przez naukę. Zdaniem dr Szałka, znak ów może oznaczać jakiś tytuł, imię, czy nazwę. Wszystko zdaje się świadczyć, że i w hieroglifach i w pismach linearnych znak „ba" pełni tę samą funkcję.

Polska obecność — sztuka żywa

(Wokół Muzeum Sztuki w Łodzi)

GERMAIN VIATTE

Łódź. W tym szarym mieście, polskim Manchesterze, wielkim ośrodku przemysłu tekstylnego, zasnutym gryzącymi dymami, od przeszło wieku na rogu przy zbiegu dwóch prostopadle przecinających się ulic stoi pałac Poznańskiego — pokryte patyną zwierciadło kapitalistycznego splendoru. Eklektyczny styl, alegoryczne rzeźby złożone w kącie podwórza, zabytkowa klatka schodowa, w której dębowa, masywna boazeria rozświetla się barwami staroświeckich witraży i zrudziałego złota kordobańskiej skóry. Tak przedstawia się na pierwszy rzut oka obraz Muzeum Sztuki które — być może — było pierwszym w świecie oficjalnym muzeum sztuki współczesnej i które, z dala od wielkich metropolii artystycznych, od rynków sztuki, pomimo gwałtownych przeciwieństw czasu, wciąż przekazuje świadectwo międzynarodowej wspólnoty i solidarności artystów

To w roku 1929, gdy miasto przyjęło pierwsze zbiory dzieł sztuki dawnej, ofiarowane przez historyka i kolekcjonera Kazimierza Bartoszewicza, grupa „a. r." (artyści rewolucyjni) od razu poparta przez Przecława Smolika odpowiedzialnego za sprawy kultury i oświaty urzędnika socjalistycznego Magistratu łódzkiego, podjęła inicjatywę stworzenia kolekcji reprezentatywnej dla międzynarodowej awangardy lat dwudziestych. Od początku więc Muzeum powstawało dzięki zbiorowej samoświadomości kolektywu artystów Konstruktywiści z „a. r", zgrupowani wokół Władysława Strzemińskiego, Katarzyny Kobro i Henryka Stażewskiego znaleźli tam jedna z wielu możliwości aktywnego działania społecznego i okazję do zamanifestowania, w sposób trwały swojego udziału w poszukiwaniach artystycznych o międzynarodowym charakterze, prowadzonych od przeszło dziesięciu lat w całej Europie.

Władysław Strzemiński przy bardzo wydatnej pomocy z Paryża poety Jana Brzękowskiego, redaktora francusko-polskiego czasopisma „L'Art Contemporain", doprowadził do tego, że łódzki projekt w pełni się powiódł. To właśnie Brzękowski zdołał zainteresować nim Hansa Arpa Sophie Taeuber i Maxa Ernsta, a dzięki Michelowi Seuphorowi, który oprócz dzieł własnych ofiarował płótna Baumeistera, Vordenberga, Gildewarta, Huszara Joostena, Werkmana, pozyskała współpracę twórców z „Cercle et Carré" Pomogła także Wanda Chodasiewicz-Grabowska (przyszła Nadia Léger), która terminując wraz ze Stażewskim u Légera i Ozenfanta, zebrała obrazy swoich mistrzów, a także płótna Charchoune'a i Marcoussisa.

Zbiór już bardzo pokaźny, przyjęty w depozyt przez miasto w roku 1932, oprócz nazwisk wyżej przywołanych zawierał dzieła van Doesburga, Caldera, Soni Delaunay, Torresa-Garcii, Héliona Seligmana, Valmiera, Gorina Herbina, Prampoliniego, Gleizes'a, Vantongerloo, Lurcata i sami Polacy ofiarowywali liczne obrazy. W ten sposób więc kolekcja pozwalała zdać sprawę z rozmaitych, wysoce zaawansowanych, tendencji artystycznych w kraju (poza członkami grupy „a. r." malarstwo Witkacego Czyżewskiego Chwistka Penaszki, Makowskiego i innych).

Pamiętajmy, że w tym samym czasie Louis Hautecoeur mianowany w roku 1931 dyrektorem Musée de Luxembourg nie zdołał uniezależnić swojej kolekcji, w której z trudem akceptowano nabistów i twórczość spod znaku Instytutu oraz, że Le Corbusier popadł w rozpacz chcąc w swoim czasie stworzyć muzeum o otwartej formule.

Inicjatywa artystów z Łodzi mogła być utwierdzona i przekształcona w nowatorskie doświadczenie muzeograficzne dzięki nominacji na dyrektora Muzeum Mariana Minicha. Umiał on docenić oryginalność międzynarodowej kolekcji i wpisać ją w program który w części zwracał się ku sztuce dawnej, i który stawia Muzeum w podwójnej roli — badawczej i upowszechniania sztuki wśród coraz to szerszych kręgów odbiorców.

Wprawdzie jego dokonania zostały w znacznej części zrujnowane przez wojnę i grabieże nazistów, jednak Minich mógł podjąć na nowo swoje obowiązki w roku 1945 i otworzyć w 1948 Muzeum w dawnym pałacu Poznańskiego. I ponownie Władysław Strzemiński pomógł mu w odtworzeniu kolekcji sztuki nowoczesnej, zbioru, który w części się zachował, ponieważ umieszczono go na wystawie sztuki zdegenerowanej (entartete Kunst), zorganizowanej przez nazistów (kolekcja K. Hillera).

Dopiero teraz Strzemiński, teoretyk unizmu, zrealizował swój przedwojenny projekt stworzenia sali konstruktywistycznej, która zostanie odtworzona na wystawie „PRESENCES POLONAISES", aby pokazać kilka wybranych przykładów pierwotnej kolekcji międzynarodowej.

Marian Minich ponowił w 1957 kontakty z artystycznymi środowiskami Paryża i znów dzięki poparciu Michela Seuphora, przy pomocy pioniera abstrakcjonizmu H. Berlewiego oraz E. Jaguera, R. Lebela i K. Jelleńskiego gromadził dary. Dzięki temu Muzeum pozyskało dzieła Mortensena, Vasarely'ego, Matty, Viseux, Georgesa, Revola, Baja, Kujawskiego, Götza, Finiego, Serpana i innych. Tak więc przedwojenna idea międzynarodowego otwarcia została uchroniona i przywrócona do życia.

Marian Minich w podsumowaniu swojej działalności i historii Muzeum, opublikowanym w 1962 roku, przedstawił zasady muzeografii dynamicznej opartej na stylistycznych i historycznych analizach, a jednocześnie przypomniał o funkcjach edukacyjnych i społecznych, także ideologicznych, jakie pełniło Muzeum w mieście.

Ryszard Stanisławski podejmując po nim w roku 1966 obowiązki dyrektora zdołał umocnić i pomnożyć dokonania poprzednich promotorów Muzeum, wiążąc nowatorskie tendencje w sztuce polskiej z najnowszymi wydarzeniami na międzynarodowej scenie sztuki. Wykorzystał tu obecność wiernego świadka pokolenia poprzedników. Henryka Stażewskiego, znów odgrywającego znaczącą rolę w sztuce polskiej, która uobecniła się szczególnie dzięki aktywności galerii Foksal, centrum awangardy kierowanym przez Wiesława Borowskiego w Warszawie.

Odważne działania oficjalne odrzucające kompromis i pokusę neutralnego obiektywizmu: ofensywne akcje podejmowane przy każdej okazji wielkich imprez międzynarodowych oraz podczas wielu wystaw na całym świecie; akcje płodne i inspirujące w których zawsze rezygnowano z dyplomacji stawiając na pierwszym planie niczym nie skrępowana twórczość

Tak zatem Muzeum Sztuki w Łodzi pozostaje obecnie jedyną prawdopodobnie instytucją w Europie Wschodniej, która zdolna jest podtrzymywać stałe związki w światowych wspólnotach artystów. Zbiory Muzeum wciąż powiększają się o dzieła pochodzące z Francji, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Czechosłowacji, oraz od całkiem niedawna — jak to mogliśmy przekonać się w Arc — ze Stanów Zjednoczonych. Wystawy organizowane na miejscu udowodniły że miasto, które poprzednio odnosiło się do nich z dystansem, teraz z uwagą przyjmuje najnowsze dzieła.

Od końca lat sześćdziesiątych i początku lat siedemdziesiątych prezentował więc Stanisławski w swoim Muzeum wystawy indywidualne A. Jacqueta, J. Johnsa, F. Morelleta, R. Anuszkiewicza, G.T. Carmela, D. Davisa, A. Isosaki, D. Boschiera, J. Tilsona i wielu wielu innych. Swoją aktywność wiąże Stanisławski zawsze z muzeami najbardziej dynamicznymi. Biorąc udział w pracach Komisji Sztuk Współczesnej ICOM Ryszard Stanisławski bezpośrednio i twórczo kształtuje ideę przyszłości muzeów, która znajduje praktyczne realizacje u Wilde'a w Amsterdamie, u Szeemanna w Bernie i u Hultena w Sztokholmie. Nie ma więc nic zaskakującego w fakcie, że właśnie Muzeum Stanisławskiego zorganizowało w roku 1975, pierwszą poza Francją, ekspozycję projektu Centre Georges Pompidou, który finalizował doświadczenia i marzenia całej generacji muzeografów.

Przygotowywana od dawna wystawa „PRESENCES POLONAISES — L'ART VIVANT AUTOUR DU MUSEE DE ŁODZ" wydaje się nie mieć precedensu. Dzieła, jakie gromadzi, pochodzą z Łodzi, ale także z największych muzeów w Polsce, które wyraziły zgodę na współuczestnictwo w tym zamierzeniu. Poczęta z inicjatywy naszych dwóch muzeów, przygotowywana przez zespół specjalistów polskich i francuskich, rozmyślnie obejmująca wiele dziedzin sztuki, wystawa ta daje pierwszeństwo niektórym najważniejszym osiągnięciom sztuki polskiej naszego stulecia i w żaden sposób nie pretenduje do stworzenia panoramy historycznie kompletnej, jak to było np. w przypadku ekspozycji „Duch romantyczny w sztuce polskiej" (Grand Palais, 1977).

Na naszej wystawie będzie można zapoznać się z fascynującą siłą dzieła Stanisława Ignacego Witkiewicza, ze wspaniałym radykalizmem unizmu i z bezgraniczną witalnością sztuki powojennej znaczonej dwojako — przez utopię i katastrofizm. Ujawni się na tej wystawie także, postawiony raz jeszcze, problem funkcji muzeum w społeczeństwie naszych czasów, miejsca przygody i nowych propozycji, świadka człowieczych sprzeczności, refleksu naszych nadziei.

Przełożył: G. G.

Wielka wystawa polskiej sztuki XX wieku w Paryżu

Od specjalnego wysłannika „Odgłosów" Grzegorza Gazdy

Dawno, dawno temu, będąc z wycieczką studencką w Paryżu zwiedzałem Muzeum Sztuki Nowoczesnej. W pewnym momencie zapewne usłyszawszy język polski podszedł do naszej gromadki dyrektor tego muzeum (co wyjaśniło się później) i zapytał ni stąd ni zowąd, czy wśród nas jest ktoś z Łodzi. Przyznałem się do swojego rodzinnego miasta nie bez wahania. Wtedy dyrektor uścisnął mi dłoń i wypowiedział kilka zdań które i dla mnie i dla całej grupy były ogromnym zaskoczeniem. Właśnie tam, w Paryżu, po wielu dniach pełnych artystycznych wrażeń, usłyszeliśmy słowa najwyższego uznania dla kolekcji sztuki nowoczesnej w łódzkim Muzeum Sztuki. Pamiętam (nie bez zażenowania!) jak popatrywaliśmy po sobie z powątpiewaniem: jak to?! w Łodzi?! Wspaniałe muzeum?!

Przytaczam ten epizod nie bez powodu: tamto moje zaskoczenie (młodzieńca — co muszę dodać — ze sporymi aspiracjami inteligenckimi) wciąż jeszcze wydaje mi się być udziałem całych rzesz, uznających się za wysoce kulturalnych Polaków. Jednym słowem — zasługi, artystyczne atrakcje i dokonania łódzkiego Muzeum Sztuki są wyżej cenione i szerzej znane za granicą niż w kraju, nie mówiąc już o Łodzi.

Myślę, iż przekonywającym dla sceptyków dowodem będzie, zamieszczony obok, przekład artykułu Germaina Viatte'a (kustosza Musee National d'Art Moderne) z „CNAC MAGAZINE", czasopisma wydawanego przez Centre National d'Art et de la Culture czyli przez Centre Georges Pompidou (ta skrócona nazwa jest w Polsce częściej używana).

Z tego tekstu wynika jeszcze jeden, istotny fakt (wybaczmy autorowi ów obraz Łodzi zasnutej gryzącymi dymami): ta największa w historii recepcji polskiej sztuki XX wieku za granicą wystawa, którą tu zapowiadam, jest pomyślana jednocześnie przez francuskich organizatorów jako swoiste homagium, złożone historii i teraźniejszości łódzkiego Muzeum Sztuki.

Wystawa, której programowa koncepcja kształtowała się w wyniku wieloletnich przygotowań i bezpośredniej współpracy Centrum Georgesa Pompidou i naszego Muzeum Sztuki, będzie udostępniona paryskiej publiczności (wliczając tu wielomilionowe rzesze turystów z całego świata) od czerwca do grudnia br. Opracowaniem koncepcji wystawy i jej przygotowaniem zajął się zespół mieszany, polsko-francuski, pod kierownictwem dwóch komisarzy generalnych: Dominique'a Bozo — dyrektora Musee National d'Art Moderne i Ryszarda Stanisławskiego — dyrektora Muzeum Sztuki w Łodzi.

Jak pisze obok Germain Viatte — wystawa „PRESENCES POLONAISES — L'ART VIVANT AUTOUR DU MUSEE DE ŁODZ" nie pretenduje do przedstawienia pełnej panoramy sztuki polskiej XX wieku. Generalnym jej założeniem jest pokazanie dwóch przeciwstawnych i reprezentatywnych zjawisk w międzywojennej sztuce polskiej, które organizatorzy nie bez przyczyny nazwali KRĘGIEM WITKACEGO i KRĘGIEM STRZEMIŃSKIEGO. Jak sądzę te dwa nazwiska mocno już zakorzenione w świadomości europejskich odbiorców kultury spełnią w paryskiej ekspozycji rolę — by tak określić — hasła wywoławczego dla całego kontekstu kulturowo-artystycznego, w jakim tworzyli i który jest mniej znany. Twórczość Witkacego została przez organizatorów uznana za podsumowanie tego wszystkiego, co rodziło się w kręgu polskiego symbolizmu i ekspresjonizmu; jego osobowość artystyczna zaprezentowana zostanie we wszystkich dziedzinach, jakie podejmował: od dramatu poprzez teorię sztuki i filozofię, malarstwo i fotografię do literatury. Wystawa podejmie także związki Witkacego z Bronisławem Malinowskim, Brunonem Schulzem i Karolem Szymanowskim (seria koncertów towarzyszących wystawie).

KRĄG STRZEMIŃSKIEGO z kolei, to obszar konstruktywizmu polskiego, działalności grup BLOKU, PRAESENS, „a r." unizmu, architektonicznych kompozycji przestrzennych, awangardowych poszukiwań w zakresie przekazu masowego literatury i poezji (twórczość Awangardy Krakowskiej).

Jeszcze wszechstronniej na paryskiej wystawie zostanie zaprezentowany KRĄG SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ, ukształtowanej po II wojnie światowej, w dwóch głównych zespołach: po pierwsze — ekspresja emocjonalna uwidoczniona w dziełach Tadeusza Kantora, Aliny Szapocznikow, Tadeusza Brzozowskiego, Stanisława Fijałkowskiego, Jerzego Beresia i Władysława Hasiora, po drugie — poszukiwania racjonalno-konstrukcyjne, charakterystyczne dla twórczości Zbigniewa Gostomskiego, Romana Opałka, Zdzisława Jurkiewicza, Marii Stangret, Antoniego Starczewskiego, Krzysztofa Wodiczki, Henryka Stażewskiego. Specjalny akcent — jak wynika z programowych zapowiedzi wystawy — położony zostanie na wieloartystycznej twórczości Tadeusza Kantora (m.in. rekonstrukcja przestrzenna na temat spektaklu „Umarła klasa").

W tej części wystawy pokazane zostaną filmy eksperymentalne, powstałe w wyniku awangardowych doświadczeń absolwentów łódzkiej szkoły filmowej (Robakowski, Waśko, Bruszewski i Rybczyński) oraz specjalna etiuda audiowizualna na temat najwybitniejszych osiągnięć polskiego teatru z lat 1956—1981, w zakresie dramatu (Gombrowicz, Mrożek, Różewicz), inscenizacji i reżyserii (Świnarski, Dejmek, Axer, Wajda, Szajna, Grzegorzewski i Warmiński) oraz eksperyment Grotowskiego i teatry studenckie.

Znajdzie tu swoje miejsce także literatura współczesna (program audiowizualny oraz ekspozycja książek, rękopisów i fotografii) sygnowana nazwiskami Andrzejewskiego, Białoszewskiego, Brandysa, Brezy, Gombrowicza, Herberta, Iwaszkiewicza, Konwickiego, Kuśniewicza, Lema, Miłosza, Myśliwskiego, Różewicza, Rudnickiego, Mrożka, Parnickiego, Stachury, Stryjkowskiego i Ważyka. Dział ten stanowi, w zamiarze autorów scenariusza, „rodzaj przywołania obecności współczesnego kontekstu literackiego, nie zaś ściśle pojętej wystawy literatury".

Myliłby się ten który pomyślałby, że to już wszystko. Nieodłączną część programu tej bezprecedensowej ekspozycji stanowić będą: cykl koncertów muzycznych (od czerwca do września) od Szymanowskiego, poprzez Lutosławskiego i Pendereckiego po najmłodszą generację kompozytorów i dyrygentów; cykl przedstawień „Umarła klasa" teatru „Cricot 2" (wrzesień); projekcje filmów o sztuce; seria odczytów wokół tematyki wystawy (czerwiec i wrzesień); przegląd przeszło pięćdziesięciu filmów fabularnych, zorganizowany przez Cinematheque Francaise (grudzień).

Informacje o tej wystawie (nieliczne!), jakie dotąd pojawiły się w naszych gazetach i tygodnikach, posługują się w tytułach określeniem „gigantyczna". Biorąc pod uwagę to, co wyżej przekazałem (w dużym skrócie) słowo to należy uznać za eufemizm osłabiający rzeczywisty ogrom polsko-francuskiego zamierzenia.

Wystawa ta — jak można przypuszczać — będzie jeszcze jednym potwierdzeniem wielkiej idei Pontusa Hultena, projektodawcy paryskiego Beaubourgu: prezentować w Centrum Georgesa Pompidou wielkie wielodyscyplinarne wystawy, ukazujące główne ośrodki wymiany międzynarodowej idei artystycznych XX wieku.

Prawdę mówiąc, dziwiłem się podczas wielu rozmów z dyrektorem Ryszardem Stanisławskim na temat tej wystawy, że nie odczuwał, w żadnym momencie sposobienia prawie dwóch tysięcy „obiektów" na paryską ekspozycję, jakiejkolwiek tremy. Przecież oglądać ją będą tysiące Francuzów, nie mówiąc już o dziesiątkach tysięcy wycieczek z całego świata, dla których wizyta w Centre Georges Pompidou będzie równie ważna jak chwila zadumy nad historią przy grobowcu Napoleona.

Wystawa „OBECNOŚĆ POLSKI — SZTUKA ŻYWA WOKÓŁ MUZEUM SZTUKI W ŁODZI" zostanie otwarta w dniach 21—23 czerwca 1983 r.

Foto: Iwona Bartosik

List z Krakowa

Umieją krakowianie pozyskiwać sobie sprzymierzeńców w całym kraju, potrafią przekonać każdego, że przywrócenie ich miastu dawnego piękna jest sprawą całego narodu. Temu celowi służy też ogólnopolska sesja publicystów kulturalnych, urządzana tradycyjnie z okazji Dni Krakowa, w której programie tej właśnie sprawie poświęca się główną uwagę.

ODŻYJE CZY UMRZE

O odnowie zabytkowego Krakowa, określanej też zamiennie jako odbudowa, rekonstrukcja, rewaloryzacja czy jak tam jeszcze, mówi się przeważnie w tonacji alarmistycznej i można by nawet odnieść wrażenie, że jest to przedsięwzięcie niemal beznadziejne. Jest bowiem faktem, że ze względu na ogrom zadań trwa tutaj od szeregu lat rozpaczliwy wyścig pomiędzy „odnowicielami" (architektami, historykami sztuki, konserwatorami) a wyjątkowo niszczycielskim działaniem czasu.

Sceptycy twierdzą, że przy obecnym tempie odbudowy coraz więcej sił i środków trzeba będzie poświęcać na konserwowanie tego, co się już odtworzyło — przed zagrożeniami z powietrza i z podmakającego podłoża, co w pewnym momencie zmusi do zaniechania dalszej odbudowy. Przeważa jednak opinia, nie tylko w środowisku czynnie związanym z odbudową, ale, jak się zdaje, także w tutejszym społeczeństwie, że trzeba wzmagać i doskonalić wielokierunkowe działania, ponieważ... „Kraków nie może umrzeć!" Czy jednak zbożne postanowienie nie okaże się tylko życzeniem — o tym chciałoby się już dziś wiedzieć na pewno. Ale oddajmy głos optymistom. Ich optymizm jest obecnie optymizmem trudnym, opartym jednak, jak się zdaje, na bardziej realnych niż dotąd przesłankach i nowym sposobie myślenia o problematyce odbudowy i ochrony zabytków.

Dotychczas odnowiono w Krakowie 375 zabytkowych budynków, w tym 16 monumentalnych i przeprowadzono około 2.200 remontów — częściowych i zabezpieczających. Obecnie trwają prace przy 130 obiektach. Liczby rzeczywiście niemałe, jest to jednak nieduża część zamierzonych prac, które obejmują w przybliżeniu przywrócenie dawnego wyglądu i wystroju około 4.000 budynków. Całość tego programu, uwzględniającego nieustanny dozór i konserwację obiektów sukcesywnie odnawianych zakrojona jest na mniej więcej 80 lat.

Przybysza z zewnątrz ten odległy termin przeraża i zniechęca, jednak na rodowitych krakowianach, zasiedziałych tu od pokoleń, przywykłych do obcowania na co dzień z wielowiekowymi budowlami i innymi świadectwami odległej przeszłości, nie sprawia specjalnego wrażenia, zdają się go przyjmować ze stoickim spokojem (tutejsi dziennikarze mają swą siedzibę w 600-letniej kamienicy, w której mieszkają także „normalni" lokatorzy).

Dotychczasowe koszty tych działań od czasu utworzenia funduszu odbudowy Krakowa w 1979 roku wyniosły 1,7 miliarda złotych, co stanowi zaledwie około 1 proc. przewidywanych kosztów (w cenach porównywalnych) które trzeba będzie jeszcze ponieść, czyli sto kilkadziesiąt miliardów. Jak dotychczas z dotacji państwowych pokryto wydatki na przeszło 1 miliard złotych. Widomą oznaką społecznej ofiarności są wystawione na Rynku i na Wawelu puszki, do których zebrano dotychczas 5 mln złotych i przeszło 10.000 dolarów.

Co już odbudowano i nad czym jeszcze się pracuje, między innymi w obrębie podwawelskiej ulicy Kanoniczej (której ukończenie, to jest odbudowę 25 budynków przewiduje się na 1995 rok), o tym należałoby napisać odrębny artykuł, czytelny jedynie dla tych, co dobrze znają Kraków, powróćmy więc do kwestii: na czym polega nowe spojrzenie na problematykę rewaloryzacji krakowskich zabytków.

Na pierwszym miejscu należy chyba postawić ścisłe powiązanie tego zagadnienia z ochroną środowiska naturalnego, czyli redukcją zagrożeń godzących zarówno w człowieka, jak i w to, co przez wieki swoją pracą stworzył. Na czoło wysuwa się ochrona przed chemicznym skażeniem atmosfery, zanieczyszczanej przez dymy wielkich obiektów przemysłowych, przez spaliny pojazdów mechanicznych, jak wreszcie dymy z domowych palenisk. Niektórzy powiadają, że bez okiełznania tych zagrożeń przez przeprofilowanie przemysłu (m.in. Huty im. Lenina), odsunięcie komunikacji kołowej poza obręb zabytkowych dzielnic i wymianę domowych pieców na nowoczesne instalacje gazowe lub elektryczne, nie warto łożyć na rekonstrukcję i konserwację zabytków, trzeba więc przede wszystkim ponieść wspomniane koszty w wysokości około 80 miliardów złotych. Ale kiedy będzie nas na to stać?

Wiąże się z tym ściśle postulat, znajdujący coraz silniejsze poparcie władz — sukcesywnego hamowania dalszego rozwoju krakowskiego przemysłu i dostosowywanie jego profilu do potrzeb miasta, a także ograniczenie dalszego napływu ludności, zwłaszcza iż Kraków wzrósł od przed wojny blisko trzykrotnie i osiągnął już 720 tysięcy mieszkańców.

Utrwaliło się też przekonanie, że zabytkowe dzielnice, zwłaszcza śródmieście, nie mogą straszyć przybyszów jako bezludny, martwy skansen, wiąże się to jednak z niełatwym zagadnieniem ponownego zasiedlania rekonstruowanych budynków mieszkalnych, których przecież nie można oddać w użytkowanie wyłącznie instytucjom. Ale jakimi sankcjami prawnymi zagrozić ewentualne szkody wyrządzone zabytkowej substancji wnętrz przez prywatnych użytkowników?

Tak więc w niełatwych warunkach kontynuuje się przywracanie Polsce wspaniałego dziedzictwa narodowej przeszłości, a wiele przy tym będzie zależeć od sytuacji ekonomicznej kraju. Ale jeszcze jedno w nowym spojrzeniu na rolę i miejsce Krakowa wśród podobnych mu zabytkowych miast polskich godne jest uwagi. Nie chce on być konkurentem innych w walce o materialne środki, lecz widzi swoje zadania jako rewaloryzacyjnego poligonu, którego doświadczenia służyłyby merytorycznie innym ośrodkom.

WIZERUNEK WITA STWOSZA

Tegoroczne obchody Dni Krakowa uwzględniły 450 rocznicę śmierci wielkiego artysty, którego twórcza działalność w ważnym okresie jego życia związana była z Krakowem. Wycichły dość jałowe spory o narodowość artysty, zapanowała milcząca zgoda obu zainteresowanych nacji co do tego, iż ów znamienity rzeźbiarz rodem z Norymbergi (a ściśle z pobliskiej małej miejscowości nad Neckarem) dzielił swój twórczy żywot pomiędzy oba te miasta. Do Krakowa przybył w wieku około 30 lat na zaproszenie, być może, niemieckiej gminy katolickiej, aby w świątyni Marii Panny zaprojektować i wykonać ołtarz. Do pracy przystąpił zapewne jeszcze przed 1477 rokiem, trzeba było bowiem wybrać właściwy budulec w okolicznych lasach i odpowiednio go przysposobić, zorganizować kilkunastoosobową pracownię, złożoną z czeladników i uczniów.

Ujawniono zresztą, iż ów niemiecki Veit Stoss (a po naszemu Stosz lub Stwosz) był naturą niespokojną, popadał w stałe konflikty z władzami i otoczeniem i, być może, dlatego opuścił Norymbergę, by za stosunkowo niewysoką sumę, niespełna 3 tysiące złotych, podjąć się u nas roboty przy ołtarzu. (Inna rzecz, że odpowiadało to cenie mniej więcej 10 kamienic). Pracował nad swoim dziełem wraz z uczniami przeszło 10 lat, po czym na skutek jakiegoś zatargu czy niepomyślnej transakcji finansowej opuścił Kraków, by powrócić do Norymbergi, gdzie jednak po pewnym czasie stanął przed sądem za jakieś nowe uchybienia. Miał być oskarżony o nierozliczenie się przed cechem z powierzonego mu do prac złota i napiętnowany wypaleniem na czole czy na policzku hańbiącego piętna w postaci litery D, oznaczającej złodzieja („Dieb"). W drodze łaski zezwolono mu do końca sędziwych lat utrzymywać się ze sprzedawania własnych prac na rynkach i odpustach. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że był człowiekiem konfliktowym, ale przecież artystą bardzo niepośledniej miary, który zostawił po sobie w Polsce nie tylko ołtarz mariacki, ale także wywarł ogromny wpływ na rozwój polskiej sztuki.

Ukazaniu tych okoliczności służy wystawa w dawnym domu Stwosza, pokazująca Kraków jego epoki, stan kultury i sztuki polskiej w czasie jego przybycia. Okazuje się, że nie była to kulturalna pustynia, w tym bowiem blisko 20-tysięcznym mieście (drugim w Polsce po Gdańsku) działało przypuszczalnie około 100 rzemieślników-artystów, których prace, zgromadzone dziś w domu Stwosza, świadczą o poważnym już i oryginalnym dorobku polskiej sztuki rodzimej. Ale Stwosz, dzięki nowemu widzeniu człowieka, doskonałemu opanowaniu artystycznego rzemiosła, jawi nam się dziś jako jedna z najwybitniejszych w Europie osobistości artystycznych późnego gotyku.

Z okazji rocznicy urządzono wspaniałe widowisko, którego pierwsza część odbywała się w Kościele Mariackim przed słynnym ołtarzem, z udziałem artystów Teatru Starego. W zaciemnionej świątyni reflektory oświetlały kolejne kwatery skrzydeł ołtarza, a płynący z głośników chóralny śpiew niejako objaśniał treści poszczególnych scen. Po odegraniu prologu aktorzy w kostiumach przemaszerowali od ołtarza do kościelnych drzwi, a następnie wraz z publicznością przez Rynek do Sukiennic, gdzie odbyła się druga część widowiska. Tylko w Krakowie można sobie wyobrazić takie uliczne działania sceniczne, obserwowane przez przechodniów z zaciekawieniem, ale bez sensacji, jako rzecz tutaj zwykłą. Druga część widowiska była zresztą nie najwyższego artystycznego lotu, wypełniała ją bowiem umoralniająca sztuka Wincentego Rapackiego o życiu i działalności Stwosza, pozbawiona zupełnie dramatyzmu.

I pomyśleć, że przez długie wieki ołtarz mariacki, podziwiany i czczony przez społeczeństwo, uchodził za dzieło anonimowego mistrza. Dopiero w roku 1836 badacz-amator, Ambroży Grabowski, odkrył, iż jest to dzieło nieznanego wówczas w Polsce norymberskiego rzeźbiarza. Dopiero od tego momentu datuje się rozwój polskiej „stwoszologii", nic dziwnego więc, że Rapacki przed przeszło stu laty niewiele jeszcze wiedział o bohaterze swojej sztuki.

INNE ATRAKCJE

Zapewniono też dziennikarzom obejrzenie sztuki Calderona „Życie jest snem", w opracowaniu („imitacji") Jarosława Marka Rymkiewicza na scenie Teatru Starego. Interesująca inscenizacja i pomysłowa reżyseria Jerzego Jarockiego, niezła na ogół gra aktorska (mimo przewagi młodzieży), a sama sztuka pobudza do refleksji nad mechanizmami sprawowania władzy i nad psychologią wzlotów i upadków człowieka. Ale — jako iż rzecz dzieje się w Polsce, umownie i pretekstowo przez autora traktowanej — reżyser nie omieszkał do tego XVII-wiecznego utworu wprowadzić nagranego na taśmę metalicznego szczęku czołgowych gąsienic oraz warkotu bombowców. Jeszcze jedno z tak częstych ostatnio artystycznych nadużyć, w daremnym usiłowaniu pozyskania za wszelką cenę publiczności. Żenujące...

Imprez, jak co roku, jest z okazji Dni Krakowa mnogość. Jedną z najważniejszych, choć po części chybionych, stanowi wystawa w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych pt. „Myśl artysty" poświęcona setnej rocznicy śmierci Norwida. Dlaczego chybiona? Bo choć zebrano na niej wiele wartościowych dzieł sztuki z kilku polskich galerii, idea przewodnia wystawy rysuje się mało klarownie.

* * *

W ciepłą czerwcową noc pełno w Rynku i na Plantach spacerowiczów, sporo zakochanych par, trochę też pijanych, ale chyba mniej niż w innych wielkich miastach, a przede wszystkim nie tak hałaśliwych i agresywnych. Niemiłe jednak wrażenie sprawiają całe ciągi opustoszałych domów, remontowanych lub przeznaczonych do remontu, w których czernieją puste otwory okienne. Kiedy powróci tu życie?

Trudna i wielce złożona jest problematyka krakowskiej odbudowy. Kto w tym nie tkwi po uszy, jak środowisko entuzjastów tej sprawy, ten nie może pretendować do wypowiadania autorytatywnych opinii. Może, co najwyżej, zapewnić Czytelników, że pomoc rzeczowa, deklarowana przez polskie przedsiębiorstwa (a nie zawsze dotrzymywana) i pieniężne wsparcie ze strony społecznej ofiarności są Krakowowi niezwykle potrzebne.

Kiedyś nam się to wszystkim zwróci, zarówno we wpływach z zagranicznej turystyki, jak i w niewymiernych wartościach, które powinny odzyskać swoje znaczenie.

JERZY KWIECIŃSKI

Bigos hultajski

MIESZANKA FIRMOWA LITERACKO-OBYCZAJOWA

RECEPTA NA MIŁOŚĆ

Wśród rozlicznych inicjatyw wydawniczych ostatnich lat na szczególną uwagę zasługuje seria „Osobliwości" wydawana przez białostocki oddział Krajowej Agencji Wydawniczej. Jako czwarty tomik tej miniaturowej serii (75 na 55 mm) pojawiły się wiersze XVII-wiecznego poety Daniela Naborowskiego pod obiecującym tytułem „Smaczny kąsek". Wydane w sporym nakładzie (30 000 egz.) tomiki znikają błyskawicznie z półek księgarskich, stanowiąc nie tylko smaczny, ale i łakomy kąsek dla prawdziwych smakoszy delicji literackich. Oto próbka talentu Naborowskiego w wierszu „O paniej":

Jedna pani a młoda pytała doktora,
Kiedyby... z rana czy z wieczora?
Doktor niewiele myśląc tak paniej odpowie:
Z wieczora miłość-radość, a po ranu — zdrowie.

Jeśli już jesteśmy przy temacie, warto nadmienić, że niemal identyczną fraszkę pt.: „Medicamentum pro Venere" odnalazł w rękopisie z 1630 r. Franciszek K. Nowakowski i wydał w tomie Jocoseria albo Poważne ludzi mądrych pisma i powieści... Berlin 1840. Że jest to przekład jakiegoś obcojęzycznego pierwowzoru świadczy też fraszka Andrzeja Morsztyna pt. „Recepta":

Jedna pani nadobna pytała doktora,
Kiedy lepiej obłapiać, rano czy z wieczora.
Doktor, jako nie głupi, tak pani odpowie:
Z wieczora to uciecha, a rano zaś zdrowie.
Dobra rada, będę to miała w dobrej pieczy,
I zdrowie i uciecha są to dobre rzeczy.

JAK DAWNIEJ WYGLĄDAŁ PLAC ZWYCIĘSTWA

Zanim jeszcze Oskar Flatt, pierwszy dziejopis Łodzi, wydał swój obszerny „Opis miasta Łodzi" (Warszawa 1853), pisywał czasem o łódzkich sprawach dnia codziennego do warszawskiej prasy. Spod jego też pióra wyszedł barwny opis zabawy ludowej na Wodnym Rynku, noszącym dziś miano Placu Zwycięstwa.

Park jest prześliczny i znacznej bardzo rozległości; przytem starannie utrzymany i nie podciągnięty pod jednostajne formy, pod owe nużące i nudne dla oka wyciągnięte, proste, pod kątem szpalery; tu więcej pozostawiono swobody naturze; co krok napotkasz urozmaicenie, do czego niemało przyczynia się i kilka czysto wytryskujących źródeł. Na rozległym błoniu przed ogrodem rozbite szałasy, kramy, karuzele, istny odpust lub jarmark! Dla młodzieży pomyślano o licznych zabawach: ustawiono dwa słupy wysokie i umieszczono na nich premium, a obok zaprowadzono kilka nowych zupełnie sposobów, którymi ochocza młodzież niezmordowanie zdobywa różnorodne, a zwłaszcza tak pożądane spolia opima (obfite łupy — A. K.). Wszystko, co tylko żyje i wydalić się może z domów, śpieszy dziś do ogrodu, który świetny, różnobarwny przedstawia widok. Radosne, wesołe panuje tu życie; zapomniane już wczoraj, zapomniane i jutro — żyje tylko dziś! Odgłos strzałów, łoskot muzyki, brzęk kielichów, śmiechy, kobiet, zgiełk jarmarczny — wszystko to zlewa się w jeden ton, w jeden chaos dysharmonijny wprawdzie, ale poetyczny. Tu znika wasza warszawska wymuszoność — my tu pełną piersią pijemy swobodną prostotę i szczerość.

„Gazeta Codzienna" 1815, nr 155

A przy okazji informuję, że za jedyne 600 zł można jeszcze nabyć w antykwariatach „Domu Książki" wspomniane dzieło Oskara Flatta, godne umieszczenia na honorowym miejscu domowych bibliotek. Oczywiście nie będzie to niezmiernie dziś rzadki oryginał, lecz wierny przedruk wykonany techniką fotooffsetową w Łódzkich Zakładach Graficznych z egzemplarza udostępnionego przez Bibliotekę Narodową w Warszawie. „Opis miasta Łodzi" wydano w nakładzie 1000 egzemplarzy numerowanych na zamówienie Zjednoczenia Księgarstwa, staraniem Wydawnictw Artystycznych i Filmowych w 1980 r. Wszystkim miłośnikom dawnej Łodzi colecam serdecznie owe, trącące odrobinę myszką dziełko — pierwszy opis naszego miasta.

DO DZIEJÓW POETY W SUTANNIE

Mój sąsiad z przedostatniej strony „Odgłosów", Jerzy Wilmański, przypomniał niedawno (nr 19 z 7 maja br.) postać księdza poety Antoniego Szandlerowskiego, ongiś wikariusza łódzkiej parafii Św. Krzyża. To właśnie w Łodzi powstawały pierwsze próby literackie owego poety w sutannie, to w łódzkim teatrze „Victoria" (obecnie kino „Polonia") wystawiano jego utwory sceniczne „Triumf sztuki" i „Samson", na konkursie Towarzystwa Teatralnego w Łodzi uzyskał pierwszą nagrodę za tragedię „Marii z Magdali", która nie została odegrana z przyczyn cenzuralnych.

Zbiór listów poetyckich Szandlerowskiego „Confiteor" nie był, jak sugeruje Wilmański, przyczyną zniszczenia nakładu z polecenia władz kościelnych, los ten dotknął inne dzieło księdza poety wydane anonimowo prawdopodobnie w krakowskiej oficynie Anczyca w 1906 r. Była to broszurka na cienkim biblijnym papierze nosząca tytuł „Elenchus cleri alias choleri saecularis ac irregularis Consistorii Varsaviensis pro Anno Domini 1906 abo Ołtarzyk Złoty gdzie najdziesz sprośne żywoty braciey konsystorskiey", z której tymczasem podaję końcowe wiersze::

Chryste! dobrze, żeś już w niebie,
nie śród sług — w błotnym Erebie.
Kędy podłość — cnotę grzebie!...

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

Kronika kulturalna

W DNIACH 8—11 czerwca odbywał się XIX Festiwal Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze. Festiwalowe jury, w którego pracach brali udział również łodzianie: **Henryk Debich** (przewodniczący) i **Krzysztof Drzewiecki,** po wysłuchaniu ponad trzydziestu uczestników konkursu piosenkarzy amatorów, przyznało siedem nagród i dwanaście równorzędnych wyróżnień. Ponadto ufundowano kilka nagród specjalnych. „Złoty Samowar" stanowiący główną nagrodę imprezy, przypadł **Jolancie Hawieńczyk** z Suwałk. Jedyna reprezentantka Łodzi — **Anna Miksa** — znalazła się w gronie wyróżnionych. Szczególną atrakcją był występ popularnej piosenkarki radzieckiej **Ally Pugaczowej** w pozakonkursowym Koncercie Przyjaźni, reżyserowanym przez łodzianina — **Jerzego Woźniaka.** Śpiewali tam także piosenkarze z naszego miasta: **Elżbieta Jagiełło i Jerzy Rynkiewicz.**

NAMAWIAMY do wzięcia udziału w imprezie łączącej w sobie uroki rajdu pieszego, przebiegającego atrakcyjnymi trasami Jury Krakowsko-Częstochowskiej z niezapomnianymi wrażeniami, jakie z reguły wynosi się z koncertów studenckich przeglądów piosenki turystycznej, zwłaszcza, jeżeli odbywają się one w malowniczych ruinach zamku w Podzamczu.

II Nocne Śpiewanie na Zamku składa się w tym roku z dwóch koncertów i odbywa się w terminie 1—3.07.1983 r. Koncerty poprzedzone są Rajdem Pieszym, który wyrusza już 30 czerwca!

Trasy rajdu są tak zorganizowane, aby uczestnicy mogli przybyć bezpośrednio na koncerty.

W imprezie można wziąć udział w charakterze:

— Uczestnika Rajdu i Słuchacza Przeglądu;

— Słuchacza Przeglądu;

— Wykonawcy w Przeglądzie.

— Uczestnika Rajdu i Wykonawcy w Przeglądzie;

Szczegółowych informacji na ten temat udzielają:

W Łodzi — Studencki Klub Turystyczny „W Siną Dal", ul. Rewolucji 1905 r. nr 20 tel. 343-90,

W Katowicach — Studenckie Studio Radiowe EGIDA ul. Studencka 15, tel. 525-081 do 83.

KLUB Nauczyciela w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 137 przy pomocy Dzielnicowego Domu Kultury „Lodex" zorganizował z 17 na 18 czerwca br. **„NOC POEZJI".**

Jej program wypełniły koncerty muzyczne, recitale poezji śpiewanej, przedstawienia teatrów poezji i jednego aktora, turniej recytatorski, poetycki Hyde Park oraz Turniej Jednego Wiersza o laur „Złotego Klina".

W stoisku z książką poetycką można było kupić najnowsze tomiki. Czynna była także Kawiarnia Klubowa.

II Trybunalskie Spotkania Taneczne Piotrków Trybunalski 83 odbyły się w dniach 11—13 czerwca. Trybunalskie Spotkania Taneczne są imprezą o zasięgu ogólnopolskim, w której udział wzięły zespoły takich kategorii jak: modern-jazz, małe formy taneczne, taniec towarzyski i taniec rewiowy. Dodatkową atrakcją był ogólnopolski Maraton „Rock-and-rolla", z udziałem par z klubów w Warszawie, Opolu, Stargardzie Szczecińskim, Olsztynie, Kaliszu, Gorzowie Wielkopolskim, Łodzi, Bydgoszczy, Bolesławcu, Jeleniej Górze. Imprezę towarzyszył pokaz Mistrzów Polski w Tańcu Towarzyskim z Olsztyna. Zorganizowano również szereg imprez towarzyszących, w których zespoły taneczne prezentowały swoje programy pozakonkursowe.

Nie ma co chować głowy w piasek...

Z ANDRZEJEM MAJEM rozmawia BOHDAN GADOMSKI.

ANDRZEJ MAJ, absolwent Wydziału Reżyserii PWSFTviT w Łodzi (z 1979 roku) coraz bardziej swoimi pracami reżyserskimi wnika w teatralny pejzaż Łodzi. Zadebiutował tu na scenie Teatru im. S. Jaracza sztuką W. B. Yeatsa „Jednorożec z gwiazd", później pokazał kontrowersyjną acz oryginalną „Historię, czyli tu wcale nie chodzi o Mozarta", telewizyjny spektakl „Droga do Czarnolasu" i niedawno „Ozimine" Wacława Berenta.

Dorobek twórczy 32-letniego reżysera jest znacznie większy. W krakowskiej Tv: „Cathlen córka Honlihana" Yeatsa, „Kocham cię za to, że cię kochać muszę" Tetmajera, „My wciąż spieszący" Rilkego, „Recital Ewy Demarczyk", „Zawsze w sobotę o 23.00" (o Piotrze Skrzyneckim), „Znana nasza" (spektakl był kontrkandydatem do tegorocznej nagrody „Złoty Ekran"), spektakle oparte na „Dziennikach" Witolda Gombrowicza, programy w krakowskiej Piwnicy pod Baranami (m. in. „Wieje między aleje wiatr listopadowy" „Orle biały, nasz Adamie"), a także filmy Tv: „Luiza", „Astronom", „Przed prawem".

Obecnie Andrzej Maj skupił się na pracy teatralnej, filmowej, telewizyjnej w Łodzi.

Czytelnikom „Odgłosów" opowiada o swoich dotychczasowych doświadczeniach i widzeniu teatru doby współczesnej.

— Czy jest pan spokrewniony ze znanym aktorem Andrzejem Mayem?

— Niestety, ubolewam nad tym.

— Sądzę, że ta zbieżność imion i nazwisk (choć aktor ma w nazwisku „y") trochę przeszkadza panu w firmowaniu swojej pracy i siebie samego, bo ludzie mimo wszystko wciąż pana mylą?

— Pracuję jak mogę na swoje nazwisko, nawet myślałem o jego zmianie.

— Kiedy rozpoczął pan samodzielnie pracować na nazwisko?

— Równo pięć lat temu. W krakowskiej Tv byłem asystentem reżysera, później zastępcą głównego reżysera Ośrodka TvP w Krakowie, studiując równolegle reżyserię w łódzkiej PWSFTviT, bo tylko w tej uczelni wykładano wszystkie trzy rodzaje reżyserii: filmową, telewizyjną i teatralną.

— Tak na poważnie, zaczynał pan reżyserować dopiero po dyplomie?

— Niezupełnie, bo przed dyplomem reżyserowałem programy kabaretowe w krakowskiej Piwnicy pod Baranami. Była to bardziej zabawa niż praca. Robiliśmy wspaniałe bale, imprezy, odtwarzanie jubileuszu Kraszewskiego w magistracie. Ostatnią imprezą piwniczną było „Wniijście księcia Józefa Poniatowskiego do Krakowa" z balem w Sukiennicach na 5 tysięcy osób, z Olbrychskim, Prusem, Wajdą i Demarczyk, która śpiewała hymn austriacki pt. „Boże ochroń, wspomóż nam cesarza i nasz kraj". Praca powinna być zabawą, wtedy jest interesująca i pasjonująca.

— Co robił pan przed tą zabawą w kabarety i bale?

— Przez dwa lata studiowałem orientalistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, bo kierunek wydawał mi się ciekawy, ale jak zaczęła się gramatyka opisowa języka arabskiego i perskiego, znudziło to mnie i przeniosłem się do Tv. Wcześniej byłem w 4 liceach, bo nie chciało mi się uczyć, bardziej lubiłem kino, grę w koszykówkę, niż matematykę, którą zresztą oblałem na maturze. Zdawałem ją w systemie zaocznym z milicjantami, strażakami i zakonnicami. A zdałem tylko dlatego, że ktoś z litości napisał nam rozwiązanie zadania na tablicy.

— Do teatralnych prawd i celu, który postawił pan sobie jako reżyser na początku drogi, dochodził pan sam czy również z pomocą bardziej doświadczonych ludzi?

— Naturalnie, że z pomocą ludzi: na studiach reżyserskich ze Stanisławem Wohlem, Andrzejem Trzosem, Mieczysławem Lewandowskim, Januszem Warmińskim, w Piwnicy pod Baranami z Piotrem Skrzyneckim, Zygmuntem Koniecznym, w telewizji raczej sam, a w teatrze przy pomocy Bogdana Hussakowskiego. Prawda to bardzo względne pojęcie. Wydaje mi się, że teatr wcale nie jest moim celem, bo współczesny reżyser powinien umieć zrobić film, spektakl telewizyjny i sztukę w teatrze. Kończy się XX wiek, w teatrze szuka się skupienia i kontaktu z ludźmi, w Tv 15-milionowa widownia jest sprawą frapującą (tyle ludzi ogląda moją pracę!). W ogóle telewizja to potęga. Uciekałem z Piwnicy, gdzie oglądało moją pracę stu ludzi do Tv. Nie można zamykać się tylko w teatrze.

— Ale chyba nie bardzo wychodziły panu te pierwsze próby reżyserskie w rodzimym Krakowie, skoro przeniósł się do Łodzi?

— Piwnica pod Baranami została zamknięta i ludzie w niej postarzeli się, w Tv nie można było pracować, bo był bojkot, przyjąłem więc zaproszenie Bogdana Hussakowskiego do Łodzi, kiedy zaproponował mi reżyserię „Jednorożca z gwiazd". W krakowskich teatrach niczego nie reżyserowałem, bo pracowałem w Piwnicy, z której prawie nie wychodziłem i może nawet za długo w niej siedziałem.

— Dlaczego właśnie Łódź, dlaczego Teatr im. S. Jaracza?

— Bo w teatrze tym spotkałem świetny zespół aktorski, wspaniale kierowany przez Bogdana Hussakowskiego, z olbrzymimi szansami na wykreowanie teatru na podobieństwo Teatru Starego w Krakowie. Zespół jest formatu europejskiego i gdyby łódzka Tv bardziej go pokazywała, aktorzy z Teatru im. S. Jaracza staliby się bardzo znani w kraju. Publiczność łódzka bardzo trudna i specyficzna, ale obudzenie jej i miasta dla sztuki jest sprawą bardzo ciekawą. Jest tu duże środowisko teatralne, plastyczne, filmowe. Połączenie go, bo jest oddzielone od siebie, jest również rzeczą frapującą, ale jak to zrobić stanowi kolejny problem, w Łodzi nie ma takich kawiarni jak w Krakowie, poprzez które tam wszyscy się znają. A w Łodzi nawet aktorzy z teatrów dramatycznych i muzycznych nie znają się z nazwiska, nie mówiąc bliżej. Środowiska: dziennikarskie i aktorskie (poza pana „osobliwym" wyjątkiem) nie znają się zupełnie, to dwa oddzielne obozy. Zamykanie się we własnym kręgu zawodowym jest bez sensu.

— Zatrzymajmy się przy panu, a konkretnie na warsztacie reżysera. Od czego zwykle rozpoczyna pan pracę nad sztuką?

— Zaczynam od wnikliwego jej przeczytania. Staram się dowiedzieć wszystkiego o autorze, sztuce, okresie, z czego wynika zrobienie dobrego scenopisu. Bardzo istotną sprawą jest obsada i dobór współpracowników.

— To najważniejszy etap?

— Chyba tak, bo jak dobrze się zacznie, to dalej już idzie.

— Co go podbudowuje, uzupełnia?

— Myślę, że uświadomienie sobie postawionego celu — robić sztukę przez duże „S" i stawiać jej najwyższe pułapy, realizować najlepszy teatr w Polsce, w Europie. Może nie zrealizujemy swoich planów w stu procentach, niemniej jest szansa, aby założenie w jakimś stopniu zaistniało. To samo dotyczy Tv i filmu. Najważniejszy jest dla mnie początek i cel. Wszystko inne jest już robotą rzemieślniczą.

— Co decyduje, że bierze pan sztukę na warsztat?

— Najważniejsza dla mnie jest jej aktualność polityczna. Bowiem uważam, że teatr powinien mówić z podniesioną głową w naszej obecnej sytuacji, mówić o Polsce, nie ma co chować głowy w piasek.

— Do tej pory to pan proponował sztuki dyrekcji teatru, czy pracował na zamówienie?

— Nie robiłbym niczego, co by mnie nie interesowało. Dobry dyrektor teatru musi czuć reżyserów, znać sztuki, mieć coś samemu do zaproponowania reżyserowi. Najważniejsze jest wspólne dogadanie się. Nieistotne czy propozycja należy do reżysera czy dyrektora. Ważne, żeby obaj się zgadzali.

— To pewien luksus robić co się chce, co się lubi, co nas interesuje. A gdyby go panu odebrano?

— Dlatego jestem wdzięczny dyr. Hussakowskiemu, że stwarzył mi takie warunki. Możemy np. robić sztuki Fredry lub operetki, ale nic z tego poza wystawieniem nie wyniknie.

— No tak, ale jest pan przecież krewniakiem dyrektora Hussakowskiego?

— Właśnie dlatego łatwiej nam się dogadać. Myślę, że w ogóle łatwiej jest pracować z kochanką, żoną, bratem, bo znamy się bardzo dobrze. Aby cokolwiek zrobić trzeba się dobrze znać. Nie wyborażam sobie współpracy z kimś kogo wcześniej nie poznałem.

— To dlatego oprawy scenograficzne do pana przedstawień robi zawsze Krystyna Szczepańska, prywatnie żona?

— Oczywiście, że dlatego, ale czasami Kazimierz Wiśniak.

— Zacznijmy jednak od początku i nie o koneksjach rodzinnych reżysera, lecz o jego przedstawieniach teatralnych w Łodzi. Skąd pomysł na „Jednorożca z gwiazd", sztukę nie wystawianą do tej pory w Polsce?

— Zafascynował mnie Yeats, wielki dramaturg i poeta, który dostał nagrodę Nobla, w Polsce w ogóle nieznany. Lepiej wystawić po raz pierwszy Yeatsa niż po raz 17 Szekspira. Moim zdaniem Yeats jest największym dramaturgiem naszego wieku. Chciałbym w Tv zrealizować jego „Hrabiankę Katarzynę".

— Udało się panu wydobyć specyficzną poetykę tego pięknego spektaklu, oryginalny klimat z czasów rewolucji irandzkiej. Ciekawy jestem jak długo studiował pan literaturę pomocniczą zanim zabrał się do reżyserskiej roboty?

— Przeczytałem całą historię Irlandii, która dokładnie przystaje do historii Polski z naszymi rewolucjami, niepodległością. Twórczość Yeatsa znałem dobrze już wcześniej, tzn. cztery sztuki przetłumaczone na język polski, a napisał ich kilkadziesiąt. W Tv zrealizowałem wcześniej jego „Cathlen", rzecz o starej kobiecie, która w czasie wojny chodziła po domach i pokazywała się chłopcom w postaci młodej dziewczyny, zachęcając ich do wojny za wyzwolenie ojczyzny. Cathlen — symbol Irlandii.

— Ile czasu zabrała panu ta pierwsza reżyseria?

— Cztery miesiące.

— Po tym kameralnym spektaklu na Małej Scenie, wybrał pan ogromne widowisko, teatralne, z muzyką Zygmunta Koniecznego i Marka Grechuty, z tym ostatnim plus zespół muzyczny, tancerki Teatru Wielkiego, duży zespół aktorski, całość rozegrał pan w trzech salach Muzeum Historii Miasta Łodzi. Czym zainspirowany?

— Najlepszą książką, która jest dla mnie bliską sercu, czyli „Dziennikami" Witolda Gombrowicza.

— Udało się panu znakomicie zapanować nad wielkim zespołem ludzi tworzących ten spektakl zafascynować widzów teatralnymi obrazami, ale nie ustrzegł się pan dłużyzn tekstu, robiąc poprawki i skróty znacznie później?

— Tylko krowa nie zmienia poglądów. A poważnie, teatr jest o tyle wspaniały, że nie ma nikogo, kto by nie popełnił błędów. Podobny spektakl robiłem w Piwnicy pod Baranami, właściwie drugą część. W Krakowie ludzie słuchali bardzo uważnie, w Łodzi mniej słuchają. Dokonałem skrótów wszędzie tam, gdzie wymagał tego rytm przedstawienia oraz skróty tekstu, który nie sprawdził się w kontakcie z publicznością.

— Krytyka łódzka przyjęła „Historię" raczej chłodno...

— Nawet bardzo, ale tygodnik „Polityka" nazwał ją wydarzeniem sezonu.

— Nie podzielał pan opinii recenzentów?

— Z tych recenzji niestety nie wynikały dla mnie żadne pomocne wskazówki. Np. pani recenzentka Libucha na łamach „Teatru" nazwała „Historię": „Młodzieńczą sztuką Gombrowicza", podczas gdy autor pisał ją w 50 roku życia. Recenzje teatralne są mało fachowe, co dotyczy krytyki teatralnej w Polsce, która tak naprawdę chyba u nas nie istnieje.

— Czym zwykle ładuje pan swój akumulator wewnętrzny do dalszego twórczego działania?

— Czytam, rozmawiam z ciekawymi ludźmi, ale właściwie nie muszę ładować akumulatora, bo mam pomysły na kilka lat. Raczej fizycznie brakuje mi czasu. Nie lubię odpoczywać, jeżeli już, to aktywnie. Spokojna praca jest dla mnie odpoczynkiem.

— Telewizyjną „Drogę do Czarnolasu" zrealizował pan dla relaksu?

— Dla higieny psychicznej. Ponadto zainteresowała mnie postawa Jana Kochanowskiego — artysty wobec polityki dworu.

— Lubi pan pracę w Tv?

— Bardzo, bo umiem to robić.

— Ale szybko wrócił pan do teatru, aby zaprezentować łódzkiej publiczności światową prapremierę głośnej powieści Wacława Berenta „Ozimina". Pomysł na zrobienie teatru politycznego należy również do pana?

— Bo jest to powieść o Polsce.

— I znowu nie ustrzegł się pan dłużyzn materiału tekstowego, licznych mini scenek nie zawsze wnoszących istotne znaczenie do przebiegu akcji czy wymowy całości. „Słowa, słowa słowa"?

— Właśnie poczyniłem spore skróty tekstowe, czasowo sięgające do pół godziny, to bardzo dużo. Niemniej starałem się przenieść wieloznaczność, złożoność, po prostu mądrość tej powieści na scenę, co jest bardzo trudne. Nie zawsze się to udawało, ale błędem byłoby kastrowanie niektórych wątków, które mimo wszystko są bardzo ważne i niejako dopełniają panoramę poglądów polskiego społeczeństwa.

— Nie ożywił pan aktorów-statystów i zagubił przez to atmosferę warszawskiego salonu z młodopolskiego okresu, koncentrując się na odtwórcach ról pierwszoplanowych?

— Zabrakło trochę czasu na drugi i trzeci plan. Ale myślę, że obecnie po próbach korekcyjnych zaistnieje również salon i jego bywalcy.

— Podobno nie prowadzi pan aktora, lecz czeka na jego propozycje, a mając je nie stara się egzekwować więcej, to zapewne dlatego, że lubi malować obrazy teatralne całościami, bez dbałości o detal, jednostkowy popis aktorski?

— Pewnie to prawda. Ponieważ uważam, że aktor jest tak samo twórcą jak reżyser, pozostawiam więc mu wolną rękę, oczekując propozycji. Mogę mu tylko pomóc bo to jest główne zadanie reżysera. Traktując aktora jak marionetkę, niezdolną się samodzielnie poruszać, mógłbym zabić jego osobowość, a tego staram się unikać. W zespole należy sobie pomagać. Trzeba mieć trochę szerszą perspektywę w spojrzeniu na to co się robi. Im lepszy będzie mój kolega-reżyser tym lepszy będę ja, ale nie tylko dlatego, żeby być najlepszym w klasie, w teatrze, lecz dalej... Np. aktorka powinna pamiętać, że im lepsza będzie moja partnerka, tym ja będę lepsza. Niestety, nie wszyscy ludzie teatru to rozumieją.

— Ale szanuje pan aktorów, lubi ich i oni pana dlatego nie musi pan krzyczeć, histeryzować, obrażać itp. jak inni reżyserzy?

— Niektórzy stawiają mi tę łagodność jako zarzut. Myślę jednak, że rygorystyczna dyscyplina sprawdza się w wojsku, a nie w teatrze.

— Może dlatego w pana przedstawieniach nie rodzą się wielkie kreacje aktorskie, bardziej mówi się o spektaklu, o panu niż aktorach?

— Jeżeli tak jest, to jest to moim błędem. Jestem zadowolony z paru ról w moich przedstawieniach.

— Z racji swego zawodu powinien pan bronić teatru, jeżeli tak jest, to jakiego?

— Bronię teatru, w którym pracuję, a przede wszystkim zespołu.

— Sięgając głębiej, musi to być teatr przejmujący, poszukujący prawdy i prawdziwszy od otaczającego świata?

— Przecież to nieprawda, że świat jest prawdziwy, bo jest zakłamany, a więc?

— Jakie jest więc miejsce teatru w obecnej rzeczywistości?

— Powinien mądrze rozmawiać z widzami o kraju, w którym żyję.

— Mikołaj Grabowski, jeden z najciekawszych reżyserów młodego pokolenia powiedział: „Nie można teatrowi nadawać znaczenia ściśle związanego z sytuacją lat, w jakich przyszło mu działać. Nie wolno żerować na tym fakcie". Zgadza się pan z tym stwierdzeniem?

— To jest bardziej skomplikowane, ale naturalnie, że się zgadzam. Teatr nie powinien żerować, ale też trudno to rozdzielić, bo do teatru przychodzi określony człowiek znajdujący się w określonej sytuacji, a teatr tworzą ludzie, którzy nie żyją na Antarktydzie lub w Chinach, tylko w Polsce.

— Jak więc stara się pan osiągać komunikację wewnętrzną, emocjonalną w relacjach teatr — widownia?

— Po prostu staram się najlepiej robić to co robię.

— Wykonując tak odpowiedzialną pracę, prowadzi pan dialog z samym sobą?

— Tak. Często. Codziennie.

— Wszystkie pana spektakle to jego osobiste wypowiedzi na dany temat?

— Tak, z tym, że wszystko jest bardzo ambiwalentne i skomplikowane, bo mimo wszystko trzeba być wiernym autorowi, jak powiedział Konrad Swinarski: „Być wiernym aż do unicestwienia". Budowanie spektaklu, filmu jest jednak pracą zespołową z całymi implikacjami z tego wynikającymi.

— Teatr to pana sposób na życie?

— Nie tylko, równie poważnie traktuję pracę w filmie i telewizji.

— A poza teatrem?

— Chyba już nic, bo nie mam na nic innego czasu.

— Co więc nowego w zawodzie?

— W Tv będę realizował „Piękność z Amherst", sztukę o życiu amerykańskiej poetki Emilii Dickinson, w tej roli Stanisława Celińska, następnie sztukę Maksa Frischa pt. „Rip van Winkle" z łódzkimi aktorami, będzie to rzecz o poszukiwaniu osobowości oraz „Historię Witolda Gombrowicza" do 39 roku jego życia, czyli do czasu wyjazdu z Polski. W Wytwórni Filmów Oświatowych pracuję nad filmem fabularnym o największej polskiej aktorce Helenie Modrzejewskiej, w Wytwórni Filmów Fabularnych planowana jest filmowa wersja „Oziminy". W teatrze zaczynam próby do sztuki Wiesława Dymnego „Polska karczma żydowska".

— Wypada więc życzyć powodzenia!

■

Foto: M. Zajdler

Na marginesie przedstawienia w Teatrze im. Jaracza

Odczytanie „Oziminy"

Adaptacja sceniczna powieści mało poczytnego i zapomnianego autora jest tyle ryzykowna co bezpieczna. Tkwi wprawdzie pewne ryzyko w tym, iż widz może pozostać obojętny na powieściowe treści, które nigdy nie poruszały szerszego kręgu czytelników, są jednak i gwaracje bezpieczeństwa: iluż bowiem zada sobie trud przeczytania rzadkiego dziś egzemplarza (choć wydań było cztery, w tym dwa w Polsce Ludowej) i kto pokusi się o porównanie sztuki z jej literackim pierwowzorem...

Oczywiście, przedstawienie „sprawdza się" lub nie bez względu na te relacje, ale skoro rzecz dotyczy **Wacława Berenta**, pisarza o niemałej pozycji literackiej, członka przedwojennej Polskiej Akademii Literatury, którego książki bywały przedmiotem polonistycznych rozpraw, to przynajmniej recenzent sztuki nie oprze się pokusie odświeżenia znajomości z dawno zapomnianą lekturą, aby sobie i innym odpowiedzieć: jaki to użytek uczynił teatr z „Oziminy", ile jej zawdzięcza, a co, być może, zaprzepaszcza.

A czy jest to w ogóle rzecz „teatralna"? Z określonego powodu na pewno, ponieważ w naszej tradycji niejedna już towarzyska impreza, niejeden bal lub wesele dostarczyły pretekstu do obrachunku z postawami społeczeństwa. Sprowadzenie ludzi z odmiennych środowisk i kręgów, w jednym czasie i miejscu, ma u nas jako „chwyt teatralny" przetarte ścieżki, osadza sprawę w ciągu rozwojowym polskiej historiozofii.

Jest jednak i bariera w postaci języka Berenta. Jeśli czytelnikowi, zwłaszcza dzisiejszemu, niełatwo przychodzi przedzierać się przez stylistykę młodopolszczyzny, do której nie mamy szczególnego nabożeństwa, wiedząc z doświadczenia, że zbyt często utożsamiała się ona z werbalizmem, to cóż dopiero widzowi, który, nie mogąc „przytrzymać" tekstu wzrokiem, skazany jest na puszczanie znacznych jego partii mimo uszu.

Język Berenta jest przy tym czymś więcej niż u wielu mu współczesnych. Autor cyzeluje słowo dla uzyskania precyzji myśli i wyrazistości obrazu, z niezwykłą trafnością dobierając zwłaszcza przymiotniki i sowicie wynagradza wytrwałemu czytelnikowi poniesione trudy. Przez opis zachowania postaci, jej ruchów, gestów, mimiki rejestruje niezwykle skrupulatnie i plastycznie, jak okiem obiektywu, zmienne stany uczuciowe, toteż czytając książkę mimo woli wyobrażałem sobie wiele sytuacji w zbliżeniu telewizyjnym, powątpiewając czy z perspektywy widowni „żywego" teatru napotka się wizualny odpowiednik dla opisowych walorów prozy Berenta.

Rzecz jasna — nie można znaleźć, gdyż adaptator **Tadeusz Słobodzianek** musiał „wypreparować" z tkanki słownej sam dialog, a zubożonym w ten sposób postaciom przypadła rola głosicieli poglądów i tez, a więc poniekąd publicystyczna. I chyba takie też mogłoby być zamierzenie: rezygnując z kreowania pełnowymiarowych postaci, przedstawić — przez dialogi i sytuacje — spojrzenie Berenta na moralno-ideową postawę społeczeństwa polskiego w ową noc karnawałową 1904 r. kiedy to uczestnikami pewnego warszawskiego balu wstrząsnęła nagła wieść o wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej, a za oknami pałacu dały się słyszeć odgłosy pierwszych manifestacji. Oto moment, który wydobywa na jaw prawdę o tym „co się komu w duszy gra" — pod powłoką towarzyskiego zakłamania i konwenansu, obowiązujących w tym bądź co bądź normalnym, bo powszednim życiu, wypełnionym dążeniami do „urządzenia się" i kariery, do wygodnego i bezpiecznego bytowania.

Nie bez powodu użyłem zwrotu z „Wesela", powieść stanowi bowiem jakby przedłużenie ciągnącego się w naszej literaturze dyskursu o przywarach Polaków, w którym rozbrzmiewa ten szczególny rodzaj gorzkiego patriotyzmu — jak choćby u Słowackiego, Wyspiańskiego, Żeromskiego — polegający na rozdrapywaniu ran, „by nie zabliźniały się błoną podłości". Stąd też tyle w „Oziminie" odwołań i aluzji do tego właśnie obrachunkowego nurtu.

Ale nie przekonuje mnie, wyrażany zazwyczaj pogląd, że Berent nie bierze niczyjej strony w sporze dwóch bohaterów o ideowe i moralne racje, że z obiektywizmem obserwatora pozwala ścierać się z sobą poglądom przeciwstawnym. Sądzę, że w „Oziminie" autor często angażuje się jednoznacznie, tyle tylko, że nie utożsamia się do końca z żadną z postaci, lecz powierza swoje myśli tym, które darzy wyraźną sympatią, a są nimi w równej mierze: Bolesław Zaremba, przenikliwy w bezlitosnej obserwacji balowego towarzystwa; profesor z Krakowa snujący swoje historiozoficzne refleksje; żona gospodarza Helena; przedstawiona nie bez zjadliwości operowa diva, wreszcie i carski pułkownik, którego surowe sądy o Polakach przyjmuje się jako zasłużoną prawdę, na tej samej literackiej zasadzie, która każe nam w pokorze przełykać opinie o Polakach wypowiadane przez Fryderyka Wielkiego w sztuce Nowaczyńskiego.

Pułkownik, który od czasów stłumienia powstania styczniowego przebywa stale pomiędzy Polakami, nie tyle spolonizował się, ile poczuł obywatelem „nadwiślańskiego kraju" swojej jakby bliższej ojczyzny, a reprezentując ideę słowianofilstwa (służącą caratowi za polityczne narzędzie) szczerze, bo z osobistych sympatii pragnął zjednać Polaków dla wspólnych w jego mniemaniu ogólnopaństwowych interesów, ubolewając przy tym — z pewnym rodzajem dobrodusznej przebiegłości — że się Polacy nie chcą dobrowolnie ruszczyć, choć tylu już na emigracji sfrancuziało. To w książce wyjątkowo ważna postać.

Trzeba wyjaśnić, że w pierwszym akcie sztuki, który odpowiada dwom pierwszym częściom powieści (a cezurą jest moment wybuchu wojny) przekrój społeczeństwa jest ogromnie zawężony, dopiero w dalszym ciągu wzbogaca się nieco o drugoplanowe zresztą postacie z proletariatu. Większość balowego towarzystwa charakteryzuje się zobojętnieniem na sprawy społeczne czy wyzwoleńczo narodowe, małostkowością osobistych aspiracji, atrofią woli, połączoną ze snobistyczną i histeryczną egzaltacją wobec sztuki i artystów. Jak szyderczo zauważa profesor: **„Wiek nie minął"** kiedy to przodkowie obecnych na balu **„harmaty zdobywali"**, a romantyczne niegdyś Polki, będące natchnieniem bojowników i poetów **„dziś jałowieją z poczucia swej pospolitości"**.

Atmosferę niemocy i zniechęcenia (tak obcą niewiele wcześniejszym pozytywistom!) wyrażają też słowa Zaremby: **„Nie warto niczego chcieć. Nie warto ku niczemu marzeniem nawet wybiegać"**. Wtóruje mu diva, która gościnnie bawi w kraju: **„Tu wcale nie ma uczuć męskich, tu jest tylko sentymentalizm ckliwy, patos bolejący i tuż, tuż za nim mściwy szargający cynizm. Wszystko starcze"**. A dalej na nutę chochoła: **„I tak tu u was w koło idzie, w błędne koło."** Nie oszczędza też diva swoich rodaczek: **„I jakże kobiety nie mają być jak najbardziej parafiańsko wysztucznione? Gęsi o geście królewien — to na całą Europę specjalność waszego tu chowu..."**

Zbieżna z tym jest głębiej sięgająca, racjonalistyczna refleksja profesora: **„Jestże to naprawdę błogosławieństwem dla narodu, że najwyższy ton jego twórczości i ostatnie wobec świata czyny dokonały się, czasu trafem, przez ducha romantyzmu i mistyki? Czy nie kieruje to najlepszych wciąż jeszcze ku przeszłości, czyniąc z nich prędzej czy później puchaczy po ruinach?"**

W tym nieustannym wielogłosie stawiane diagnozy upatrują przyczyny powszechnego marazmu także we wpływach i oddziaływaniu sił obcych. Dla młodego człowieka, zapatrzonego we wzorzec życia zachodnich metropolii, na warszawskiej „prowincjonalności" wyciska ujemne piętno: **„potrójna trucizna wschodniego samowara, wschodniego papierosa i wschodnich doktryn"** (choć trudno dociec czy chodzi o doktryny nihilistyczne, mistyczne czy rewolucyjne i myślę, że wyraża się w tym nieokreśloność stanowiska Berenta) Całkiem odmiennie widzi przyczyny psychicznego rozwiadu pułkownik: **„Wy tu nie tylko na swoją niemoc chorujecie, lecz na Rzymu zgrzybiałość, na Francji zniewieściałość, na Niemiec gruboskórne zmaterializowanie. Czorci wszystkich nacji swarzą się o duszę wasza."** I dalej: **„Ryją ludzie w ludzkich duszach, bo dzieła męskiego nie ma!"**.

I w tym właśnie u Berenta sedno sprawy. Niezdolność, a także brak sposobności do czynu, uzdrawiającego z niemocy woli, czynu — bez względu na cel, a nie jest nim rewolucja, która jawi się jako działanie o dwuznacznej wartości moralnej, wyzwalające instynkty burzycielskie (choć przecież rozbudziły się dzięki niej również aspiracje wyzwoleńcze i niepodległościowe, co wyraża śpiewana za oknami „Warszawianka"). Nie rewolucja więc, lecz wojna, walka z otwartą przyłbicą na polu bitwy, więc choćby nawet ta wojna z Japonią pod rosyjskim sztandarem nabiera wymowy wielkiej sprawy i dlatego stary Komierowski, weteran narodowych powstań zapragnie teraz uścisnąć dłoń rosyjskiemu pułkownikowi, z którym bił się po przeciwnej stronie w powstaniu. Bo wojna to ów czyn „oczyszczający duszę", jak mawia pułkownik.

Na tym tle rysuje się pewna dwuznaczność postaci młodego Komierowskiego (osłoniętego przez pułkownika przed poszukującymi go żandarmami!). Były katorżnik, obecny bojowiec rewolucji, którego charakteryzacja wskazuje jednak (maciejówka!), iż wysiadł z ruchu socjalistycznego „na przystanku Niepodległość", nie wierzy w żadne racjonalne powody walki z caratem, nie wierzy nawet w lud, wierzy zawsze tylko w tych **„dla których dostatecznym powodem jest własna dusza"**. Tam więc — zbrojny czyn bez względu na cel, tu zaś racjonalność celu podporządkowana jest motywacji moralno-psychologicznej, skrajnemu indywidualizmowi.

Dużo więc kłopotów interpretacyjnych przysporzyła książka adaptatorowi, choć uprościł je sobie przenosząc punkt ciężkości z rozdrapywania narodowych grzechów i win na niejako zagrożenie zewnętrzne, w niezgodzie, jak sądzę, z powieścią Berenta, o czym świadczy zwłaszcza akt II, w którym ujawniły się także utrzymane w tym duchu zabiegi reżyserskie **Andrzeja Maja**. Scena rewolucyjnego starcia przeniesiona zostaje z robotniczego Powiśla na Krakowskie Przedmieście, jakby za tropem myśli przechadzającego się po Powiślu profesora, który jednak tylko wyobraża sobie to miejsce, pomiędzy postacią Chrystusa uginającego się pod krzyżem, a pomnikiem Kopernika, jako miejsce dla stolicy ważne, ale przecież o dwojakiej symbolice. Na scenie jawi się tylko Chrystus, i to z narodową flagą zatkniętą za krzyż, czego w powieści nie ma, nie ma więc też sytuacji, w której carski żandarm nakazuje Polakowi zdjąć flagę. Rozumiem zresztą obu panów: mała rzecz a cieszy, bo sugeruje publiczności, że już Wacław Berent itd., itp...

Powieść zresztą zawiera liczne akcenty antyklerykalne (żeby nie powiedzieć antyreligijne), a wiara w zmartwychwstanie narodu wyraża się w symbolice mistyczno-biologicznej, są bowiem rozmyślania profesora o wiecznym odradzaniu się życia, o Demeter, Persefonie, Dionizosie, w tym oczywiście nadzieja też na zmartwychwstanie narodu, odzyskanie niepodległości (nawiązanie do Nocy Listopadowej). Ale — jeszcze nie teraz, nie przez rewolucję i tę wojnę z Japonią, lecz w nieokreślonej przyszłości, na mocy praw wspólnych przyrodzie i społeczeństwu.

Można i należy ubolewać, że tak widział rzeczy Berent, ale czy trzeba przypisywać zakończeniu powieści wyobrażenia dalekie dosyć od intencji autora i wymowy jego książki?

I czy było to uzasadnione ze względów artystycznych? Chyba nie i może dlatego końcowe sceny mają posmak dość plakatowy.

„Oziminę" jednak przeczytać warto, jak w ogóle polską klasykę, której właściwe odczytywanie jest sprawą nieobojętną dla kulturalnych rewindykacji.

JERZY KWIECIŃSKI

Na tropach kontrkultury

1.

„Dziś młody humanista dociera zwykle najpierw do utworów Gombrowicza, Brzozowskiego, Levi-Straussa, Joyce'a, Eliota i innych Wielkości (...). Kryje się za tym jednak jakieś niedomówienie, bo wspominając tych, którzy wywarli na nas największy wpływ, zwracamy się w stronę tradycyjnie uznanych wielkości, jakby wstydliwie zapominając, jakie znaczenie mają dla naszej edukacji i świadomości treści przekazywane przede wszystkim przez kulturę masową (...). Oddziaływują na nas wszystkich, bez wyjątku, również na tych, którzy na co dzień kontaktują się równocześnie z najwybitniejszymi dokonaniami myśli polskiej i światowej". Te słowa — kończące szkic o „świętych XX wieku", zespole The Beatles — mogłyby z powodzeniem rozpoczynać książkę Leszka Bugajskiego[1] poświęconą różnym zjawiskom z zakresu kultury masowej. Złożyły się na nią spostrzeżenia notowane w latach 70-tych na marginesie lektur, po wyjściu z kina czy teatru, po przemyśleniu fenomenu tzw. muzyki młodzieżowej, pokazujące nade wszystko jak kształtowała się i manifestowała odrębność pokolenia, do którego i autor przynależy, a które właśnie, w końcu lat 70-tych, żegnało się ze swoją (czy rzeczywiście buntowniczą i tak bardzo odrębną?) młodością.

2.

Bugajski zresztą lubi swoje syntetyczne konstrukcje myślowe wspierać kategorią pokolenia, czyni to notabene przekonywająco i z pełnym zaangażowaniem — nie tyle jako opisywacz, co uczestnik raczej, i chętnie uzupełnia intelektualną konstatację intuicją i własnym doświadczeniem. Podobnie też było z książką poświęconą opisowi młodej prozy pt.: „Następni", w której stwierdzał pojawienie się nowego wyraźnie manifestującego swoją odrębność pokolenia prozaików urodzonych gdzieś w okolicach roku 1950. Pisałem o niej niedawno polemicznie na tych łamach, miło mi więc dodać, iż została właśnie wyróżniona nagrodą im. Stanisława Piętaka. Swoiste pendant do „Następnych" stanowi kończący „Zapiski z epoki Beatlesów" dłuższy szkic pt.: „Rozziew". Stwierdza w nim krytyk dramatyczne odczucie przez dojrzewające w latach 70-tych pokolenie rozziewu pomiędzy oficjalnością naszego życia i jego prywatnością oraz dostrzega, iż znaczna część dorobku literackiego tego pokolenia jest niejako prostą konsekwencją wspomnianego rozziewu. Uważa też, iż konsekwencje owe najtrafniej dostrzegł i opisał Henryk Bereza w swej głośnej, choć kontrowersyjnie przyjętej tezie o rewolucji artystycznej w prozie polskiej. Sprowadzała się ona — jak pamiętamy — do zastępowania martwego piękna normy żywym pięknem tworzenia w języku. To właśnie przede wszystkim język młodych pisarzy miał do cna skompromitować rzeczywistość, odsłonić jej ukryte mechanizmy i pokazać jak niewiele kryje się za pompatycznymi fasadami dominującymi w naszym życiu zbiorowym. To właśnie ów specyficzny język, jakkolwiek również ułomny jako narzędzie poznawcze, wyrażać miał indywidualną wrażliwość moralną przy jednoczesnym poczuciu zdrowego rozsądku, objawiającego się zwłaszcza w świadomości, iż to przecież język jak żadne chyba inne tworzywo nadaje się do indywidualnej i zbiorowej manipulacji. Kładzie więc Bugajski nacisk na swoistą wrażliwość swego pokolenia wyrażającą się między innymi w poszanowaniu konkretu przedstawionego świata, w sprowadzaniu doświadczeń ludzkich do spraw najprostszych. Przy czym zasadniczym niejako doświadczeniem przewartościowującym okazuje się dobitnie manifestowane w wielu utworach zwątpienie w — to — co — poza — mna, a więc po prostu egotyzm, będący zwyczajną — powiedziałbym — i tradycyjną formą pokazywania pokoleniowych rozczarowań wobec świata i generacji starszych. Znamy to z różnych okresów historycznoliterackich, różnicę zaś sprowadzić tu można do stopnia nasilenia działań pozornych, pasji zastępczych, czy też ilości tak zwanych ludzi żyjących na biegu jałowym.

W „Rozziewie" Leszek Bugajski wydaje się być nieco ostrożniejszy niż w „Następnych". Nie stwierdza istnienia nowego pokolenia literackiego w sposób jednoznaczny. Przeszkadza mu w tym brak programu pokoleniowego czy nawet artystycznego, rzadkość przemawiania w pokoleniowym „my", jak również przewaga w utworach literackich emocji przy poszukiwaniu pokoleniowej odmienności i tożsamości. Tak więc domniemane pokolenie literackie byłoby — jak na razie — bardziej projekcją, wyrazem intuicji niźli stanem faktycznym. Dlatego też słusznie czyni krytyk koncentrując się na opisie aury, otaczającej młodą literaturę, a nie rozstrzygając definitywnie o istnieniu bądź nieistnieniu następnego pokolenia w literaturze polskiej. I czyni to, jak mniemam, nie dlatego, aby zostawić sobie furtkę do korygującego opisu za lat pięć lub dziesięć, robi to ze zwykłej rzetelności, bo po prostu w chwili obecnej tego przedmiotu rozważań zweryfikować się nie da.

3.

Padła już uwaga, że pokolenie, o którym traktuje książka Leszka Bugajskiego, chętnie kieruje się emocjami (tym razem mowa o pokoleniu w sensie socjologicznym, a nie o generacji literackiej). Z tego też powodu zapewne autor nie waha się ryzykować twierdzenia, że „jedynym uniwersalnym wyrazem przekonań i stanów wewnętrznych tego pokolenia był swoisty rodzaj muzyki, muzyki hybrydalnej, w początkowej fazie sięgającej poprzez rock and roll do bluesa, później przeradzającej się w szeroką formułę rocka, w której z czasem odnaleźć mogliśmy wpływy najróżniejsze, od muzyki ludowej najodleglejszych zakątków świata, poprzez fascynację chorałem gregoriańskim, muzyką barokową czy romantyczną, aż po osiągnięcia współczesnej awangardy muzycznej". Tę eklektyczną w końcu muzykę, o ogromnym zasięgu oddziaływania, Bugajski traktuje jako doskonały środek wyrażania niepokojów młodości z jednej strony, z drugiej zaś jako potężny czynnik kształtujący wyobraźnię młodych ludzi. Muzyka dla wielu spośród nich staje się integralnym elementem życia, a nie przyjemnym dodatkiem; zaspokaja nie tylko zapotrzebowanie estetyczne, spełnia namiastkę wielu potrzeb. Bania z muzyką rockową, jaka ostatnio rozbiła się nad Polską, potwierdza spostrzeżenia autora „Zapisków" w całej pełni. Uaktualnia jego przestrogę, aby — już choćby ze względu na ogromne pole oddziaływania — nie lekceważyć zjawiska zwanego najczęściej pogardliwie muzyką młodzieżową. Jej symbole i idole zmieniają się, istota zjawiska pozostaje niezmiennie ta sama.

4.

W konflikcie pokoleń zwykło upatrywać się narodzin kontestacji, albo inaczej mówiąc kontrkultury. W opozycji do starszych, symbolizujących złe urządzenie świata, rodzi się coraz silniej odczuwane przez młodych poczucie wspólnoty. Młodzi buntownicy poddają najpierw w wątpliwość system kształcenia, w jakim uczestniczą, przede wszystkim z powodu jego nadmiernego zinstytucjonalizowania, odpersonalizowania. Potem zwracają się ze swoją krytyką w stronę środków masowego przekazu. Boją się, że coraz prężniejsza cywilizacja techniczna skutecznie wypacza życie. Idea ta wiedzie ku różnym formom protestu. Ich opisy często znajdowaliśmy w prasie przełomu lat 60-tych i 70-tych. Bugajski komentuje je przede wszystkim w oparciu o książkę Aldony Jawłowskiej pt.: „Drogi kontrkultury".

Jeśli chodzi o literacki wyraz tego zjawiska, zainteresował go m.in. utwór pod względem literackim przeciętny, lecz bardzo symptomatyczny, głównie z racji entuzjastycznego i kontrowersyjnego zarazem przyjęcia przez publiczność czytającą i oglądającą. Mowa o „Nowych cierpieniach młodego W." Ulricha Plenzdorfa, które w wersji powieściowej i teatralnej stanowiły w latach 70-tych, prawdziwą sensację w Niemieckiej Republice Demokratycznej, a i u nas cieszyły się niemałą popularnością. Poprzez nawiązanie do głośnego dzieła Goethego przyciągały już samym tytułem i głosiły prawdy najbanalniejsze pod słońcem — domagały się prawa buntu dla młodzieży, sankcjonując niejako pokoleniowy antagonizm. Tak się złożyło, iż w czasie sukcesu „Nowych cierpień młodego W." przebywałem dłużej w Berlinie i pamiętam owe dyskusje, które niekiedy przypominały mi problematykę niegdysiejszego sporu wokół tematu „Jak ma wyglądać miłość ZMP-owca". Niemniej jednak pokolenie rodziców, aczkolwiek niechętnie i z dużymi oporami przyjmowało do wiadomości fakt istnienia młodzieżowej subkultury. W tym przypadku literatura jako możliwość uświadomienia wspólnoty młodych ludzi okazała się środkiem chyba nie gorszym niż muzyka.

5.

W sytuacji, gdy mamy do czynienia z protestem, zwłaszcza z protestem na tak masową skalę, jakim było czy jest zjawisko kontrkultury, łatwo o pomieszanie pojęć i wartości, zwłaszcza że chodzi tutaj o ruch społeczny, który nie ma przecież sprecyzowanego systemu idei, który poszukuje i w tych poszukiwaniach często się gubi, który jednak obok takich przejawów jak narkomania czy ekstrawagancja hipisów potrafił zachwiać aparatem władzy (wymowny przykład de Gaulle'a). Jako panaceum na chorobę świata, który zwariował — jak to formułował Kurt Vonnegut jr. — proponowano w nowej wersji starą kurację odwykową: wspólnotę i równość. Rzecz prosta, nie pomogło — na takie lekarstwo zwariowany świat jest uodporniony.

Szkicę Leszka Bugajskiego, jakkolwiek czynione z reguły na marginesie zjawisk, zasługują nie tylko na lekturę, zasługują przede wszystkim na głębokie przemyślenie, komentują bowiem wydarzenia par excellence współczesne, poszukują intelektualnych formuł dla naszych niepokojów i emocji. Interesująco koresponduje z nimi marcowy numer krakowskiego miesięcznika „Zdanie" w całości poświęcony podobnej problematyce.

I jeszcze jedna uwaga. W zwariowanym świecie podział na rzeczywistość prawdziwą i rzeczywistość fałszywą zdaje się zacierać coraz dokładniej. Dlatego — żartobliwie nieco — postawę autora „Zapisków z epoki Beatlesów" scharakteryzuję przy pomocy cytowanych przezeń słów Cortazara: „Nagle jednak wszystko to ukazało mu się w wymiarze, który zupełnie wytrącił go z równowagi. Odniósł wrażenie, że udało mu się obejrzeć rzeczywistość, chwilę rzeczywistości, która dlatego wydała mu się fałszywa, że była prawdziwa, rzeczywistość, która teraz już go nie otaczała. Tamto, co wtedy widział było prawdziwe czyli fałszywe".

Co jest tedy prawdziwe: kultura czy kontrkultura?

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

1. Leszek Bugajski: „Zapiski z epoki Beatlesów", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1982, ss. 199, nakład 19.650+350 egz., cena zł 65.—

Inwazja

RYSZARD BINKOWSKI

Kiedy to wredne narzędzie imperializmu wsiadło do tramwaju i spoczęło na biuście pięknej pani magister, narzeczony pomyślał, że przyszła moda na brosze w paski. Ale gdy żuk z Colorado wjechał sprytnie za dekolt dewizowej Cygojny z „Grandu", w wagonie powstała panika.

Potem żuczki zaczęły wpadać przez okna do różnych gabinetów, siadać na biurkach, szeleścić w aktach, papierach, i nic. Wobec tego tu i ówdzie zaczęto krzyczeć, że stonka jest wszędzie: w polu, na plażach, w parkach i tramwajach, na skwerach i na chodnikach. I że gdyby tak inwazja poszła na urzędy, gdyby stonka dobrała się do urzędniczych czterech liter, czyniąc z nich tzw. gołożery, to coś by drgnęło.

Aby zapobiec panice, różni propagandziści zaczęli łagodzić sytuację, uspokajać wzburzone umysły. Mówią i piszą, że nie taki diabeł straszny jak malowali go w latach pięćdziesiątych, na spadochronach nie spada, czuwa WOP i lotnictwo. Ale ciepło jest, burze idą, wiatry noszą w różne strony całe chmary tego żarłocznego paskudztwa. Jednakże od przyjaciół nic nam nie grozi, bo gdyby nawet zagony pancerne w paski ruszyły na wschód, to ze względu na klimat i ogromne przestrzenie czeka je ten sam los, co Napoleona i Hitlera. Poza tym w Związku Radzieckim kołchozowe pole kartofli liczy sobie tysiąc hektarów, toteż bez szkody dla środowiska można je spryskać i wytruć wraże owady. A u nas prywata, drobnotowarowość, co krok to miedza, jak sąsiad zapali, drugi czuje, że popularne. Co się zaś tyczy żuczka w biurze — piszą infantylnie miejscy publicyści — to on niegroźny. Zdechnie z głodu w murach miasta, kartofli z piwnicy w bloku nie ruszy.

Kierując się przesłankami ładu i stabilizacji wojewódzka Stacja Ochrony Roślin w Łodzi obwieściła dnia 3 czerwca, na łamach prasy, że „duża ruchliwość chrząszczy, które nalatują na plantacje po opryskiwaniu stwarza wrażenie małej skuteczności stosowania środków chemicznych". Poza tym Stacja uważa, że szkodliwość żerowania chrząszczy jest niewielka, toteż należy pryskać dopiero larwy w drugim stadium, czyli starsze, zwane L-2, a termin zostanie podany w prasie.

Prosty lud wprawdzie nie miarkuje, w jakim stadium jest larwa, lecz zalecenia są słuszne pod wieloma względami. Z tym, że nie decyduje troska o czystość środowiska. Chodzi raczej o oszczędność preparatów chemicznych, których mamy za mało. Ministerstwo Rolnictwa twierdziło, że starczy na zabiegi na 2,2 mln ha, czyli nieco więcej niż w roku ubiegłym. Ale wtedy stonki nie było widać i nie trzeba było zużywać tyle środków. Poza tym w bieżącym roku łącznie z pomidorami mamy chyba ponad 3 mln ha do ochrony.

Przemysł chemiczny zapewniał, że pracuje rytmicznie i dostarczy ilość preparatów zgodną z planem. Plan zostanie, jak zwykle, wykonany w grudniu, lecz chłop nie zmieni rytmu produkcji w gospodarstwie, nie zatrzyma kartofli pod ziemią, żeby wszedły w Wigilię. A tu stonka żre kartofle, pomidory, tytoń dobiera się ponoć do liści buraczanych.

Mimo to wskazówki łódzkiej Stacji Kwarantanny mają pewne zalety. Byle tylko trafić we właściwy termin. To się pewnie ujawni, zanim ten artykuł ukaże się w kioskach. Chodzi o to, że żarłoczne chrząszcze uciekają ze spryskanych plantacji i nadal się mnożą. A samica żuka z Colorado składa 800 sztuk jaj. Jednakże wczesne spryskiwanie jaj preparatami jest nieskuteczne. Łatwiejsze do zniszczenia są larwy, zwłaszcza starsze. Ale trzeba je zwalczać w porę, bo inaczej potrafią zeżreć wszystko na swej drodze nawet w ciągu trzech dni. Potem zejdą do ziemi, żeby się przepoczwarzyć. A jak będzie znowu łagodna zima, to w przyszłym roku czeka nas kolejna inwazja.

Wydaje się, że środki owadobójcze dostarczane w drugiej połowie czerwca nie zdążą za stonką. A jeśli import preparatów na 900 tys. ha znajdzie się na polach w lipcu, to wydane 2 mln dolarów pójdą na straty. Późno zdecydowano się na import, jesienią można było kupić o wiele taniej. Tylko czy my w ogóle powinniśmy kupować preparaty za dolary?

Ja tu sobie tak kraczę i uprawiam czarnowidztwo, ponieważ piszę te słowa 10 czerwca. Obym się mylił. Dziś już wiadomo, że przemysł chemiczny nie wywiązał się należycie wobec rolnictwa, które daje 45 proc. ogółu surowców dla kraju. Wiadomo też, iż część skromnych zapasów środków chemicznych została już zniszczona. SKR nie wykonywały zabiegów w terminie, skaziły środowisko, a stonka żyła! Są preparaty, co działają w temperaturze poniżej 20°C, należało więc używać je wieczorem lub w nocy. Chemizatorzy z SKR odwalili robotę przy 30-stopniowym upale. Ponadto aparaty mają złe dysze, rozpylają za dużo, są straty, a stonka się uodparnia!

Stacja Kwarantanny nawołuje do spokoju i rozwagi, na działkach zaś wielkie larum. Licytują się obywatele, ten z czterdziestu krzaków pomidorów zebrał wiadro, tamten z sześćdziesięciu krzaków dwa wiadra! Stonki...

Stonka łazi po polu, czeka na wychodzące z ziemi rośliny i je pożera. A na miedzy czeka chłop, żeby utłuc gada. Chłop nie czeka na SKR, bo chemizator może przyjechać za tydzień. A dzieci? Rolnik uważa, że stonkę można zbierać w ogródkach, na działkach, ale nie na dużych polach. Szarańcza ze szkoły może więcej zrobić szkody niż pasiasty żuczek.

Preparaty pyliste powinny być dla działkowiczów oraz dla rolników indywidualnych. Bo płynne są tylko dla SKR. Jedyny producent płynu stonkobójczego, Chemiczne Zakłady „Organika — Azot" w Jaworznie, oferują tylko beczki 200-litrowe. Więc chłop bierze preparat pylisty w pończochę, niszczy stonkę i sam się zatruwa. Potem na odtrucie wypija pół litra. I wtedy opozycja strzela z demagogicznej armaty. Że w aglomeracji gleba i powietrze są już tak skażone, iż żadna plaga nie powinna się tu utrzymać. Ale podrzucają nam tę stonkę z województw ościennych i nasi chłopi są przez to pijani. A za rolnictwo odpowiada wicewojewoda Lech Krowiranda. Rolnictwo to wielka fabryka pod gołym niebem, której dyrektorem jest Krowiranda, więc gdy w tej fabryce chłopi piją, to w myśl ustawy antyalkoholowej trzeba coś zrobić z dyrektorem...

Panowie, opamiętajcie się! Prezydent Niewiadomski też nie może spać przez tę inwazję. Przed zaśnięciem liczy te cholerne żuki. Kiedyśmy mieli województwo od morza do morza, stonki nie było widać. A teraz skupia się między Rzgowem i Ozorkowem i jest gęsto, bo na dodatek pcha się przez granice. No i są tysiące drobnych gospodarstw, jak właściciel posypie truciznę, to zatruje warzywa sąsiada, stonka zaś poleci do następnego, i tak krąży to draństwo wokół wielkiej Łodzi. Jedyny ratunek — zbierać. Ale jakby wyszło milion ludzi z aglomeracji, to zdeptałoby stonkę razem z zasiewami. Jak nie urok, to srebrne wesele. Przeto proszę nie atakować nam prezydentów, bo nie oni utworzyli to województwo, i nie oni produkują preparaty chemiczne do walki ze stonką.

Żeby zaś nie było niedomówień, warto na koniec wyjaśnić, skąd się wzięła masa żarłocznych chrząszczy. Ano, z pięknej ubiegłorocznej pogody, z wysokich cen usług chemizacyjnych i drogich preparatów. Co nie wytruto, przechowało się w łagodną zimę i wylazło z ziemi wczesną, ciepłą wiosną. Wojewódzkie Stacje Ochrony Roślin jesienią sygnalizowały, że może przyjść plaga, handel zamawiał 15 preparatów płynnych, zawiesinowych pylistych, zalecanych przez Instytut Ochrony Roślin, jeszcze w lutym sygnalizowano niebezpieczeństwo na sesji ochrony roślin w Poznaniu, ale ktoś zlekceważył ostrzeżenia. Pewnie liczono na pogodę, że przymrozi i zniszczy to draństwo z Colorado.

A druga istotna przyczyna stonkowej plagi wzięła się z tego, że jesteśmy drugim w świecie producentem ziemniaków. Większość z tego, co się urodzi, idzie na karmę dla zwierząt. Gdyby zamiast ziemniaków uprawiano na glebach lekkich buraki pastewne „Polypasty", zajęłyby tylko połowę areału, a plon byłby ten sam. Wtedy byłoby mniej stonki, starczyłoby środków owadobójczych i herbicydów.

No tak, ale mądry Polak po szkodzie...

Człowiek w osiedlu

8 czerwca 1983 roku odbyła się w Łodzi konferencja poświęcona zagadnieniom pracy partyjnej w samorządach terytorialnych, a w tym również w samorządach mieszkańców, jak też zagadnieniom i roli samorządu w politycznym systemie Polski Ludowej. Jeden z referatów wygłosiła dr Małgorzata Stahl z Uniwersytetu Łódzkiego. Publikujemy fragmenty tego referatu. Tytuł pochodzi od redakcji.

MAŁGORZATA STAHL

Chwilowa samotność

Analiza nieprawidłowości w funkcjonowaniu samorządu mieszkańców pozwala na wyłowienie tych problemów, które powinny być rozwiązane w nowej ustawie o radach narodowych. Przedstawienie niedomagań występujących w działaniu samorządu jest potrzebne po to, aby w pełni uświadomić sobie sytuację, w jakiej znalazł się samorząd po 13 grudnia 1981 r.

Dekret o stanie wojennym nie zawiesił działalności komitetów samorządu mieszkańców, co należy traktować jako wyraz wysokiej oceny społeczno-politycznej roli samorządu. Ograniczył jednak, w pierwszym okresie, możliwość zbiorowych kontaktów z mieszkańcami. Tak więc samorząd mieszkańców nie zaprzestał działalności, ale w praktyce uległa ona osłabieniu i napotkała szereg trudności.

Na sytuację, w jakiej znalazł się samorząd, wpłynęły też ujemne zjawiska związane z kryzysem społeczno-gospodarczym. Wpłynęło to na osłabienie jego pozycji wobec ograniczonych możliwości działania statutowego. Rady narodowe nie realizowały w sposób właściwy funkcji samorządowych i sprawowały tylko formalny nadzór nad samorządem. Upadek autorytetu rad pociągnął za sobą dalszy brak zainteresowania samorządem mieszkańców. Poza tym zainteresowania wielu rad przesunęły się w kierunku problemów samorządności pracowniczej i mimo formalnego istnienia np. komisji do spraw samorządów na szczeblu województwa, samorząd mieszkańców nadal pozostaje poza sferą oddziaływań rady narodowej.

Krytyka dotychczasowej formuły funkcjonowania FJN pociągnęła za sobą zmniejszenie jego zainteresowania działalnością samorządu mieszkańców. A dotychczas właściwie FJN najsilniej powiązany był z samorządem mieszkańców. Rzutowało to na pozycję samorządu mieszkańców, spełniającego funkcje podstawowego ogniwa FJN.

Zmniejszyła się przez to rola samorządu jako czynnika rozwijania demokracji w miejscu zamieszkania, ograniczone zostały funkcje rozjemcze i profilaktyczne oraz możliwości pracy społeczno-wychowawczej. Samorząd mieszkańców stracił wielu działaczy, niektórych w sposób naturalny, innych z przyczyn związanych z kryzysem postaw, barierami psychologicznymi, wynikającymi ze zmienionych warunków działania. W tej sytuacji konieczne się staje przedłużenie kadencji organów samorządu i uzupełnienie jego składu personalnego.

Pole działania samorządu zostało zawężone, ograniczone zostały możliwości realizowania wielu statutowych funkcji. Osłabła zwłaszcza rola samorządu mieszkańców w inicjowaniu i przeprowadzaniu czynów społecznych, zmalało znacznie zainteresowanie formami współzawodnictwa i rywalizacji.

W zmienionych warunkach samorząd mieszkańców zaczął poszukiwać takich form pracy, które odpowiadałyby zapotrzebowaniu społecznemu i dałyby konkretne efekty. Działania te poszły w kierunku rozwijania różnych form pomocy i opieki nad ludźmi starszymi, niepełnosprawnymi, organizacją opieki nad dziećmi, pomocy w rozdzielnictwie kartek, wzmocnienia kontroli placówek handlowych, wyszukiwania pustostanów, kontroli wykorzystania gruntów rolnych i przydzielania działek. Działalność samorządu mieszkańców w warunkach ostrego kryzysu społeczno-gospodarczego i stanu wojennego daje podstawy do stwierdzenia, że okazał się on instytucją trwałą, ważnym elementem aktywności społecznej, odpornym na zagrożenia i obdarzonym zdolnością przystosowania się do zmienionych warunków działania.

Straciły jednak na znaczeniu jego kompetencje opiniodawcze, zwłaszcza w zakresie remontów budynków mieszkalnych. Kryzys stał się dla niektórych pracowników administracji wygodnym parawanem zakrywającym ich nieudolność i biurokrację. Dlatego należy szczegółowo rozważyć, w jakim stopniu braki materiałowe i kadrowe przedsiębiorstw gospodarki mieszkaniowej są rzeczywiście nie do przezwyciężenia, a w jakim stopniu stanowią one wyraz nieudolności, niedbałości i złej organizacji pracy.

Kolejnym problemem w funkcjonowaniu samorządu mieszkańców stał się zanik ich powiązań z zakładami pracy. W państwie socjalistycznym przedsiębiorstwo obok zysku, jako kryterium podstawowego działania, winno jeszcze brać pod uwagę spełnianie funkcji społecznych. Na pewno trudne do wymierzenia są korzyści, jakie odnosi zakład pracy z dobrego funkcjonowania wszelkiego rodzaju instytucji osiedlowych, z których korzystają jego pracownicy, z poprawy warunków życia, niemniej jednak tego rodzaju sprzężenie zwrotne między sferą produkcji a sferą działania społecznego w miejscu zamieszkania powinno być uwzględnione i nie należy rezygnować z bardziej bezpośrednich powiązań między miejscem pracy i miejscem zamieszkania. Tymczasem wiele zakładów pracy zerwało więzi z samorządami w sposób nagły. A przecież obciążenie finansowe czy pomoc świadczona wcześniej samorządom nigdy nie były duże dla zakładu, nikt takich zresztą nie wymagał. Ale wydaje się, że nie zuboży zakładu pracy wypożyczenie raz w roku nieodpłatnie autokaru na wycieczkę dla osób niepełnosprawnych, starszych lub dzieci, czy przywiezienie ciężarówki piasku czy żwiru dla osiedla.

Należy więc oczekiwać, że w zakładach pracy nawiązaniem i utrzymywaniem więzi z samorządem mieszkańców zainteresują się samorządy pracownicze i zakładowe organizacje partyjne.

Innym zupełnie problemem jest wzajemny stosunek samorządu mieszkańców i OKON. Dadzą się tu wyróżnić trzy sytuacje:

— gdy trzon osobowy obu organizacji społecznych jest zbliżony i współpraca odbywa się w sposób naturalny

— gdy składy osobowe nie pokrywają się, ale oba ogniwa społeczne opierają swe stosunki na współpracy i wzajemnym wspieraniu

— gdy brakuje powiązań personalnych, są one ograniczone, a samorząd mieszkańców i OKON nie mogą zorganizować współpracy, z tego powodu powstają spory, wzajemna niechęć i zadrażnienia.

Prawidłowe ułożenie stosunków między samorządem mieszkańców a OKON winno stać się w większym stopniu przedmiotem zainteresowania terenowych organizacji partyjnych. Mamy bowiem niezbyt liczną kadrę aktywistów społecznych w miejscu zamieszkania, w większości ludzi sprawdzonych w działalności społecznej, znających problemy osiedla, zasłużonych, i nie można dopuścić do tego, by uległa ona dalszemu zmniejszeniu wskutek sporów, animozji i zniechęcenia do działalności społecznej. Energia i uwaga działaczy terenowych nie mogą rozpraszać się w atmosferze wzajemnej niechęci. Trzeba doprowadzić do wykształcenia zasad współdziałania samorządu mieszkańców z OKON. Działania zmierzające do wygaszenia w sposób taktowny i przemyślany wszelkich sporów między samorządem mieszkańców i OKON winny podjąć DRN lub MRN oraz terenowe organizacje partyjne.

Błędem jest również sygnalizowana już praktyka zwracania się niektórych ogniw PRON do samorządu mieszkańców, aby tworzyły one odpowiednie komórki. Ogniwa PRON mogą i powinny powstawać, gdy pojawia się taka potrzeba społeczna, ale nie można ich tworzyć w drodze poleceń i nakazów. Niejasna sytuacja co do wzajemnego stosunku PRON i OKON doprowadziła nawet niektórych działaczy do fałszywych wniosków o potrzebie likwidacji samorządu mieszkańców. Z całą mocą należy więc podkreślić, że nie zostały ograniczone ani zmniejszone prawnie określone kompetencje samorządu mieszkańców, mogą one nadal wykorzystywać wszystkie swoje uprawnienia. Ten fakt, jak również nowa pozycja, jaką dla samorządu mieszkańców przewiduje projekt ustawy o radach narodowych, powinien stanowić decydującą przesłankę dla rozstrzygania ewentualnych sporów.

Brak zainteresowania samorządem mieszkańców przejawia również PRON. Przyczyny tego mogą być różne: np. nadmiar problemów, którymi ruch ten pragnie się zająć, niechęć do przejmowania czegokolwiek po FJN, a więc i samorządów mieszkańców. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę z tego, że PRON w pewnym momencie będzie musiał szukać kontaktu z działaczami samorządu mieszkańców, stanowiącymi, obok członków terenowych organizacji partyjnych, najliczniejszą grupę aktywistów terenowych. Bez ich pomocy i wsparcia w terenie niewiele można będzie zdziałać.

Nie sugeruje to potrzeby powiązań organizacyjnych między samorządem mieszkańców a PRON, a jedynie potrzebę wsparcia i zainteresowania. Brak potrzeby powiązań organizacyjnych wynika m.in. z pozycji, jaką zapewnia samorządowi mieszkańców projekt ustawy o radach narodowych — samodzielnej instytucji społecznej. To samoistne ogniwo samorządu terytorialnego powiązane będzie jedynie z radą narodową, a i to nie na zasadzie podległości, a jedynie z racji jej statusu jako podstawowego organu samorządu społecznego w terenie.

Grupa działaczy FJN, dostrzegających poważne niebezpieczeństwo utraty dużej części aktywu samorządowego, spowodowała przejęcie uchwałą Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi Wojewódzkiej Komisji Samorządów Mieszkańców. Utworzono Zespół do Spraw Samorządu Mieszkańców Rady Narodowej z obsługą techniczno-organizacyjną Biura Rady Narodowej m. Łodzi. Rozwiązanie takie nie może jednak w pełni satysfakcjonować, albowiem w pracy Zespołu nie uczestniczą radni, trudno ich bowiem, po paru latach pracy w innych komisjach RN m. Łodzi, przenosić do pracy w Zespole. Jest to więc tylko rozwiązanie chwilowe, częściowe, które pozwoli na zapełnienie luki, jaka powstała w pracy z samorządem mieszkańców. Za przykładem DR na Bałutach inne rady dzielnicowe, miejskie i gminne powinny tworzyć komisje do spraw samorządu, podzielone na zespoły: samorządu mieszkańców, samorządu pracowniczego i innych samorządów.

Nie sposób przecenić społeczno-politycznej wagi problemu samorządności w miejscu zamieszkania. Samorząd mieszkańców powinien być hołubiony, a nie pozostawiony sam sobie w sytuacji, gdy rady czekają na nową ustawę, FJN zaprzestaje działalności, a PRON nie jest nim zainteresowany. Czekanie na rozwiązanie organizacyjne w skali całego kraju i brak zainteresowania samorządem w sytuacji, gdy jego problemy są już bardzo palące, może prowadzić do tracenia jego dorobku, autorytetu społecznego i działaczy samorządowych. Nie stać nas na to.

JACEK BINKOWSKI

Ludzie z rudery

Miejsce akcji: kamienica na Składowej dziewietnaście w samym centrum prawie milionowej metropolii, dwa przystanki tramwajowe od Piotrkowskiej. Czas akcji — współcześnie. Rok 1983.

Reportera prawie „rozrywają" zbulwersowani lokatorzy, każdy chce pokazać swoje mieszkanie, każdy chce się pożalić.

— My już tu telewizję chcieliśmy zaprosić. Jak pod „trzynastkę" przyjechali i pokazali ten zniszczony korytarz — to zaraz zaczęli naprawiać.

— Bo tutaj mieszkać „nie idzie", niech pan sam zresztą obejrzy...

Jakubowscy z parteru:

— Zacznijmy od piwnic, tam ciągle woda stoi i wejść wcale nie można. I jak tu człowiek może ziemniaki na przykład, trzymać. Wszystko gnije przed czasem. Nie mówiąc już o tym że tam w każdej chwili może się strop zawalić. Albo w korytarzu. Bo w korytarzu, proszę pana, jest taka dziura w podłodze przykryta tylko linoleum. Tylko patrzeć jak ktoś sobie krzywdę zrobi. A ile butów dzieciaki tam zgubiły...

Teraz o naszym mieszkaniu. No więc po kolei — ściany zagrzybione, w tych miejscach gdzie są teraz maty — to są dziury w ścianach. Jak jedzie samochód, to się wszystko trzęsie. A cegła to jest tak sprochniała, że odchodzi jak owsianka. Jak zawołałem malarza, to tylko powiedział żebym mu głowy nie zawracał. I mieszkamy w tych czarnych ścianach. Sam chciałem coś zrobić, ale gdzie tam, nie da rady.

Panie, jak tutaj jest ciemno, nawet w dzień trzeba cały czas światło palić. A to dlatego że naprzeciwko okna stoi mur kamienicy, który słońce zasłania. Ja już na oczy choruję, tak samo dzieciak. Zrobiłem mu lampkę, żeby mógł lekcje jakoś odrabiać. I szyby wylatują, bo nie mają się czego trzymać...

Truszkowska z parteru:

— Dzieciaka mam siedmioletniego i ciągle choruje. Proszę, to jest książeczka zdrowia. Na zapalenie dróg oddechowych i nerki. Już w sanatorium nawet był taki mały. To wszystko przez te warunki w jakich tutaj mieszkamy.

W tym mieszkaniu jest taka wilgoć, że woda leci po ścianach, a na podłodze jest ślizgawka. A ściany są ruchome, niech pan lekko puknie dłonią. Widać jak się rusza? Jak siedem lat temu tutaj się wprowadziliśmy, to nam obiecali, że wymienią okna. Dopiero rok temu na własny koszt zrobiliśmy, bo nie dało się już mieszkać.

Ostatnio mąż był u naczelnika z pismem podpisanym przez wszystkich lokatorów. Powiedzieli, że te inne podpisy nieważne i przyszły dwie panie z Urzędu tylko do nas. I kazali czekać. W ogóle to ta cała kamienica kwalifikuje się tylko do rozbiórki. I w tym cały problem, bo nie chcą remontować. A na rozbiórkę to od kilkunastu lat wszyscy czekają.

Wszyscy mówią, że mieszkań brakuje i nie można nas wyprowadzić. Jak ktoś tego nie poruszy, to my wszędzie pójdziemy na skargę...

Karwińska z parteru:

— Od 38 lat tutaj mieszkam i żadnych remontów nie pamiętam. A dzisiaj to jest ruina. Okna zabite na gwoździe, tak samo drzwi w kuchni. Co trzy miesiące trzeba meble przesuwać, bo ściany zamoczone. Tak samo z pościelą, która jest stale wilgotna. I pleśń wszędzie wchodzi.

Jak się idzie z podaniem do administracji, to tylko nowe komisje przychodzą i wszyscy zgodnie mówią, że dom nie nadaje się do mieszkania i trzeba go zburzyć. A tymczasem remontu nie będzie. I tak od ponad dwudziestu lat odsyłają od Pawła do Gawła, a my pod strachem żyjemy, że się wszystko zawali. Tylko patrzeć, jak się stanie nieszczęście. Wtedy może ktoś się tym wszystkim zainteresuje.

Albo jak było z piecem. Ile się nachodziłam, żeby piec nam przyznali. Zimą musiałam z dzieckiem u siostry mieszkać. Dopiero teraz nam założyli.

Kanecka z poddasza:

— My tutaj na poddaszu z dwojgiem dzieci mieszkamy. Jedno 7 lat, a drugie jedenaście. Powinni coś z nami zrobić, bo dłużej tak nie można. Woda się przez okna leje, na ścianach grzyb wyłazi. Na korytarzu jak sąsiad napali, dym się skądś ulatnia przez komin, bo to wszystko nieszczelne. Gazu też nie możemy założyć, bo nam nie pozwolili. Podobno nie ma wywietrznika. Obok jest puste mieszkanie, bo właścicielka mieszka gdzie indziej. My się o ten pokój staramy, żeby trochę luźniej było mieszkać i w lepszych warunkach. Ale nie chcą przydzielić. Pisaliśmy już do prezydenta, do „Przyjaciółki" nawet. Ale wszyscy odmówili. Na wpłacenie na bloki nas nie stać — to i musimy się tutaj w czwórkę na tym poddaszu męczyć i czekać aż się zawali...

Wożniakowa z poddasza:

— Czterdzieści cztery lata tutaj mieszkam, w takich warunkach. A z dnia na dzień coraz gorzej, coraz bardziej się kamienica wali. Mieszkamy na tym poddaszu w cztery osoby, a córka jest chora na astmę. Co się dziwić, w takiej wilgoci. Zimą jest w mieszkaniu tak zimno, że trudno wytrzymać, latem znowu duszno.

W administracji to jest pusta mowa. Kamienica miała być kilkanaście lat temu rozebrana, ale ktoś postanowił drugą stronę ulicy wyburzyć, bo biok musi stanąć. A my sobie możemy pisać różne podania i skargi. Co z tego, że teraz trochę ruszyło. Popiszemy sobie trochę do urzędów i pięć lat się będzie czekać. Oni wszyscy sobie nic z tego nie robią. Zmienia się kierownik w administracji, a nowy udaje, że nic nie wie, że mu papierów poprzednik nie przekazał w tej sprawie. I tak w kółko Macieju.

Ja tam u nich, ze trzydzieści razy byłam i nic nie skutkuje. A okna to w każdej chwili mogą wylecieć i zabić kogoś na dole. I niby ja pójdę do więzienia, bo to moje okna...

Strzelecki z piętra:

— Tutaj jak zwierzęta wszyscy mieszkamy, gorzej niż w oborze. Zresztą ludzie wszystko pokazali, cóż więcej o warunkach mówić. Pomówmy o papierach. Ja jestem z Komitetu Domowego, to wszystkie świstki trzymam. Już w 1976 roku mówiło się, że ten dom tylko do rozbiórki się kwalifikuje. Tak mówiono i nikt nie remontował. Zresztą ta ruderа nie nadaje się do remontu. No i nikt się nie przejmował, jak ludzie mieszkają. Do mnie jak przyszła pani z Urzędu to się tylko spytała, czy się nie boję tutaj mieszkać. A pewnie, wszyscy się boimy, ale gdzie mamy niby pójść?

Wydano już ekspertyzę techniczną, gdzie bezwzględnie stwierdzono, że budynek nie nadaje się do zamieszkania i grozi katastrofą. Takie jest orzeczenie specjalistów. Tylko do realizacji daleko. Mówią, że nie ma mieszkań i nie można nas nigdzie wyprowadzić. I tylko pisma między sobą piszą. PGM do Urzędu Dzielnicowego o przydział nowych mieszkań. Urząd Dzielnicowy jeszcze gdzieś pisze, tylko my tutaj dalej w tej ruderze mieszkamy. A teczka papierów pełna.

Jakubowski z parteru:

— Ja już w siedemdziesiątym piątym do FJN zgłosiłem o tych trudnych warunkach. Prawie dziesięć lat minęło i nic się nie zmieniło. Cały czas mówią, że nie mają mieszkań. Ale jednocześnie mówią, że tutaj mieszkać nie można.

Truszkowski z parteru:

— Ta kamienica ma już ponad 120 lat, a ostatni remont to nie wiem, czy był trzydzieści lat temu. I co się dziwić, że się wszystko wali. Jak się idzie po schodach na górę, to wszystko tak trzeszczy, że strach nogę na następnym stopniu postawić.

Syn Jakubowskiego z parteru, lat 11:

— Ja już na oczy choruję, bo w mieszkaniu cały czas ciemno i tylko przy żarówce wszystko robimy. Tak bym się bardzo chciał stąd wyprowadzić. Ja się boję tu mieszkać, że mi sufit na głowę spadnie.

Karwińska z parteru:

— Dziury są w podłodze i robaki z piwnicy do pokoju wchodzą. Pełno myszy po mieszkaniu biega. Jak długo my tutaj musimy się męczyć. Czy ludzie serca nie mają patrzeć na naszą krzywdę. Jak można do takiego stanu dopuścić.

Strzelecki z piętra:

— Te papierki, które oni sobie nawzajem przesyłają — to tylko dla asekuracji. Bo jak się tu coś stanie, to nie będzie winnego. Bo u nas papierki to wszystkich kryją. Kto weźmie odpowiedzialność za 24 rodziny, które tutaj mieszkają, jak jakiś strop runie zbutwiały? Teraz czekamy na ostateczną podobno komisję, która zdecyduje u kogo są najgorsze warunki i kogo w pierwszej kolejności trzeba stąd wysiedlić. Na razie cierpliwie czekamy na tę komisję w czerwcu. Jak to nic nie da, to zaczniemy wszędzie pisać, do wszelkich władz możliwych.

Jakubowski z parteru:

— Żeby nam gazeta w tej krzywdzie mogła pomóc, to byśmy wszyscy byli bardzo wdzięczni. Bo nam nie chodzi o to, żeby się do ładniejszego mieszkania przeprowadzić, żeby wykorzystywać. My byśmy chcieli tylko w ludzkich warunkach żyć. I o dzieci co tutaj mieszkają chodzi, żeby przestały chorować.

Karwińska z parteru:

— Najbardziej to denerwuje, jak te różne komisje do nas przychodzą i wszyscy zgodnie mówią, że tutaj mieszkać nie można, że są okropne warunki. A później nam mówią, że mieszkań innych dla nas nie ma. I czekać jeszcze musimy. To ile, ja się pytam, mamy jeszcze czekać na wyprowadzenie. Dziesięć, dwadzieścia lat jeszcze?

Truszkowski z parteru:

— Najlepiej to by było to wszystko benzyną podlać i podpalić. Wtedy musieliby coś z lokatorami zrobić, no nie? Tylko przy okazji nieszczęście jakie mogłoby być. Niby dlaczego trzeba o takich rzeczach myśleć. Jakby nie było urzędów, które powinny się o nas troszczyć. Przecież my ludzie jesteśmy, nie jakieś zwierzęta...

* * *

Joanna Roguska — Urząd Dzielnicowy Łódź — Śródmieście:

— Tak, na Składowej 19 jest bardzo ciekawie. Bo kamienica się wali, lokatorzy dawno, ze względu na stan bezpieczeństwa, powinni zostać wyprowadzeni — ale nie ma dla nich mieszkań zastępczych.

Na Składowej sytuacja [illegible] bardzo ciekawa...

* * *

Krótko mówiąc, ileś tam lat temu postanowiono budynek [illegible]ontować, ileś tam lat temu postanowiono budynek przeznaczyć do rozbiórki i sprawdzić cierpliwość lokatorów.

A trzeba przyznać, ludzie są wyjątkowo odporni i odważni zarazem!

Foto: Mirosław Zajdler

Listy

To nie jest odpowiedź

W numerze 19 „Odgłosów" z dnia 7 maja 1983 r., w artykule „Kto to wytłumaczy?" Włodzimierz Krzemiński opisał „nadmiernie nadętą" — jego zdaniem — „naukową obsługę problematyki dróg i mostów w naszym kraju", powołując się na artykuł J. Maca w „Przeglądzie Tygodniowym" z 10 kwietnia br.

Przytoczony artykuł w „Przeglądzie Tygodniowym" poświęcony był jednej z instytucji działającej w drogownictwie, jaką jest Zarząd Autostrad. W argumentacji podważającej sens istnienia Zarządu Autostrad wymieniono szereg instytucji, które jak można wywnioskować z artykułu, zajmują się — zdaniem autora — tą samą problematyką co wymieniona wyżej jednostka. Artykuł J. Maca zawiera wiele nieścisłości zarówno w przedstawieniu faktów, jak i ich interpretacji. Stanowisko w stosunku do tego artykułu Centralny Zarząd Dróg Publicznych przekazał Redaktorowi Naczelnemu „Przeglądu Tygodniowego".

Opierając się na fragmencie artykułu z „Przeglądu Tygodniowego" i dodając swój własny komentarz, W. Krzemiński przedstawił obraz zaplecza naukowo-badawczego drogownictwa w sposób daleko odbiegający od rzeczywistości. Pragnę poinformować, że:

— Biuro Programu Autostrady Północ—Południe jest komórką organizacyjną Centralnego Zarządu Dróg Publicznych, zatrudniającą 3 inżynierów, której zadaniem jest koordynowanie wewnętrznych działań związanych z realizacją programu przygotowania budowy Transeuropejskiej Autostrady Północ—Południe oraz reprezentowanie polskiego drogownictwa w roboczych kontaktach z pozostałymi uczestnikami programu, tj. 9 krajami oraz ONZ-owskim biurem koordynującym działania programu;

— Zespół Rozwoju Sieci Drogowej w Centralnym Zarządzie Dróg Publicznych jest pięcioosobową komórką CZDP, realizującą wycinek prac, wynikających z regulaminowych obowiązków Centralnego Zarządu jako naczelnego organu zarządzającego drogami publicznymi w Polsce;

— przy Dyrekcjach Okręgowych Dróg Publicznych działa nie „17 okręgowych pracowni projektowo-studialnych" lecz 10 pracowni projektowych, wykonujących proste dokumentacje projektowo-kosztorysowe dla remontów kapitalnych dróg państwowych i lokalnych, w których realizuje się rocznie kilka tysięcy kilometrów;

— cztery biura projektów są przedsiębiorstwami wykonującymi prace projektowe; jedno z nich — warszawskie — poza opracowywaniem opracowań projektowych, prowadzi także działalność w zakresie pomiarów i badań ruchu drogowego oraz działalność związaną z fazą przedprojektową tj. ze studiami układów i tras drogowych;

— wymieniony (z błędną nazwą) zakład w Centralnym Ośrodku Informatyki Drogownictwa jest wewnętrzną komórką opracowującą oprogramowania dla systemów komputerowych eksploatowanych w tym Ośrodku.

Zaliczenie wyżej wymienionych instytucji i wewnętrznych komórek instytucji do „dwudziestu dziewięciu jednostek badawczych" ze stwierdzeniem, że „w każdej z nich są doktorzy, docenci i asystenci", stanowi rażącą niezgodność z rzeczywistością.

Centralny Zarząd Dróg Publicznych prosi o wyjaśnienie przyczyn dopuszczenia do opublikowania artykułu zawierającego poważne zarzuty w stosunku do dużej branży gospodarki narodowej oparte na nieprawdziwych faktach i oczekuje sprostowania, zawierającego rzetelną informację na omawiany temat.

mgr inż. JERZY WALAWSKI
(Zastępca dyrektora do spraw technicznych w Centralnym Zarządzie Dróg Publicznych)

OD REDAKCJI: Pozwoliliśmy sobie umieścić list Centralnego Zarządu Dróg Publicznych pod tytułem „To nie jest odpowiedź" z tego prostego powodu, że Włodzimierz Krzemiński w swoim felietonie prosił o wytłumaczenie mu prosto i przystępnie, jak to się dzieje, że mimo braku surowców, niewykorzystywania mocy produkcyjnych i innych powodów pomniejszania produkcji brakuje ludzi do pracy. Jak się dzieje, że gdy wszystko było i przemysł pracował na trzy zmiany ludzi starczało, a dziś nie, choć i roboty mniej? Prosił też o wytłumaczenie skąd się w godzinach pracy biorą ludzie w kawiarniach i to wydawałoby się zdolni do pracy. Powołał się też na przykład zaczerpnięty z „Przeglądu Tygodniowego" o nadmiarze — jego zdaniem — ludzi w zapleczu techniczno-badawczym podlegającym Centralnemu Zarządowi Dróg Publicznych. Pismo mgr inż. Jerzego Walawskiego nie wyjaśnia tej wątpliwości, nawet jeśli placówek tych jest mniej niż sugerował to — za „Przeglądem Tygodniowym" — Włodzimierz Krzemiński.

Natomiast zupełnie nie rozumiemy, co ma na myśli mgr inż. Jerzy Walawski, kiedy pisze: „Centralny Zarząd Dróg Publicznych prosi o wyjaśnienie przyczyn dopuszczenia do opublikowania artykułu zawierającego poważne zarzuty w stosunku do dużej branży gospodarki narodowej oparte na nieprawdziwych faktach i oczekuje sprostowania, zawierającego rzetelną informację na omawiany temat". Nie rozumiemy bowiem, dlaczego mielibyśmy rezygnować z publikacji felietonu, którego autor prezentuje wątpliwości nieobce wielu Czytelnikom. Po drugie — wątpliwości Włodzimierza Krzemińskiego dotyczące placówek techniczno-badawczych CZDP stanowiły tylko fragment felietonu i były przykładem, a nie „poważnymi zarzutami". Zamiast się obrażać, lepiej spokojnie wyjaśnić, kto i dlaczego nie ma racji.

W kręgu fantastyki

WSPÓŁREDAGUJE WARSZAWSKI SFAN-CLUB
Aleje Jerozolimskie 2, Grotęka, 00-375 Warszawa

ANDRZEJ ZIMNIAK

Kuracja

Rys. Andrzej Biedrzycki

Tego dnia wszystko wydawało się inne, nawet w powietrzu unosiła się nieuchwytna mgiełka odmienności. Szedłem polną ścieżką wśród bujnych traw, a nad łąką w ciepłym, słonecznym powietrzu czerwcowego południa polatywały ważki. Lecz zapach pól był jakiś dziwny, jakby — to śmieszne, ale wtedy tak naprawdę mi się wydawało — świeżo skoszoną trawę na dalekich pagórkach posypano cynamonem; opalizujące w słońcu szkliste skrzydła ważek rzucały zbyt barwne, o ton za ostre refleksy, a nawet głosy bawiących się nad rzeką dzieci brzmiały piskliwie i zdawały się wprowadzać moją czaszkę w wibracje. Powtarzałem sobie stanowczo, że coś jest nie w porządku — ale co? Próbowałem skupić się na tym problemie, ale myśli wciąż rozbiegały się i kłębiły w nieistotnych obszarach świadomości, wymykając się spod kontroli jak zgraja rozfiglowanych urwisów. Chwilami miałem wrażenie, że moje zmysły przesunęły się o jakąś jednostkę na skali odczuwania, powodując zmiany w percepcji zjawisk. A może to świat wokół ulegał przemianie, dążąc nieuchronnie ku swojemu przeznaczeniu?

Przyspieszyłem kroku, starając się odpędzać niechciane refleksje. Ścieżka wiła się wzdłuż strumienia wśród młodych drzew, co chwila musiałem więc schylać głowę, aby prześliznąć się pod zwisającymi gałęziami. I chociaż wszystkie szczegóły drogi znałem na pamięć, przy każdym pochyleniu dostrzegałem jasnozielone, nienaturalnie jaskrawe pędy traw, wyglądające spod wielkich kęp zielska.

Zaczęło się to wszystko dzisiaj w szkole, a być może już znacznie wcześniej, tylko z powodu nikłości symptomów nie zwróciłem uwagi na zmiany. Tak, dzisiaj po raz pierwszy dzieci zaczęły mnie denerwować. Ich głosy piskliwym dyszkantem wdzierały się pod czaszkę, rozbiegana ruchliwość tych Bogu ducha winnych istot wyprowadzała mnie z równowagi. Byłem surowy, lecz w porę zdołałem powściągnąć rozdrażnienie. Co się ze mną działo?

Prawie biegiem dotarłem do domu. Tam, wreszcie odpocznę.

Żona kończyła przygotowywanie obiadu. Sądząc po gwałtowności, z jaką wybierała talerze i sztućce, nie była w najlepszym humorze.

— Jak spędziłaś dzień? — spytałem, błądząc jeszcze myślami po ogromnej niecce rozgrzanych łąk, pełnych dziwnego niepokoju.

— A jak mogłam go spędzić — jej głos sprawiał wrażenie spokojnego, lecz nasycony był wyczuwalnym zgorzknieniem, a agresywność odpowiedzi wynikała z obwiniania o ten stan rzeczy mnie, innych ludzi, zwierząt i całego świata w ogóle. Przyglądałem się jej chudym nogom i zbyt szczupłej figurze, wspominając czasy sprzed dziesięciu lat, kiedy to ten sam widok (żona nie zmieniła się wiele) wzbudzał we mnie uwielbienie i radosne pożądanie. Potem czas, ten nieubłagany władca małych i wielkich, kierując tysiącem takich, a nie innych zdarzeń, następujących po sobie ze straszliwą prawidłowością, uczynił z nas dwoje innych ludzi. Porozumienie utrudniała jeszcze niewrażliwość, potrzebne nam były coraz silniejsze bodźce, aby odczuwać cokolwiek.

— Dom, dom i jeszcze raz dom, oto cały mój świat — kontynuowała w tym samym tonie. Dyskusja była bezsensowna, albowiem niepogodzona kobieta miała na swój sposób rację, a jednocześnie nie miała jej, tak jak każdy z nas, uskarżający się na przypisanie do swojego losu.

Do kuchni wpadła jak bomba nasza córka, złotowłosy urwis o oczach jak dwa chabry.

— Mamusiu, ona parzy!

— Miałaś narwać marchwi na obiad — głos żony tajał niby wiosenny śnieg.

— No właśnie, tak, o tym przecież mówię! — piszczała dziewczynka. — O, zobacz, jak parzy!

— Chodź, obejrzymy tę marchew — wziąłem małą za rękę. — Pewnie dotknęłaś pokrzywy. Pomogę ci.

Wyszliśmy do ogródka, w którym kwietne rabatki przeplatały się z zagonami warzywnymi. Znów poczułem niepokój, rozbiegający się po piersi delikatną siatką drażniących impulsów. Te kwiaty miały nienaturalne barwy, jak na jakimś kiczowatym obrazie, lub w liliowym zmierzchu pogodnego dnia. A może... może to nie zmiany w moim sposobie odbioru stanowią przyczynę? Może coś dzieje się wokół, na co ja reaguję zmysłem wzroku, zaś moja córka — zmysłem dotyku?

Skierowaliśmy się ku grządce. Marchew rosła równymi rzędami, nie dostrzegłem tam ani pokrzyw, ani żadnych innych roślin.

— To cię oparzyło?

— Tak, tak, tatusiu, właśnie to! Ja się boję tej marchwi!

Wyrywałem rośliny, otrzepałem starannie z ziemi i wróciłem do domu. Wzbierała we mnie złość. Ciąg nieistotnych zbiegów okoliczności, bzdurnych skojarzeń i wytworów wyobraźni byłem skłonny wziąć za tajemniczą prawidłowość, za nieznane zjawiska. Bardziej racjonalnych wytłumaczeń można by znaleźć wiele — chociażby proszek nasenny z luminalem, o którego zażyciu zdążyłem od wczoraj zapomnieć. A marchew? Córka kiedyś skaleczyła się o zwykłą trawę, więc cóż dziwnego z marchwią?

Po obiedzie miałem zamiar oddać się lekturze, lecz przeszkodził mi hałas na dole. Dzieci, jedno nasze i dwójka od sąsiadów, których nigdy nie można było ściągnąć do domu przed zmrokiem, harcowały w najlepsze w gościnnym pokoju. Dziś nie chciały wyjść i już; tutaj czuły się świetnie, ustawiając piramidy z krzeseł i włażąc na kredens. Wrzeszczały przy tym wniebogłosy, a potem zanosiły się suchym kaszlem.

Wyszedłem na taras. Przed szybą drzwi leżały setki martwych owadów, może żona znowu użyła środków chemicznych, a może... Myśl, błądziła irracjonalnymi ścieżkami intuicji, zgasła nagle. Czyżbym pogrążał się w stanach maniakalnych?

Słońce pogodnie zachodziło za dalekie, lesiste wzgórza, do których nigdy nie dotarłem, choć wielekroć wyobrażałem sobie ich kręte, cieniste ścieżki i pełne światła polany. Chciałem tam iść, lecz zawsze coś powstrzymywało mnie i zmuszało do pozostania w bezpiecznym domu. Może przyczyną była zwykła ociężałość, typowa dla okresu drugiej połówki życia, a może lęk przed nieznanym, którego duch unosił się w każdym lesie? Lasy, łąki, strumienie, ta niwa życia, od której człowiek odgrodził się jednak ścianami z betonu i stali, lękając się zaczajonej w każdych zaroślach groźby. Nie mógł obejść się bez roślin, używał ich do wszystkiego: jako pożywienia, jako karmy dla swoich zwierząt hodowlanych, jako budulca. Bezwzględna była eksploatacja tego innego życia, lecz człowiek nie mógł zastanawiać się nad alternatywą, bo jej po prostu nie było. Jak huba drzewna mogłaby przenieść się pewnego dnia na kamień? Zastanawiałem się nieraz, dlaczego ludzie obawiają się przebywać w ostępach leśnych. Czy powoduje nimi jedynie lęk przed samotnością?

Zszedłem do ogrodu, stąpając po trawie ciężkiej od wieczornej rosy. Duszna woń kwiatów, pomieszana z wilgotnym zapachem zbutwiałego zielska, wypełniła mi krtań i płuca drażniącym obłokiem. Zaniosłem się męczącym kaszlem. Dokuczliwy atak minął dopiero w domu, po zażyciu odpowiednich środków uśmierzających.

Tego wieczora długo nie mogłem zasnąć, oddychałem z wysiłkiem. Słyszałem, że córka również miała ataki suchego kaszlu. Uczulenie na pyłek kwiatowy — rozwiązanie, uspokoiło mnie, lecz sen nadal nie przychodził. Nasz pies wył przeraźliwie, inne odpowiadały mu z bliższej i dalszej okolicy. Wreszcie zapadłem w niespokojną drzemkę. Widziałem całe stada szczurów maszerujące drogą, chmary ptaków odlatujące z piskiem, i ujadające na łańcuchach psy. W pewnym momencie wycie ustało i zapadłem w spokojniejszy sen. Nie przeczuwałem nawet, że wtedy właśnie nasz poczciwy pies zastygł w śmiertelnym skurczu na progu domu. A był to dopiero początek.

Na drugi dzień rano w podłym nastroju powlokłem się do szkoły. Słabą kondycję fizyczną po źle przespanej nocy pogarszały męczące ataki kaszlu. Nie zwracałem już nawet uwagi na jaskrawozieloną trawę i bladozielone niebo — czułem wciąż narastający niepokój. Coś działo się wokół, coś, co zagrażało nie tylko zwierzętom — byłem o tym przekonany.

Na zajęcia zgłosiło się zaledwie kilkoro dzieci, a i te wciąż pochylały blade, zmęczone twarze w napadach uporczywego kaszlu. Odwołałem lekcje i wróciłem do domu, gdzie już oczekiwał mnie doktor Hart. Widać było, że ma coś ważnego do powiedzenia, więc udaliśmy się od razu do gabinetu na górze.

— Niech pan posłucha, Glenn — stary lekarz nie ukrywał zdenerwowania — mamy w naszej okolicy początki jakiejś poważnej epidemii. Objawy choroby są niezwykłe i prawie wszyscy odczuwają je podobnie, pan również — poczekał, aż przejdzie mi nagły atak kaszlu. — Nie wiem, czy dotarły już do pana ostatnie wieści — zawiesił na chwilę głos — w osiedlu padły niemal wszystkie psy, a teraz przyszła kolej na bydło.

— Co na to szpital w mieście?

— Nic — odparł — są zaskoczeni w równym stopniu jak my. Ale nie przyszedłem do pana na plotki. Chciałem przedyskutować pewne dane. Otóż — kontynuował po krótkiej przerwie — prowadzę, jak panu wiadomo, pewne badania w zakresie żywienia. W efekcie, z laboratoryjno-technicznego punktu widzenia, sprowadza się to do podawania odpowiednio spreparowanych pokarmów kontrolnym grupom szczurów. Nie wdając się w zbędne szczegóły, sprawa wygląda tak: zwierzęta żywione świeżym pokarmem roślinnym chorują już od około dziesięciu dni, podczas gdy podawanie karmy konserwowanej nie wywoływało żadnych ubocznych efektów. Na początku sądziłem, że to jakaś przypadkowa infekcja, ale zapadało na nią sto procent szczurów karmionych różnymi rodzajami świeżych odżywek! Oto objawy, w kolejności występowania: wzmożony niepokój, zanik pewnych wyuczonych odruchów, podrażnienie dróg oddechowych, następnie rodzaj odurzenia, coś na kształt stanu narkotycznego, cofającego się i powracającego w coraz silniejszych atakach, a w końcu rozprzężenie funkcji centralnego układu nerwowego, zwłaszcza mózgu i rdzenia. Jako biolog wie pan, co to oznacza. Wie pan również, że szczury i ludzie reagują podobnie.

— To nie jest lokalna infekcja — przerwałem lekarzowi. Dziś rano miałem telefon od ludzi zamieszkałych na przeciwległym krańcu kontynentu — u nich jest to samo. To samo i w tym samym czasie — czyli epidemia raczej wykluczona.

— W każdym razie czynnik przenoszony jest przez rośliny, i to od niedawna — podjął Hart.

— Albo też składniki roślinne pobudzają coś innego, są aktywatorem lub pożywką.

— Więc co jest przyczyną — pytanie zadane zostało bezosobowo, nie tylko bowiem my dwaj, ale nikt nie znał na nie odpowiedzi.

Odprowadziłem doktora aż do furtki alejką wśród wysokich malw. Ich długie łodygi kołysały się w ostrych porywach wiatru i zdawały się wychylać w naszym kierunku. Chmury żółtego kurzu z poboczy drogi rozwiewały się w zielonkawym powietrzu wysoko ponad dachami domów, wśród wierzchołków smukłych topoli.

Hart wcisnął mi do ręki fiolkę. — Barbiturany — starał się przekrzyczeć wicher i własny kaszel. — To trochę łagodzi ataki.

Walcząc z zawieją znikł w chmurze pyłu, usiłując utrzymać na miejscu kapelusz i rozwiane poły płaszcza.

— Tato, szybko! — piskliwy, świdrujący w uszach głosik niósł się od ganku. Mała dziewczynka biegła alejką wysypaną różową kruszoną cegłą. Jej białe włosy powiewały na wietrze, a zielone oczy wyrażały podniecenie. — Chodź do domu! Komunikat!

Żona siedziała przy radiu, a z głośnika płynął nabrzmiały powagą głos spikera.

„...zachować szczególną ostrożność. Świeżą żywność należy poddać gotowaniu w ciągu pięciu godzin, co spowoduje obniżenie zawartości szkodliwych substancji do dziesięciu procent stężenia wyjściowego. Należy unikać przebywania w pobliżu większych skupisk roślin, jak lasy i łąki, ponieważ czynniki aktywne są lotne. Prosimy o zachowanie spokoju, lekarstwa i żywność będą dostarczane w miarę możliwości. Następny komunikat nadamy za pół godziny".

Patrzyliśmy na siebie. Oczy żony były teraz szaroniebieskie, włosy popielate z przeświecającym jakby od wewnątrz sinym odcieniem fioletu. Wziąłem ją w ramiona — była znów jak dawniej, taka mała i bezbronna, i pełna spokojnego, lecz niecierpliwego ciepła.

— Jaka szkoda — mówiła mi w ramię, a jej głos wyrażał bezmiar smutku. — Jaka szkoda.

Gładziłem ją po zmierzwionych, niedawno jeszcze kruczoczarnych włosach i czułem żelazny uścisk na krtani. Widziałem te wszystkie zmarnowane lata, bezcenny czas rozmieniony na drobne, kiedy to pod ogłupiającą narkozą codzienności, wygrywając swoje drobne sprawy bez znaczenia, straciliśmy z oczu siebie nawzajem. Pozwoliliśmy wyschnąć życiodajnemu strumieniowi — komunikacji i zrozumieniu. Pojęliśmy to zbyt późno.

Tej nocy miałem pierwszy atak. Po odurzeniu, podobnym do upojenia alkoholowego, przyszły omamy i halucynacje. Niebo zdawało się rozpadać, a na ziemię lały się kaskady barwnych ogni, żar i przejmujący chłód na przemian. Pod koniec czułem, jak moje ciało sztywnieje w strasznych skurczach, jednakże były to tortury niemal bezbolesne. Chwilami zdawało mi się, że dusza wyszła z ciała i z zewnątrz przygląda się jego mękom.

Nad ranem, zbity i zmaltretowany, powlokłem się na dół. Po nocy pozostał mi lekki paraliż lewej połowy twarzy. Czułem, że nie jestem już taki sam, jak wczoraj. Coś we mnie pękło, puściła jakaś synchronizacja zmysłów i rozumu. Pojmowałem jeszcze na tyle, aby to stwierdzić. Ale co będzie następnym razem?

Otworzyłem jakąś puszkę i właśnie zabierałem się do jedzenia, gdy coś ciężko uderzyło w drzwi wejściowe. „Może to jeszcze jedno przywidzenie?" — pomyślałem. Spojrzałem jednak w głąb hallu i puszka wypadła mi z rąk. W małym, wysoko umieszczonym okienku w drzwiach frontowych ukazał się przez moment ciemny, kudłaty łeb i wyłupiaste ślepia, po czym powtórnie rozległo się głuche uderzenie. Zimny dreszcz połaskotał mnie po karku i spłynął na plecy. Za drzwiami zaległa cisza, pełna napiętego wyczekiwania. „Tak, to wszystko zwidy" — uśmiechnąłem się krzywo do kredowobladej twarzy o wodnistych, bezbarwnych oczach w lustrze naprzeciwko. Z nagłą determinacją przebiegłem hall i jednym szarpnięciem rozwarłem drzwi na oścież. Na progu leżała nienaturalnie wygięta do tyłu w śmiertelnym skurczu — sarna!

Wyszedłem białą alejką wśród białych malw w biały kurz drogi. Zataczałem się szeroko i potykałem raz po raz o nieistniejące przeszkody. W swoim wnętrzu byłem zimny jak wygaszony piec. Nie chciało mi się niczego, zewnętrzna pijacka beztroska nie zawierała nawet nikłego cienia smutku.

Po różowym niebie pełzały jakieś barwne kręgi czy obręcze, ale nie zwracałem na nie żadnej uwagi. Szedłem na chybił-trafił, byle stawiać kroki, nie patrząc ani wokół, ani na siebie. Iść, za wszelką cenę iść, posuwać się naprzód, niosąc donikąd wewnętrzną pustkę. Czy dawniej też bywało podobnie? Umazany białym kurzem, na wpół zaślepiony, wśród przemykających drogą w szaleńczym galopie saren (tak, nasze lasy pełne były zwierzyny), kierowałem się do domu doktora Harta.

Przed gankiem falował ogród, choć wiatr ledwie muskał wierzchołki drzew, drzew tańczących po różowym nieboskłonie i obwieszonych mięsistymi liśćmi o cielistej barwie. Dom zdawał się również poruszać — raz wyginał się, pęczniał, aby za moment raptownie się zapaść, jakby wyssano z niego zawartość. Gdy wchodziłem przez marmurową furtkę z polerowanej kredy zdałem sobie sprawę, że złudzenie ruchu dają przebiegające przez przestrzeń refleksy, lub raczej ciągłe zmiany barw w jakimś obłędnym kontinuum rozciągających się świateł. Sądziłem, że to wszystko jest we mnie, w moim wnętrzu, ale to i tak nie miało znaczenia.

U Harta było już kilka osób. Ich stan, podobny do mojego lub nawet gorszy, nie zrobił na mnie żadnego wrażenia. Chyba było mi dobrze — świat wokół falował, wybrzuszał się i kurczył, ale to wszystko działo się gdzieś obok, nie dotyczyło przecież mojej osoby. Jakiś grubas pod oknem (chyba go znałem) prowadził bełkotliwy monolog:

— Wyrzucę z domu wszystkie kwiatki! Co do jednego. A w ogóle to przechodzę wyłącznie na mięso. Tym sposobem uchronię się przed może przyjemnymi, lecz mało zabawnymi przypadłościami.

— Moi drodzy! — Hart upił nieco białego płynu z wysokiej szklanki. — Sądzę, że to wszystko niedługo skończy się — mówił z trudem. „Dobrze zalany" pomyślałem nie bez złośliwej uciechy.

— Wiedziałem — twarz grubasa rozpromienił uśmiech.

— Nie wiem tylko, czy prędzej zginiemy, czy dostaniemy kompletnego fioła. Jedynym pocieszeniem jest fakt, że będzie to „zejście w stanie upojenia" — zaśmiał się chrapliwie. — Cokolwiek lub ktokolwiek zmusza nas do tego kroku, robi to w sposób humanitarny, czyli wczuwa się w człowieka!

„To wszystko pasuje do scenerii" — pomyślałem.

— Ale bądźmy przez chwilę poważni — Hart wstał — dopóki jeszcze się da. Oczywiście, może zdarzy się jakiś nieprzewidziany wypadek, zajdzie coś, co uratuje nas z opresji. Na przykład spłynie z niebios na spadochronie serum przeciwko temu świństwu. Źródłem wielu sukcesów człowieka był właśnie brak wiary w klęskę. Ale, wracając do meritum sprawy: to coś jest w roślinach. Prawdę mówiąc dziwię się, że tak późno powstało. Choć rośliny to stwory powolne, mówię wam, moi drodzy — powiódł czerwonymi oczyma po zebranych — to powinno już dawno nastąpić! Krowie wyrósł ogon, żeby mogła odganiać się od much, kameleon przybiera barwę otoczenia, osa ma żądło do obrony, antylopa długie nogi — a co ma drzewo?! Kolce to zbyt słaba obrona, aby nie można go było oskubać, posypać, zatruć i wyciąć! Do licha!!! Ewolucja jest zbyt mądra na taką tolerancję!

Stary doktor zmęczył się i usiadł, ciężko dysząc. Lecz po chwili ciągnął dalej, już nieco słabszym głosem:

— Nie oznacza to zagłady świata zwierzęcego, nie sądzę, aby tak było. Z każdego kataklizmu coś zawsze przetrwa. Może to już będzie co innego, kto wie. W każdym razie — podniósł głos — głupie rośliny są, jak widać, najważniejsze na Ziemi! A w każdym razie najsilniejsze — zamruczał na koniec.

Wyszedłem. Hart powiedział wystarczająco wiele. Posuwałem się nie widząc stalowo-różowego zmierzchu i popielatego pyłu pod stopami. Powoli zaczynałem trzeźwieć — kontury domów, płotów i drzew wyostrzyły się, czułem, że zbliżał się następny atak.

Pod czaszką kłębił mi się wir myśli. Dlaczego tak nagle? I wszędzie jednocześnie? Naraz przystanąłem. Przypomniałem sobie ostatnią lekcję biologii — mówiłem dzieciom o chorobie. Człowiek nosi w sobie praktycznie wszystkie groźne zarazki lub prawie wszystkie. Dopiero gdy jeden ze szczepów znajdzie się w korzystnych warunkach rozwojowych i uaktywni się, atakuje organizm i to jest początek choroby. Wtedy przystępują do akcji przeciwciała lub... człowiek zażywa lekarstwo! Właśnie, zażywa lekarstwo, działające natychmiast, w całym organizmie! Myśl była zbyt absurdalna, aby mogła być prawdziwa. Czyżby ta ponura katastrofa, w której najwyraźniej brałem udział, była efektem świadomie zaaplikowanej kuracji, mającej na celu pozbycie się uciążliwych i niebezpiecznych pasożytów? Nie, lepiej pozostać przy wersji ewolucyjnego przystosowania, zresztą znajomość prawdy nie jest nam już do niczego potrzebna.

Byłem w swoim domu. Czułem zamęt w głowie, gdy barwne kręgi poczęły rozdzierać pokój. Zbliżał się atak. A za oknem szumiał odwieczny bór, taki sam, który kiedyś oglądał narodziny człowieka.

Nieznane

JULIAN CIESONIK

Informacja wyglądała na typowo primaaprilisową — 13-letnia Joasia Gajewska z Sosnowca potrafi samą swoją obecnością powodować przemieszczanie się mebli i szklanych naczyń. Wiadomość poszła w świat budząc zrozumiałą sensację, ale i niedowierzanie.

— *Z milicji otrzymaliśmy telefon* — mówi wiceprezydent Sosnowca, Józef Stankiewicz — *że w jednym z domów przy ulicy Plonów dzieje się coś niezwykłego, co prawdopodobnie spowodowane jest szkodami górniczymi. Wysłałem więc architekta miejskiego, pana Fulbiszewskiego, żeby sprawdził stan techniczny budynku.*

— *Dzielnicowy, który pisał meldunek o tym co się dzieje w mieszkaniu państwa Gajewskich* — mówi Lech Fulbiszewski — *okazał się rozsądnym człowiekiem. Nie mógł przecież napisać, że meble w tajemniczy sposób wędrują po mieszkaniu, a szklanki same rozbijają się o ścianę. Co innego szkody górnicze, które w tym regionie nie są niczym niezwykłym. To, co zobaczyłem, nie było oczywiście spowodowane zadnymi ruchami ziemi, budunek był w dobrym stanie, na murach nie było żadnych pęknięć, tylko tłum zgromadzony na zewnątrz wskazywał, że zdarzyło się tu coś niezwykłego. Nie były to zresztą fruwające naczynia jak sugerował reportaż w telewizji, w czasie mojej pierwszej wizyty u państwa Gajewskich nie można było zauważyć, że coś porusza się w powietrzu. Naczynia nie latały, one się jakby materiałizowały, dopiero na ścianie pękając z hukiem, tak jakby następowało jakieś wyładowanie. Później widziałem jak kawałki szkła kaleczyły Joasię i wtedy również nie dało się zaobserwować ich lotu. Po prostu rozmawiałem z nią tak, jak z panem teraz rozmawiam i nagle widzę, że na jej policzku pojawił się drobny okruch szkła. Ci ludzie naprawdę mieli się czego obawiać i nie był to tylko strach przed nieznanym zjawiskiem. Przez jakiś czas nie jedli nic ciepłego, można sobie wyobrazić czym w takich warunkach mogłoby się skończyć gotowanie. A w prasie po fali sensacyjnych wiadomości pojawiły się opinie, że oni chcieli w ten sposób wyłudzić nowe mieszkanie. Jest to oczywista bzdura — przecież nawet finansowo nie byli przygotowani na przeprowadzkę, niedawno zakończyli remont, na który wydali sto tysięcy, założyli boazerię, dobudowali łazienkę, a w krótkim czasie po tych wydatkach mieli poniszczone prawie wszystkie meble i sprzęty domowe. No, ale wiadomo, ludzie różnie reagują na niezwykłe zjawiska. Najpierw kiedy tam dotarłem zobaczyłem wielu ciekawskich, niektórzy chcieli nawet kupować kawałki tych potłuczonych naczyń. Po fali ciekawości przyszła izolacja. Państwo Gajewscy bali się już mieszkać u siebie, a nikt za bardzo nie chciał ich przenocować. Jeszcze później przyszła wrogość, pojawiły się okrzyki „Ty czarownico". Ja sam wysłuchałem wtedy opowieści o tym jak to komuś w pobliżu nagle zdechł pies...*

Minęło już piętnaście minut, jakie pan Fulbiszewski początkowo przeznaczył na tę rozmowę. To, co niedawno przeżył, emocjonuje go nadal na tyle, że zdecydował się odłożyć sprawy, jakie miał do załatwienia i kontynuował:

— *Mnie to wydarzenie przekonało, że warto zajmować się badaniem terenów przeznaczonych pod zabudowę, ustalać czy nie występują tam zjawiska mogące wpływać na człowieka. Wprawdzie niewiele dotąd o nich wiemy, ale to co wiemy możemy już praktycznie wykorzystać. Przecież już w latach siedemdziesiątych korzystano z pomocy różdżkarzy przy budowie studni głębinowych na Saharze. Dlaczego nie wykorzystać zdolności radiestetów przy lokalizowaniu domów, w których będą mieszkać nasze dzieci? Wprawdzie przypadek z ulicy Plonów nie jest związany z przebiegającą tam żyłą wodną, tylko ze zdolnościami Joasi, ale jak słyszałem, w tym domu nadal czasami coś jeszcze stuka, chociaż państwo Gajewscy już tam nie mieszkają, a niektórzy z lokatorów tego domu nadal nie bardzo są przekonani, że to nie duchy.*

— *No bo niech sam pan powie co można było pomyśleć jak dookoła wszystko samo lata* — opowiada na miejscu wydarzeń jeden z mieszkańców dziwnego domu dawny sąsiad państwa Gajewskich — *i nie wiadomo dlaczego. Człowiek myślał, że duchy. Jeszcze teraz w nocy słychać czasami po podłodze takie „stuk, stuk" jakby ktoś przechodził. Więc biorę latarkę, bo śpię już z latarką, świecę, a tam nic nie ma. A u sąsiadki nieraz meble trzeszczą.*

— *Przecież teraz już wiadomo* — śmieje się pan Andrzej Gajewski, ojciec Joasi — *tu jest nasilenie cieku wodnego, a pod oknem idzie kabel, sześć tysięcy wolt.*

Rozmawiamy na parterze przedwojennego piętrowego domu, z czerwonej cegły, w dawnym mieszkaniu państwa Gajewskich. Na podłodze nadal wala się mnóstwo porozbijanego szkła, na ścianach widać ślady zniszczenia. Siedzę na jakimś ocalałym, zakurzonym taboreciku nakrytym przez pana Gajewskiego gazetą, on sam usadowił się na odwróconym wiadrze. Sąsiad stoi w pobliżu drzwi, ale wygląda na to, że przebywanie w tym pomieszczeniu nie sprawia mu szczególnej przyjemności.

— *Kiedy się to zaczęło* — mówi pan Gajewski — *byłem w pracy. Wtedy też odebrałem telefon żebym przyjeżdżał, bo w domu dzieje się coś nienormalnego — chyba duchy. Trudno się zresztą dziwić. Nikt nie wiedział co się dzieje, wszyscy byli przestraszeni. Bardzo wtedy potrzebowaliśmy, żeby ktoś nam wyjaśnił co to jest. Właściwie pierwszy rozsądny głos, jaki usłyszałem to było wyjaśnienie księdza z tej parafii. To był taki młody ksiądz, najpierw wyświęcał nam mieszkanie, a potem przyszedł tu odprawić mszę. On właśnie powiedział nam, że bywały już takie zdarzenia, i żebyśmy duchów się nie bali, bo to raczej jednak co innego, jakieś zjawisko, którego na razie nie można całkowicie wyjaśnić.*

Ksiądz Smak rzeczywiście wygląda bardzo młodo, chociaż swe powołanie wypełnia już od dziesięciu lat. Wyjaśnia dlaczego tego dnia nie czuje się przygotowany do udzielania szerszych wypowiedzi dla prasy, chociaż może oczywiście opowiedzieć o swoich wizytach u państwa Gajewskich, ale wolałby żeby tego nie publikować. Wspomina też o niektórych artykułach, gdzie nawiązano do jego osoby i o sposobach układania tytułów relacji prasowych.

W nowym mieszkaniu państwa Gajewskich od tygodnia nie dzieje się już nic niezwykłego, choć na ścianach w małym pokoju widać ślady uderzeń, podobne jak na jednym z dawnych mebli, który w tej chwili nadaje się jeszcze od biedy do użytku.

— *A tamte duże dziury wyżej* — pani Ewa Gajewska pokazuje na ścianę — *to już całkiem naturalne, po prostu poodpadało, chociaż to jest zupełnie nowy blok. Na razie nie mamy nawet sąsiadów przez ścianę, może zresztą i dobrze, bo jakby i tu zaczęło tak walić jak poprzednio, to nie wiem jak byśmy to im wytłumaczyli. Chyba trzeba by mówić, że mieliśmy w domu awanturę. Tutaj ludzie już nas poznają, ale to nie są żadni znajomi, więc na razie jeszcze nie podchodzą i o nic nie pytają. Kiedy pojawiam się w sklepie, to zdarza się, że zaczynają się jakieś szepty i wtedy wychodzę, bo to naprawdę nie należy do przyjemności. Niedawno szłam na ulicy z koleżanką, a jakiś całkiem nieznajomy człowiek podchodzi i pyta: „Co, dalej u was te szklanki latają?" Nie wiedziałam co zrobić, na szczęście koleżanka powiedziała: „Pan się chyba pomylił", pociągnęła mnie za sobą i odeszłyśmy. Innym razem przechodził koło mnie taki mały łebek i jakby nigdy nic zaczął sobie podśpiewywać: „Szklanki, talerze, latają, fruwają".*

Wracamy do dużego pokoju, pani Gajewska prosi Joasię, żeby ściszyła telewizor i tłumaczy dlaczego nie można go całkiem wyłączyć.

— *Kineskop mu wysiada* — wyjaśnia — *i jak chcemy w sobotę pooglądać wieczorem program, to najpierw musi się parę godzin pogrzać, żeby potem coś było widać. Nowego nie kupimy, bo już teraz jesteśmy zadłużeni na kilkadziesiąt tysięcy. Kiedy się przeprowadzaliśmy, to prawie wszystko mieliśmy poniszczone, a przecież chcieliśmy mieć coś w domu, żyć normalnie tak jak inni ludzie. Z przedwojennych kryształów tylko to zostało* — pokazuje niewielki wazonik z obtłuczonym uchem, który stoi sobie samotnie jako jedyne szkło ozdobne na regale meblościanki. Jest też druga ozdoba — ustawiony na sąsiedniej półce widelec, który Joasia wygięła pocierając go palcami.

— *To jest właśnie nasz „kryształ"* — pan Gajewski wskazuje na widelec, przynosi też podobnie wygiętą stalową łyżkę i proponuje żebym spróbował wyprostować ją w palcach.

— *Teraz już możemy żartować* — mówi pani Gajewska — *ale na początku panicznie się bałam. W pierwszą noc jak się to zaczęło uciekłam z mieszkania, zaczęłam walić w drzwi do sąsiadów. Ktoś wtedy powiedział: „Pochlali się czy co?". Najpierw brali nas za nienormalnych, a potem ludzie zaczęli się nas bać. Starsi to chyba jeszcze do tej pory myślą, że tam był zły duch. Dla mnie to były straszne przeżycia, jak poszłam wreszcie do pracy to się koleżanki mnie wystraszyły, tak wyglądałam. Długo jechałam tylko na środkach uspokajających, ale jak można było inaczej, niech pan sobie wyobrazi, ogromne zbiegowisko, ludzie się drą, my w środku zamknięci w mieszkaniu, gdzie wszystko było dokładnie rozwalone. Spaliśmy w ubraniach, żeby móc uciekać jak znowu coś się zacznie. Później nocowaliśmy już poza domem, czasami tylko wpadaliśmy, żeby wziąć trochę czystej bielizny. Raz mąż pożyczył samochód i pojechał po jakieś czyste rzeczy, żeby było co na siebie włożyć. Wie pan jak później napisali o tym w jednej z tutejszych gazet? Że pewny siebie podjechał samochodem, „z gestem", czy jakoś podobnie to określili, już nie pamiętam, wyrzuciłam tę gazetę.*

„Z fasonem", tak tam było napisane — przypomina sobie Joasia.

— *Chyba tak* — potwierdza pani Gajewska. — *Po prostu nas wykpiono. Kiedy to przeczytałam, to się rozpłakałam. Jak mogliśmy być wtedy pewni siebie? Mąż miał na nogach klapki, bo innych butów nie zdążył zabrać, uciekając z mieszkania, a samochód zatrzymał nie przed domem, bo skąd mógł wiedzieć jak zareaguje ten tłum, kiedy któreś z nas się pojawi.*

Słucham opowiadania pani Gajewskiej o lokalnej gazecie. Ci ludzie mają prawo nie darzyć sympatią nieproszonych gości z prasy. Tymczasem piję już trzecią herbatę, a pani domu proponuje sałatkę „...*bo pan pewnie po podróży głodny*".

Joasia idzie na balkon po Kasię — młodą, poturbowaną kawkę, którą poprzedniego dnia przyniosła do domu. Na chwilę uwaga całej rodziny skupia się na ptaku, pan Gajewski poi go wodą metodą „usta-dziób", „*Jędrek, tylko jej nie uduś!*" — niepokoi się pani Gajewska, a Joasia biega po pokoju i goni muchę na przekąskę dla Kasi. Koło fotela siedzi pies, trzeci wychowanek Joasi — chomik kryje się gdzieś po kątach. Wszystko wygląda tak zwyczajnie, że trudno uwierzyć, iż oglądam ludzi posądzanych o czary.

Chcę sprawdzić wszystko do końca i proszę o eksperyment na sobie. Joasia unosi dłonie nad moimi wyciągniętymi rękami. Nie dzieje się nic niezwykłego. Państwo Gajewscy uśmiechają się, wyglądają na całkowicie pewnych wyniku próby.

— *No i co?* — pyta pan Gajewski. Na razie nic. Teraz mam poruszać lekko dłońmi. Drobne ukłucia nasilają się, w końcach palców czuję jakby łagodny prąd.

— *Bardziej w prawej ręce?* — pyta Joasia. Zgadza się. Nie jestem pierwszym testowanym w ten sposób. Reakcje podobno są różne: swoisty „bezwład" rąk, ukłucia, uczucie przepływającego prądu.

Zdaniem niektórych wszystko to jest zmyślone, rzekomo w celu wyłudzenia mieszkania.

— *Spotkałam się już z taką opinią* — mówi pani Gajewska — *nie tylko w prasie. Jedna pani w urzędzie powiedziała mi wprost: „Wyłudziliście mieszkanie, a teraz chcielibyście jeszcze telefon". Widzi pan, telefon to nie żadna nasza zachcianka, tylko po prostu myślę co by było, gdyby Joasia zemdlała, tak jak się to już zdarzało. Lekarze wtedy nie mogli pomóc, potrzebny był kontakt z radiestetką, panią Chudykową. Pani Chudykowa przyjeżdża do nas na każde zawołanie, ale jakby, odpukać, coś się zdarzyło, to przecież muszę ją jakoś powiadomić.*

— *Mają nam też za złe, że chcemy dostać zwrot kosztów remontu dawnego mieszkania. Przecież tam poprzednio nie było nawet odpływu. Teraz, widział pan, jest tam łazienka, którą urządziliśmy za własne pieniądze, jest boazeria. Wszystko tam zostało i będzie służyć następnym lokatorom, a my mamy kilkadziesiąt tysięcy długów. Specjaliści radzą, żeby Joasia nosiła tylko bawełniane ubrania bo mniej elektryzują, doradzają żeby zdjąć wykładzinę i założyć parkiet. No dobrze, ale za co?*

— *Jedni posądzają nas o wyłudzenie* — opowiada dalej — *inni o czary. Z jakiejś sekty dostałam list z dobrą radą — jeżeli mamy w mieszkaniu czarodziejskie księgi, to trzeba je wynieść przed dom i spalić. Samego listu nie wolno było nawet wyrzucić, bo podobno też był czarodziejski.*

— *Zaklęty* — podpowiada Joasia.

— *O właśnie, zaklęty, była tam jeszcze kartka z Biblii* — przypomina sobie pani Gajewska. — *Proszę pana, tego nie pisało dziecko, tam były trzy podpisy, a z charakteru pisma można było poznać, że przynajmniej dwie z tych osób były dorosłe.*

— *Dzieci w szkole* — dodaje pan Gajewski — *zachowały się bardziej na poziomie niż wielu dorosłych. Nauczycielki wyjaśniły co trzeba i nie było żadnych niepotrzebnych sensacji, kiedy Joasia wróciła do szkoły, nadal ma swoje koleżanki. Wszyscy rozumieją, że gdy jest burza, to córka nie może przyjść tego dnia na zajęcia.*

— *Kiedy pani przylepiła się do pleców kartka* — opowiada Joasia. — *Ta kartka leżała przedtem koło mnie. Pani zapytała tylko czy to jest głupi kawał, czy po prostu czyjaś sprawka i nic więcej nie mówiła.*

— *Wielu ludzi nam pomagało* — mówi pani Gajewska. — *Kiedy wróciłam do pracy koleżanka powiedziała: „Kupiłam ci parę szklanek, bo podobno trochę ci się wytłukło". Dokładnie to nie było kilka, a dwanaście szklanek.*

— *Mój kolega* — dodaje pan Gajewski — *powiedział mniej więcej to samo: „Kupiłem ci parę naczyń". Potem patrzę, a te parę naczyń to cały serwis do kawy.*

Państwo Gajewscy otwierają szafkę w meblościance i pokazują serwis. Na razie wolą go jeszcze nie wystawiać, bo a nuż...

— *Właściwie jak teraz nic się już od tygodnia nie dzieje to nawet trochę tego brakuje* — żartuje pan Gajewski.

Oboje z żoną mogą się już uśmiechać, kiedy wspominają jak to rzodkiewki wylatywały z kuchni i w żaden sposób nie można ich było zapędzić z powrotem, bo stale wracały i trzeba je było zjadać dopóki nie trafiła się sparciała.

Nie zapominają jednak i o tym jak wzywali do Joasi pogotowie, a lekarz, który przyjechał zapytał tylko czy ktoś w tej rodzinie leczył się już psychiatrycznie, po czym pogotowie odjechało nie udzielając pomocy nieprzytomnej dziewczynce. ■

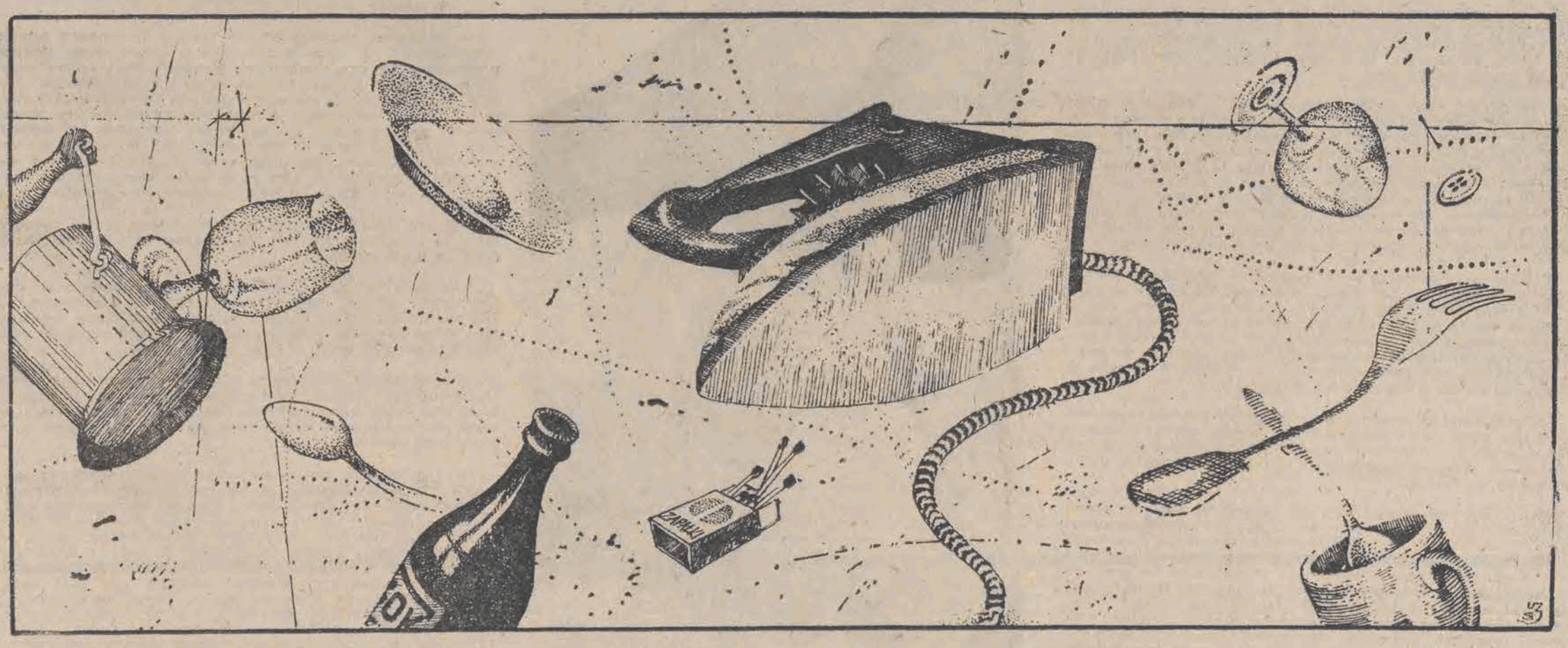

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Żółty kubek

EUGENIUSZ ŁASKI

To mogło przebiegać tak:
— Dokąd to?
— Do przyjaciół na jedenaste piętro.
— Nie wolno.
— Przecież jest dzień, a w dzień można składać wizy-

— Owszem, ale ty nie wejdziesz.

— Mogę zostawić dowód w recepcji...

— Powiedziałem, że nie, to nie.

— Nic nie rozumiem.

— Kochana, wejście do hotelu takiego jak „Centrum", kosztuje. Teraz kapujesz?

Dziewczyna szpera w torebce, wyjmuje 100 złotych.

— No, no, mała — mówi portier z oburzeniem. — Wejście na górę kosztuje 500 złociszy.

— Ale ja pierwszy raz...

— To tysiąc!

Młoda prostytutka, która po raz pierwszy idzie do gościa na górę, nie wie, że od lat, właściwie od samego początku istnienia hotelu „Centrum" działa tu zorganizowana grupa złożona z recepcjonistek i portierów, która pobiera haracz od kobiet lekkiego prowadzenia się. W kasie recepcyjnej ustawiono żółty kubeczek, do którego wrzucano uzyskane w ten sposób pieniądze. Po zakończonym dyżurze zmiana udająca się do domów uczciwie dzieliła się gotówką.

Metoda, wydawało się, jest prosta, a tym samym nie do wykrycia. Przecież prostytutka, chcąc żyć, musi uprawiać swój zawód. Najlepiej opłaca się to robić w hotelach: ciepło, wygodnie i pełno cudzoziemców. I przecież żadna z nich nie będzie na tyle głupia, żeby poskarżyć się milicji, że daje łapówkę portierom czy recepcjonistkom.

Zła sława hotelu „Centrum" rozpoczęła się niemal w dniu oddania go do użytku, czyli 18 lipca 1976 r. Oczywiście, sposobu zarabiania na prostytutkach nie wymyślono owego uroczystego dnia. W Łodzi były przecież już i „Grand", i „Światowid", i „Savoy". Był więc wzorzec i doświadczenie. Mimo że w „Centrum" są zatrudnione 64 osoby, niepodzielna władza spoczywała w rękach portierów i recepcjonistek. Od nich zależało czy otrzyma się miejsce w hotelu (mimo że były wolne miejsca), oni mogli dać klucze osobom nie zameldowanym, mogli w nocy wpuścić do pokoju gościa kobiety trudniące się nierządem, mogli tym ostatnim wynająć pokój na kilka dni i nikt o tym nie wiedział, nie było śladu w księgach rachunkowych. Nieskomplikowana machina działała precyzyjnie i bez zarzutu. Pieniądze dzień w dzień spływały do żółtego kubka: początkowo były to tysiące, potem już setki tysięcy, miliony.

Początkowo, zaraz po otwarciu hotelu, stawki były nieco mniejsze, takie jak w „Grandzie" czy „Światowidzie": 200, 300 lub 500 zł. Później stanęło na pięciuset, choć nierzadko żądano tysiąca. Z reguły przybywający do hotelu gość pytał o pokój. Oczywiście wszystko było akurat zajęte. Wówczas przybysz wkładał do dowodu osobistego odpowiedni banknot i dowód wręczał recepcjoniście. Ta szybko wypisywała rachunek, dawała klucz i z miłym uśmiechem życzyła dobrej nocy. Kwit w większości przypadków był natychmiast anulowany, a pieniądze wędrowały do kubeczka.

Jeśli zjawiał się cudzoziemiec sprawa była jeszcze prostsza: musiał płacić za nocleg w dewizach. Recepcjonistka natychmiast dokonywała magicznego zabiegu i do państwowej kasy szły nasze złotówki, natomiast dolary, marki czy funty wędrowały do kieszeni uśmiechniętej uroczo pani pochylonej nad księgą meldunkową.

Z raportu milicyjnego:

„Kasjerki recepcji hotelu „Centrum" podlegającego przedsiębiorstwu Turystycznemu „Łódź", dokonują zagarnięcia pieniędzy na szkodę wyżej wymienionego przedsiębiorstwa w ten sposób, iż anulują zapłacone już przez gości hotelowych rachunki gotówkowe, w zestawieniach dziennych tych rachunków wykazują je jako anulowane, a następnie, aby się rozliczyć zdają tylko kopie tych rachunków, albo ze względu na słaby system kontroli kopie rzekomo anulowanych rachunków niszczą. Ponadto, jeśli gość nie domaga się rachunku przy płaceniu, to rachunek nie jest w ogóle wystawiany".

W ten sposób z reguły 3—5 pokoi było każdej doby sprzedawane poza wszelką ewidencją finansową. Gdy cudzoziemiec przyprowadzał sobie dziewczynę, meldowano tylko jego, ale pieniądze brano za dwie osoby itp.

W 1981 roku Stacja Kontroli Gospodarczej z Przedsiębiorstwa Turystycznego „Łódź" dokonała kontroli hotelu „Centrum". Sporządzony protokół składa się z 197 stron, nie licząc tabel i zestawień. Ustalono także, że spora ilość osób mieszkała w hotelu, ale odjechała nie uiściwszy zapłaty. Po prostu w aktach finansowych nie było wzmianki, że zapłacili za swój pobyt. A byli to ludzie mieszkający nie tylko w różnych miejscach Polski, ale w Syrii, Libanie, Anglii, RFN, Algerii, Iraku, Holandii, USA, Francji, Bułgarii, Węgrzech i Kanadzie. Na wysłane do nich w tej sprawie pisma odpowiedzieli, że sumienia mają czyste, że zapłacili, niestety, nie zachowali rachunków bo i po co.

Był to sygnał ostrzegawczy. Zaraz w styczniu 1982 roku dokonano ponownej kontroli, tym razem bardziej skondensowanej, bo protokół zmieścił się na 62 stronach, ale nie pozostawiającej już ani cienia wątpliwości, że w tym przybytku, który miał być chlubą miasta, coś śmierdzi.

A smród był coraz bardziej dokuczliwy: cuchnęło w całym mieście, we wszystkich hotelach. W końcu sięgnięto po środki radykalne: w hotelu „Centrum" aresztowano wiele osób przed oblicze sprawiedliwości niektórych sprowadzono już z zasłużonej emerytury. W sumie akt oskarżenia objął 13 pracowników zarzucając im, że żądali i przyjęli od takich to a takich pań lekkiego prowadzenia się kwotę 2.764.540 zł oraz pewną sumę dolarów. Oczywiście nie wszyscy „zarobili" jednakowo. Niektórzy uskładali sobie prawie po czterysta tysięcy, inni po ćwierć miliona, a kilkoro nie osiągnęło nawet pięćdziesięciu tysięcy.

Nikt nie przyznał się do winy. Panienki — mówiono — kłamią, nigdy nie widzieliśmy ich na oczy, pracujemy ciężko, ale uczciwie i nie z nami takie numery. A żółty kubeczek? Owszem, stał w kasie, ale po to, że jeśli jakiś gość chciał zostawić nam napiwek za dobrą obsługę czy za miły uśmiech, to myśmy te marne grosze wrzucali właśnie do rzeczonego kubeczka, a potem, po pracy dzieliliśmy się jego zawartością równo i uczciwie. A w ogóle w naszym hotelu takie rzeczy są nie do pomyślenia.

Ani prokurator, ani sąd nie uwierzył w kryształowość i prawość ludzi siedzących na ławie oskarżonych. Zapadły wyroki skazujące. Jak należało się spodziewać, natychmiast zapowiedziano rewizję od nich. Czyli sprawa jeszcze jakiś czas będzie krążyła pomiędzy Warszawą a Łodzią.

Miałem możność oglądać akta tej sprawy: 13 grubych tomów naszpikowanych dokumentami, zeznaniami świadków, protokołami, wyjaśnieniami. Na przygotowaniem tej sprawy pracowało wielu bezimiennych dla publicznej opinii ludzi, funkcjonariuszy MO prokuratury, sądu. Przesłuchano 55 świadków (w tym aż 47 prostytutek), przygotowano ponad 80 dowodów. Mimo to gdy się czyta wyjaśnienia tej trzynastki, ma się chęć zawołać: Dlaczego dręczycie tych niewinnych ludzi o gołębich sercach, prawych i uczciwych! Oni nigdy nie skrzywdziliby muchy, a co dopiero ciężko pracującą prostytutkę! A te prawie trzy miliony złotych, o które się ich posądza, to jakieś nieporozumienie i tyle! Nie, żaden z oskarżonych nie wyjawił skruchy, nie przyznał się do winy, nie stwierdził, że błądził. Smutne to i żenujące.

Posłuchajmy więc zeznań świadków.

EWA I: (Z protokołu przesłuchania):

„Jak dobrze sobie przypominam, to od marca 1979 zaczęłam bywać dość często w hotelu „Centrum", „Światowid" i „Grand", z tym, że najczęściej bywałam w hotelu „Centrum", a w pozostałych przeze mnie wspomnianych o wiele mniej. Jeśli chciałam wejść z mężczyzną na górę, który miał wynajęty już wcześniej pokój, to musiałam portierowi zapłacić 500 zł, gdyż w takiej wysokości była ustalona stawka. Stawka 500 zł była stała i obojętnie czy na górę do pokoju szłam z Polakiem czy też z obcokrajowcem. Portierzy byli do tego stopnia bezczelni, że dziewczyny, które znali, to musiały im zapłacić za wejście na górę nawet przed godziną 22, do której to godziny zgodnie z regulaminem

można było odwiedzać gości hotelowych. Portierzy mieli przy windach postawiony stolik, przy którym siedzieli i jeśli nie podeszłam, nie dałam tych 500 złotych, to potrafili wejść do windy i żądać, a jak zdążyłam wejść na górę, to przyjechał na piętro lub czekał jak będę zjeżdżać z powrotem z góry. Zawsze na zmianie było dwóch portierów, z tym, że jednemu z nich wręczałam 500 złotych".

(Z oświadczenia pisemnego):

„Do hotelu „Centrum" przychodzą moje koleżanki Małolatka, Blondynka, Eliza, Czeska-Żydówka, Czarna, Baśka, Kaśka-Chuda, Elwira, która ma na imię Monika i wszystkie one portierom dawały po 500 zł, bo mi o tym mówiły..."

ELŻBIETA:

(Z protokołu przesłuchania):

„Jak jestem w hotelu „Centrum", to zawsze siedzę w kawiarni, później idę na górę. Od początku 1979 roku miałam w sumie kilka szlabanów czyli zakazów wstępu wejścia do barku i restauracji, dawał je kierownik restauracji Florek najdłużej na trzy miesiące zawsze, żeby on wznosił szlaban musiałam się mu wypłacić, na początku żądał 500 złotych i jakiś koniak, później musiałam mu więc dawać, nie pamiętam ile razy wypłacałam się...

Przypominam sobie, że pod koniec 1980 r. Florek dał mi szlaban na 3 miesiące. Poszłam do niego, aby mi wzniósł ten szlaban, dałam mu koniak za 5 dolarów i dwa tysiące złotych, bo powiedział, że to za mało, a ponadto kazał mi portierom z restauracji kupić po 1 butelce szampana w cenie po 900 złotych, kupiłam te szampany i dałam im, myślałam, że szlaban jest wzniesiony, ale on następnego dnia wyprosił mnie z restauracji, bo powiedział, że to było tylko za 1 dzień, wiem, że Florek prowadzi zeszyt szlabanów, bo widziałam go u niego, inne dziewczyny też miały szlabany....

...średnio na górę wchodziłam trzy razy w tygodniu, liczę tak dlatego, że w jednym tygodniu było to dwa razy, a w innym nawet 7—8 razy, gdyż czasem było tak, że jednego dnia wjeżdżałam nawet 3 razy i za każdym razem musiałam płacić 500 złotych portierom, przez te dwa i pół roku obliczam, że dałam portierom po 500 złotych 350 razy, a więc w sumie dałam im około 175.000 złotych".

EWA II:

(Z protokołu przesłuchania):

„Jeśli chodzi o hotel „Centrum", to w tym hotelu osobiście załatwiałam sobie pokój z recepcjonistką, której podając dowód włożyłam doń 1.000 złotych. Za te pieniądze został wynajęty mi pokój, lecz nie otrzymałam żadnego rachunku za wynajęcie pokoju. Z tą recepcjonistką załatwiałam chyba, jeśli dobrze pamiętam, trzy czy cztery razy i za każdym razem wkładałam po 1.000 złotych do dowodu, wtedy dopiero otrzymywałam pokój. Poza tymi trzema czy czterema przypadkami, kiedy osobiście załatwiałam pokój z recepcjonistką, o której wcześniej wspomniałam, to w pozostałych przypadkach załatwiałam pokoje przez portierów, którym również dawałam po 1.000 złotych za załatwienie pokoju. Również musiałam płacić portierom za wpuszczanie mnie z mężczyzną do pokoju na górze. Za każde wejście z mężczyzną na górę do pokoju to musiałam portierowi zapłacić 500 złotych".
(Ewa II obliczyła, że portierom w ciągu 5 lat dała około 400.000 zł haraczu).

MAŁGORZATA:

(Z oświadczenia pisemnego):

„Kiedy chciałam wejść do znajomych na górę zatrzymał mnie któryś z portierów i mówi, że nie wolno wchodzić na górę. Ja odpowiedziałam, że jest dzień, więc wolno, ale on mówił, że są kradzieże i dlatego nie wpuszcza. Mówiłam, że mogę zostawić dowód, ale on na to odpowiedział „Kochana, to kosztuje". Pierwszy raz nie wiedziałam, ile trzeba dać i wyjęłam 100 złotych. Odpowiedział, że to za mało i musiałam dać 1.000. Tak było pierwszym razem. W następnych razach musiałam dawać pięćset lub tysiąc złotych, w zależności od tego, który był portier. Wszyscy portierzy brali":

(Z protokołu przesłuchania):

„Początkowo chciałam mu dać 100 złotych, ale kiedy on zobaczył, że chcę mu dać tylko 100 złotych, powiedział od razu, że wejście kosztuje 1.000 złotych, a za 100 mogę sobie kupić mleka. Był bardzo arogancki w stosunku do mnie. Byłam tam wówczas pierwszy raz i pierwszy raz w ogóle w hotelu".

I tak jedna przez drugą opowiadają o haraczu, a załatwianiu pokoi, mimo że w recepcji wisi wywieszka informująca, że wolnych miejsc nie ma, mówią o arogancji i szykanach, o stosowaniu szlabanów i sposobach jego usunięcia. Z długiej listy 47 prostytutek działających na terenie hotelu „Centrum" wszystkie bez wyjątku dawały pieniądze portierom i recepcjonistkom. Właściwie ich zeznania są podobne, bowiem mechanizm puszczony w ruch w lipcu 1976 r. działał sprawnie i precyzyjnie, napełniając codziennie żółty kubek pieniędzmi. Tak było w jednym łódzkim hotelu, lecz zeznające prostytutki twierdzą, że tak jest w innych hotelach, tam także płaci się haracz, może nie tak wysoki, ale zawsze.

Dla czytającego niniejszy artykuł nasunie się zapewne pytanie, które zrodziło się także u dziennikarza: skoro panie lekkiego prowadzenia się mogły płacić tak wysokie sumy i to we wszystkich większych łódzkich hotelach (a jak niektóre twierdzą „pracują" także w innych miastach Polski) to ile te panie „zarabiają"? Trzynastu oskarżonych przyjęło od nich prawie trzy miliony złotych, niektóre z pań w ciągu trzech lub pięciu lat zapłaciły haracz sięgający nieraz do 400 tysięcy, więc ile zarobiły na czysto? Widocznie, mimo tak uciążliwych „warunków pracy" i tak się opłaciło wjeżdżać na górę do pokojów hotelowych. Ale tego, sądzę, nie jest w stanie obliczyć najdoskonalszy komputer.

Trzynastu oskarżonych nie przyznało się do winy, mimo iż fakty są przeciwko nim. Oto jak niektóre recepcjonistki tłumaczyły się przed sądem.

„Jeśli gość miał takie życzenie, iż za dobrą obsługę i miłe traktowanie go oraz uśmiech pozostawiał jakieś pieniądze, to szły one do kubeczka i później, na zakończenie pracy były dzielone równo pomiędzy wszystkie osoby w recepcji na danej zmianie... Kto postawił kubek w kasie tego nie wiem".

„...pragnę jeszcze zaznaczyć, że kiedy pracowałam jako kasjerka, recepcjonistka, klucznica, meldunkowa, to w recepcji w kasie na półce stał kubek koloru żółtego, ale kto go postawił tego nie wiem. Do kubka tego wkładaliśmy pieniądze pochodzące z napiwków od gości hotelowych...".

Jak wspomniałem, proces się odbył, zapadły wyroki, skazani złożyli odwołania. Zapewne doczekamy się podobnych procesów z innych hoteli. Zastanawia jedno: dlaczego ten precedens ujawniono tak późno? Przecież Przedsiębiorstwo Turystyczne „Łódź" posiada ekipę własnych kontrolerów, istnieje księgowość, są odpowiednie przepisy i obieg dokumentów. A przecież fałszowanie rachunków lub ich niewystawianie albo anulowanie służące do zagarnięcia państwowych pieniędzy powinny były dość szybko wzbudzić podejrzenie u kontrolujących. Chyba że kontroli nie było lub dokonywano jej pobieżnie.

Ciekawe, co wykażą kontrole w innych łódzkich hotelach?

1 Lewym okiem

Bez tytułu

Niedawno pewna recenzentka pisząc w „Tu i Teraz" o książce Marka Sadzewicza udzieliła mu kilku fachowych porad oraz wyraziła nadzieję, że po tym autorze można i należy oczekiwać książek lepszych niż wydane dotychczas. Marek Sadzewicz od kilku lat nie żyje.

W numerze tegoż „Tu i Teraz" z 18 maja inna recenzentka, pani Jolanta Niziołek, pisze o książce Antonje Isakovića „Ułamek sekundy" tak:

„Literatura serbska podobnie zresztą i jak pozostałe literatury Jugosławii, należy właśnie do tego kręgu kulturowego, który nie stanowi dla przeciętnego Polaka zupełnie białej plamy. (—) Natomiast literatura Jugosławii to prawdziwa tabula rasa dla statystycznego Polaka".

Wiemy więc z tej recenzji, że dla przeciętnego Polaka literatura Jugosławii nie stanowi białej plamy, ale dla statystycznego Polaka jest prawdziwą tabula rasa. Czyli nic nie wiemy, nawet tego, po co pisze się takie recenzje.

Marek Sadzewicz, którego zresztą osobiście nie znałem, uczestniczył w bitwie pod Kockiem w pierwszych dniach października 1939 roku. Napisał o tym w 1971 roku książeczkę pt. „Ostatnia bitwa kampanii 1939" a w niej na stronie 67: „Opuszczamy zgliszcza Kocka. Jako ostatni wyszedł z Kocka pluton porucznika Władysława Krzemińskiego". Było mi przykro i napisałem do autora, że na imię mi Włodzimierz; znów wrodzony pech spowodował, że zaszczytna przecież wzmianka dotyczy jak gdyby kogoś innego, nie mnie. Nie byłem wtedy porucznikiem, tylko podchorążym, ale to fakt, że z grupą kilkunastu żołnierzy i podoficerów osłanialiśmy odwrót naszych oddziałów z pierwszej linii i z samego dopalającego się miasteczka Miałem za sobą dwie doby nieustannej walki i kilometrowe czołganie się rowem torfowym, z przysypaniem i ogłuszeniem „po drodze" — od bardzo bliskiego wybuchu miny. Przemoczony głuchy i ogłupiały ze zmęczenia siedziałem w wykrocie zwalonego drzewa i czekałem na Niemców, a tymczasem coraz to jeszcze pojawiał się jakiś nasz niedobitek, którego odsyłaliśmy dalej do tyłu. Wreszcie zapadła noc. Niemcy nie przyszli. Tak oto niechcący stałem się jednym z tych, którzy najpóźniej zakończyli kampanię wrześniową (nie licząc Hubalczyków): jako ostatni zszedłem z ostatniej linii walki. Byłem także jednym z tych którzy pierwsi tę wojnę odczuli już od czerwca 1939 roku kiedy w całym kraju był spokój, pułk mój, jako jeden z „oddziałów pogotowia" „mieszkał" w okopach pod Mławą.

Jeszcze raz w cytowanej książeczce wspomina Marek Sadzewicz moją skromną osobę, nazywając ją tym razem podporucznikiem Władysławem Krzemińskim. Mianowicie przytacza na str. 154 fragment moich wspomnień o ostatniej kapitulacji, publikowanych bardzo dawno na łamach pisma „Tydzień":

„Żołnierze już wiedzieli, rozbijali czekamy, palili karabiny. Następnego dnia, 6 października, strzałów już nie było słychać. Tłumy żołnierzy przewalały się na wszystkie strony. Nikt nie przemawiał, nie żegnał sztandarów, nie salutował. Jechał łazik drogą, przyczepiłem się do niego z jednej strony, kolega z drugiej, jechaliśmy aby dalej, nikt nie myślał dokąd. Stanęliśmy dopiero, gdy z rowu krzyknięto: halt! Podszedł młody feldwebel z rewolwerem i odprowadził nas na bok. Zostaliśmy na boku pięć i pół lat".

No i macie: z cierpkich uwag na temat nonszalancko „puszczanych" recenzji zrobiło się bardzo osobiste wspomnienie. Trudno, niech już tak zostanie.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2 Spojrzenie znad szachownicy

Nieporozumienie towarzyskie

Podpadłszy w dość złożoną sytuację strategiczno-towarzyską czas dłuższy dumałem głęboko, jaki by tu wariant rozegrać i jak się z kabały wykaraskać nie przedłużając jałowej wymiany ciosów. Przydarzyło się bowiem, że niejaki JERZY z „Expressu" napadł był na „Odgłosy" w sposób wielce paskudny, choć zastrzegł się odszczepieniec, że czyni to ponoć z pozycji przyjacielskich. W odpowiedzi orężnie, acz z otwartą przyłbicą (z otwartą, bo w liście otwartym) wtargnął na expressowe podwórko sam LUCJUSZ W.* maltretując dla odmiany Jerzego, któremu wypomniał wszystko a nawet jeszcze więcej łącznie z kiedykolwiek spełnianymi funkcjami.

Meritum sprawy pominę, chodziło bowiem głównie o „Maxima" czyli o nic, w całej tej szamotaninie ujawnił się wszakże pewien związek pomiędzy JERZYM z „Expressu", a JERZYM P. z „Odgłosów", taki mniej więcej, jaki czytająca publiczność zdaje się przypisywać osobom Rema i Urbana. Słowem zostałem tj. zostaliśmy zdemaskowani, przy okazji zaś wydało się i to także, że mieliśmy brzydki obyczaj udzielania kierownictwu „Odgłosów" rozmaitych rad nie zawsze zresztą respektowanych.

2.

No trudno, skoro pieczęć tajemnicy została złamana — a szkoda, od dzieciństwa marzyłem bowiem, czy raczej marzyliśmy, o jakże pięknym tytule Tajnego Radcy — wypada dopowiedzieć całą resztę nagiej prawdy. A prawda jest mniej więcej taka, że istotnie doradzaliśmy „Odgłosom" drukowanie tekstów ciekawych, zamiast nudnych, co nieodmiennie spotykało się z pełnym zrozumieniem. Pewne rozbieżności zaczynały się wtedy dopiero, gdy próbowaliśmy ustalić które teksty są ciekawe, a które niebardzo.

I w tym miejscu kończy się zabawa, kończy się tytułowe nieporozumienie towarzyskie, a zaczynają schody, których stopniami są kolejne tysiące sprzedanego nakładu. Można tymi schodami wspiąć się wolniutko aż na samą górę, między prasowych potentatów, ale można też omsknąć się wpół drogi i zlecieć — za przeproszeniem — na zbitą mordę. Upadki takie kończą się z reguły źle, o czym świadczy omawiany już na tych łamach casus katowickich „Poglądów" zlikwidowanych w momencie, gdy sprzedaż netto skurczyła się do 1000 egzemplarzy.

3.

„Odgłosom" — mam nadzieję — nic takiego nie grozi, nakład konsekwentnie idzie bowiem w górę, co prawda za cenę sporych zwrotów, lecz to są zwykłe koszty zdobywania rynku, które kiedyś trzeba było ponieść i szkoda nawet, że zdecydowano się na to tak późno. Tytułom warszawskim znacznie wcześniej udzielono podobnych preferencji i choć nie wszystkie na równi wykorzystały szansę, taki „Przegląd Tygodniowy" może dziś z dumą wybijać przy główce — czyli przy winiecie tytułowej — informację o 160 tysiącach i jeszcze kilkuset drukowanych egzemplarzach.

160 tysięcy i smutny 1 (słownie: jeden) tysiąc — oto odległość dzieląca sukces od klęski.

4.

Nie wiem jaka jest aktualnie sprzedaż „Odgłosów" i nikt tego zresztą nie wie, sygnały o zwrotach docierają bowiem do redakcji przynajmniej o kilka tygodni później niż sygnały z bezzałogowych sond kosmicznych zamierzających chyłkiem opuścić nasz układ słoneczny, jaka by jednak nie była, upieram się twardo, że w samej tylko Łodzi można „Odgłosów" sprzedawać przynajmniej dwukrotnie więcej. Ten pozornie karkołomny rachunek opieram na prostej przesłance: oto magazynowe wydania gazet codziennych (a więc piątkowe, w wypadku „Głosu" — sobotnie) notują mniej więcej półmilionowy wzrost nakładu w stosunku do średnich nakładów codziennych.

Z owego gwałtownego wzrostu poczytności magazynowych wydań — zawsze jednak zawierających materiały poświęcone kulturze, a i sprawom społecznym także — dałoby się zapewne wyciągnąć coś w rodzaju wniosku, nie godzi się jednak formułować go mnie, statecznemu Jerzemu P. z „Odgłosów". Niech z podobnymi herezjami wychyla się raczej ten drugi Jerzy, iżby potem środowiska twórcze miały kogo spalić na stosie ułożonym z czasopism, które uparcie rozmijają się ze swoimi czytelnikami.

Dręczony ogniem mój nieszczęsny imiennik będzie mógł sobie przepowiadać historię Jana z Panonii i Aurelianusa, którą Jorge Louis Borges opowiada w „Teologach" kończąc tekst zdaniem zatrważająco ciemnym w swej pozornej jasności:

„Słuszniej będzie powiedzieć, że w raju Aurelianus dowiedział się, iż dla niezgłębionego bóstwa on i Jan z Panonii (ortodoksa i heretyk, nienawidzący i znienawidzony, oskarżyciel i ofiara) tworzą jedną tylko osobę".

JERZY P.

* Odgadnięcie pełnego nazwiska red. Lucjusza W. (hasło z dziesięciu liter) pozostawiam czytelnikom w formie rekompensaty za niezamieszczanie przez „Odgłosy" krzyżówek.

3 Zdarzenia i zwierzenia

Manipulacja

W ostatnich latach zawrotną karierę zrobiło słówko „manipulacja". Manipulacja oznaczała wszelkie propagandowe przekłamania i oczywiście dotyczyła wyłącznie propagandy oficjalnej. Rzecz prosta, owa oficjalna propaganda dotknięta była tym wynaturzeniem, ale dopiero następne miesiące i lata miały udowodnić, że w dziedzinie manipulacji daleko bardziej sprawna jest propaganda opozycji.

I tak zresztą jest do dziś. Pozostawiam na boku działania wszelkich polskojęzycznych rozgłośni, bo tam manipulacja dawno już przerodziła się po prostu w propagandową dywersję.

Pozostańmy więc przy manipulacji krajowej. Oto tygodnik, który powszechnie uważany jest za tubę opozycji. Manipulacja występuje tam nieraz w stanie klinicznie czystym.

Oto notatka, która głosi, że władze odwołały ze stanowisk dyrektorów teatrów: Gustawa Holoubka i Adama Hanuszkiewicza. Następne zdanie notatki informuje, że Holoubek i Hanuszkiewicz podejmą prace reżyserskie na Zachodzie.

Czy są to nieprawdziwe informacje. Skądże znowu — oba człony tej notatki polegają na prawdzie. Manipulacja dotyczy natomiast sposobu spreparowania informacji. Czytelnik pomyśli bowiem tak: „Wywalili ich z teatrów w Polsce i teraz muszą pracować na Zachodzie".

Otóż nieprawda. Obaj wybitni artyści kontrakty na pracę za granicą podpisali dużo wcześniej. Nie dlatego musieli wyjechać za granicę, że usunięto ich ze stanowisk, zresztą ile tysięcy ludzi musiałoby opuścić kraj, gdyby usunięcie ze stolka dyrektora mogło być poważnym motywem wyjazdu, a więc nie dlatego wyjechali, że odeszli ze stanowisk, tylko dlatego, że dużo wcześniej tak zaplanowali swoją karierę zawodową. I — bądźmy szczerzy — finansową.

Spreparowanie prawdziwych informacji w taki sposób, że sprawiają one na Czytelnikach wrażenia i odczucia całkowicie fałszywe — jest właśnie istotą manipulacji.

Ostatnio znów przeczytałem, że Stowarzyszenie Dziennikarzy PRL protestowało gorąco, gdy związki twórcze nie wpuszczały dziennikarzy na swoje zebrania. Na I Zjeździe SD PRL — ubolewa tygodnik — nie akredytowano żadnych dziennikarzy, a informacje można było uzyskać tylko w biurze prasowym przy Foksal.

Otóż: — protestowali gorąco dziennikarze, gdy poszczególne związki i stowarzyszenia nie wpuszczały polskich dziennikarzy na swoje zebrania.

Nie pamiętam, aby ów tygodnik choćby słówkiem zaprotestował lub wyraził zdziwienie, gdy w Polsce polskich dziennikarzy nie wpuszczano na obrady polskich związków... Wtedy ów tygodnik uważał, że jest to normalne, że dzieje się tak w interesie spokojnych, nie zakłóconych obrad, których nie zakłócały oczywiście liczne ekipy amerykańskiej telewizji, ale mogła zakłócić obecność dziennikarza polskiej prasy...

Czemu więc ów tygodnik ze świętą naiwnością próbuje biadać i pouczać? Odpowiedź jest prosta — oto jeszcze jeden popis manipulacji.

JERZY WILMAŃSKI

4 Sport

Gratulacje i przygany

Najpierw może gratulacje. Przede wszystkim dla Waldemara Marszałka, który został mistrzem świata w konkurencjach motoro-wodnych. Pamiętamy wszyscy, że jeszcze nie tak dawno był poważnie chory po odniesionej kontuzji. Wydawało się, że już nie wróci na tor wodny. Nie tylko wrócił, ale został ponownie mistrzem świata. Postawa godna podziwu i naśladowania.

Gratulacje należą się też młodym piłkarzom, którzy na mistrzostwach świata w Meksyku pokonali — co prawda dopiero w dogrywce — zespół Korei Południowej i wywalczyli brązowy medal. Dobra to zapowiedź dla przyszłości piłki nożnej. Jest to potwierdzenie dotychczasowej pozycji polskich piłkarzy, chociaż starsi koledzy brązowych medalistów z Meksyku nie dali rady zakwalifikować się do mistrzostw Europy. Ale sukcesy młodych pozwalają mieć nadzieję, że z zakwalifikowaniem się do mistrzostw świata w 1986 roku nie będzie tak źle. Może też nie będzie tak źle z zakwalifikowaniem się do rozgrywek olimpijskich w piłce nożnej. Ale to przyszłość. Teraźniejszość nie jest tak różowa i obiecująca.

Co ją charakteryzuje?

Przede wszystkim zupełne lekceważenie Pucharu Polski. Nie jest to przypadek, że pierwszoligowe drużyny nie walczą o Puchar Polski. Ich to po prostu od dawna nie interesuje. Całą swoją uwagę poświęcają tabeli ligowej. I tak o Puchar Polski, będą walczyli trzecioligowa Lechia Gdańsk i drugoligowy Piast Gliwice. Trzecioligowa Lechia pokonała w walce o finał pierwszoligowy Ruch, który przez pewien czas miał szanse walczyć o tytuł mistrza Polski. A drugoligowy Piast Gliwice pokonał... aktualnego mistrza Polski, czyli Lecha Poznań. Mogę zrozumieć poznańskiego Lecha, że walcząc o tytuł mistrzowski zlekceważył Puchar Polski. Mogę zrozumieć chorzowski Ruch, że mając szanse na wywalczenie tytułu mistrza Polski potraktował Puchar Polski lekceważąco. Ale nie mogę zrozumieć PZPN, że nie ma w tej sprawie żadnej polityki, że nie pojmuje, iż zdobycie Pucharu Polski daje również możliwość podjęcia walki na zagranicznych boiskach. Wyobraźmy sobie, że Puchar Polski zdobędzie trzecioligowa Lechia z Gdańska — niezależnie od tego, czy awansowała do drugiej ligi czy nie, a właśnie awansowała — i zaraz w pierwszej kolejce wylosuje Juventus z Turynu, który też ma szanse na zdobycie Pucharu Italii. Wyobrażacie sobie ten mecz? Bo ja nie. Również nie wyobrażam go sobie, jeśli Puchar Polski zdobędzie drugoligowy Piast Gliwice.

PZPN musi coś z tym fantem zrobić. Zdobycie tytułu mistrza kraju czy pucharu nie jest już tylko sprawą wewnętrzną, ale „grozi" rozgrywkami na zagranicznych boiskach. Wylosowanie silnych drużyn, a ktoś je musi wylosować, odsłania na ogół braki krajowej ligi. I u nas tak się dzieje od lat. Nie tylko w Pucharze Zdobywców Pucharu zresztą.

Szczerze gratuluję poznańskiemu Lechowi mistrzowskiego tytułu. Solidnie sobie na to zapracował. W ubiegłym roku poznański Lech wywalczył Puchar Polski, zetknął się już z zagranicznymi drużynami, będzie mu łatwiej w tym roku. Dwukrotne wejście na piłkarski szczyt dowodzi konsekwencji w pracy klubu. Cieszy to, że przybywa nam klasowych drużyn, które mogą i zdobywają doświadczenia w walce na międzynarodowych boiskach. Bez tych doświadczeń nie ma co myśleć o sukcesach.

Niektórzy chętnie wspominają, jak to na europejskich stadionach grywali Górnik Zabrze czy warszawska Legia. Wspomnienia rzecz piękna, ale porównania nietrafne. Inne to były czasy, inne drużyny, inni piłkarze, inne sposoby gry. Zamiast wspominać, lepiej pomyśleć, co zrobić, aby i dziś nasze drużyny nie schodziły z boisk ze wstydem. Działacze i komentatorzy na ogół więcej czasu poświęcają wspominkom niż myśleniu o przyszłości.

Nie ulega wątpliwości, że najbardziej doświadczoną drużyną w zmaganiach z zagranicznymi przeciwnikami jest Widzew. I nawet nie żałuję, że w tym roku nie zdobył mistrzowskiego tytułu. Po pierwsze — trzeba było odmłodzić skład i ten młody skład dowiódł, że można na niego liczyć. Po drugie — trzeba było walczyć z silnymi przeciwnikami i dojście do półfinału w pucharowych meczach europejskich potwierdziło klasę tej drużyny. Po trzecie — drużyna będzie grała w Pucharze UEFA, a więc utrzyma kontakt z zagranicznymi zespołami i to wcale nie takimi słabymi. Może tym razem uda się wejść wyżej niż w tym roku? Gratuluję więc tytułu wicemistrzowskiego i nie tracę nadziei na przyszłe sukcesy.

Choć nie ma wielu powodów do radości z minionego sezonu, gdyż poziom rozgrywek nie był najwyższy, to przecież jest odrobina nadziei na przyszłość. Oto bowiem wiele klubów dokonało śmiałych posunięć i odmłodziło swoje zespoły. Stąd i sukcesy młodych piłkarzy w Meksyku. Przykładem takiego śmiałego posunięcia może być między innymi drużyna ŁKS. Siódme miejsce na koniec sezonu to nie jest tak źle. Młodzi piłkarze ŁKS będą zapewne starali się zająć w przyszłych rozgrywkach znacznie wyższą lokatę, czego im serdecznie życzę. Teraz tylko trzeba odpocząć i dobrze przygotować się do jesiennej rundy. O czym powinny pomyśleć wszystkie zespoły piłkarskie.

BOGDA MADEJ

Redaguje zespół Ryszard Binkowski Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki Grażyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji) Igor Sikiryński (kier. działu literackiego) Karol I Stryjski Janusz Szymański Glanc (grafik) Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz Włodzimierz Krzemiński Dariusz Milerski Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438, Łódź. Telefony sekretariat i redaktor naczelny 652-44 sekretarz redakcji 680 99 publiczści 677 70 Redakcja nie zamówionych rekopisów nie zwraca zastrzega sobie również prawo do skrótów Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW Prasa-Książka-Ruch" i urzędy pocztowe Cena prenumeraty rocznej 1040 zł Prenumerate ze zleceniem wysyłki za granice przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139 Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc dla zleceniodawców indywidualnych o 100 proc dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul Piotrkowska 96 kod 90-103. Łódź Druk Państwowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 1616. L-1

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Pasożyt to ma klawe życie...

Spotkać ich można na każdym kroku. Dosłownie. Przed sklepami, gdzie sprzedawane jest tanie wino, pod budkami z piwem, w każdym niemal parku, na bazarze, pchlim targu etc. Typ (a może stereotyp?) człowieka jest zawsze podobny: nie ogolony, podkrążone oczka, cuchnący wczorajszą wódeczką. I do tego — drobny złodziejaszek, chuligan, koniecznie niepracujący. Właśnie: niechby i pił, pod tą budką wystawał, ale on nie pracuje, do żadnej fabryki „na zmiany" nie gania! A tego tak zwana opinia publiczna nie zniesie. I krzyk się podniósł w całym kraju wielki na tych nierobów, pasożytów, obiboków zerujących na zdrowym ciele społeczeństwa...

Jedni twierdzili, że najlepiej do więzień z nimi, karne kompanie stworzyć, obozy pracy, jakieś kamieniołomy im się śniły. Przeciwnicy opowieści umoralniające wówczas snuli, o humanizmie gęsto wspominali, a od metod kodeksowi tego dzikusa Hammurabiego bliskich się odżegnywali. Podobno byli i realiści, którzy nieśmiało twierdzili, że tego typu margines jest nie do uniknięcia, nie tylko w dobie kryzysu, istnieje w każdym społeczeństwie, w każdym ustroju. Ale kto by ich tam słuchał! Stworzyć tylko trzeba jakieś rozsądne normy prawne i zaraz się nieroby do pracy rączo zabiorą. Wszyscy, jak jeden mąż!

No i po licznych przymiarkach i dyskusjach mamy dziś ustawę z 26 października ubiegłego roku. Zwie się malowniczo: „O postępowaniu wobec osób uchylających się od pracy". I obowiązuje od 1 stycznia 1983. Czyli już prawie pół roku. Warto więc się przyjrzeć nieco bliżej i samej ustawie, i praktycznym jej konsekwencjom.

PRACA USZLACHETNIA —

— to się może zdarzyć. ALE nie jest ona obowiązkiem. To znaczy jest, ale wyłącznie moralnym. Nikogo w tym kraju do roboty zmusić nie można, ot co! I to jest podstawowy szkopuł w ostatnio wymyślonej zabawie, do której wprzągnięto armię ludzi i która powoli zaczyna się rozkręcać. A jej zasady bo grać może teoretycznie każdy, omówmy sobie na poczekaniu.

W grze istnieje sporo wariantów, z jednej strony udział bierze ON, czyli pasożyt, nierób, popularnie zwany lumpem i wspomniana armia ludzi — pracowników administracji różnych szczebli, wydziałów zatrudnienia, kolegiów, milicji, przedstawicieli zakładów pracy itd. Wszyscy mają jedno podstawowe zadanie — nakłonić przeciwnika do pracy lub nauki. Teoretycznie — „są w przewadze". Ale też zasady gry biorą w obronę owego samotnego gracza, który po prostu nie ma chęci do roboty. Jeśli tylko będzie dzielny i konsekwentny w działaniu, to zawsze wygra wielomiesięczną batalię! Do pracy nie pójdzie i figa — nikt go nie zmusi!

Gra zaczyna się w momencie, gdy zgodnie z wymogami instrukcji, pardon — ustawy, ów niepracujący minimum trzy miesiące osobnik płci męskiej ma się zgłosić do terenowego organu administracji. No, to jest podstawowy ruch: on się po prostu nie zgłasza. Przestraszeni — przychodzą. Jeden tłumaczy się skutecznie, że go żona utrzymuje, i nie musi pracować, drugi, że jest po prostu młodym rencistą. I cześć. Nic im nie można zrobić.

Ale zawodowcy nie przychodzą w ogóle. On się tłumaczyć nie będzie. Ale teraz przeciwnik ma ruch. Trzy miesiące się lump nie zgłosił (a wezwać go w tym czasie oficjalnie nie wolno), a wszystkie dane mamy, to włącza się do akcji milicja i facet ma kolegium. Grozi mu grzywna albo ograniczenie wolności. Czyli parę tysięcy albo ileś tam godzin dozorowanej, nieodpłatnej pracy, choćby przy myciu wagonów tramwajowych. Powiedzmy, że wybieramy wariant: grzywna. Za zawodowca płaci zwykle mamusia rencistka albo nie płaci nikt i nawet najbardziej wytrawny komornik jest bezradny.

Dopiero po uprawomocnieniu się orzeczenia kolegium można zawodowca wezwać na rozmowę urzędową. Jest się już wtedy w pasożytniczej ewidencji, co jednak niewiele zmienia. Po prostu „zawodnik" ma teraz do wyboru

KILKA WARIANTÓW GRY

Może się choćby nie zgłosić na wezwanie. Urząd jest cierpliwy — wysyła drugi papierek. Gracz jest uparty — milczy. W ostateczności może go doprowadzić milicja, można mu sypnąć znów kolegium (za niestawienie się na wezwanie) z konsekwencjami jak wyżej. No, ale zakładamy, że w końcu do rozmowy dochodzi. Jeśli wstrętny nierób nie przedstawi uzasadnionych przyczyn swego bezrobocia to urząd musi się teraz zająć znalezieniem dla niego pracy lub nauki. Jeśli wyrazi chęć podjęcia pracy (a nie musi...), to zaczyna się kolejna odsłona zabawy. Atrakcyjną formę przybiera ona m.in. w przypadku zgłoszenia się do dzielnicowego urzędu. Spragniony pracy klient po rozmowie dostaje tzw. przekaz, z którym w ciągu trzech dni ma się zgłosić w wydziale zatrudnienia. Po wizycie tam ma znów trzy dni na podjęcie pracy w danym zakładzie. Ale nie tak od razu. Nawet jeśli przypadnie firmie do gustu, często przechodzi różnorodne badania specjalistyczne (ludzi się u nas chroni...), mija gdzieś tydzień, pobiera butki, jakieś ubrania robocze i rzuca pracę. No bo kochani: jemu ten „przydział" potrzebny jest tylko i wyłącznie w celu zdobycia upragnionego stempelka w dowodzie osobistym! Co prawda w Łodzi prezydent miasta zobowiązał wszystkich dyrektorów miejscowych zakładów do wpisywania do dowodu stosownych adnotacji dopiero po miesiącu pracy. Jest to pewna trudność, ale nie dla zawodowca, bo on dostanie od razu świadectwo pracy — i to mu wystarczy w czasie legitymowania przez milicjanta.

A jak ma stempelek czy świadectwo — to i minimum trzy miesiące spokoju. Po porzuceniu pracy zakład czeka trzy dni (może choruje biedny i zaświadczenie przyniesie?...), czasem czeka dłużej (dobry fachowiec, może jednak do nas wróci?...). Potem rusza dopiero lawina papierkowych zawiadomień o porzuceniu roboty, a facet krąży gdzieś po mieście jako zatrudniony. Ciekawostek jest w tym miejscu więcej — nawet jak się bowiem ściągnie go znów na rozmowę do urzędu, to nikt mu nie ma prawa tego stempelka anulować. Wyłącznie zakład pracy, ale ten chce się z nim jeszcze rozliczyć za ubranko, pobrane narzędzia (dawno sprzedane na bazarach), więc sprawa się ciągnie. A zawodnik jest wciąż wygrany — przecież nie pracuje!

Są jednak i tacy maniacy, którzy nie biorą w ogóle wspomnianego przekazu i we wstępnej rozmowie oświadczają, iż żadnej pracy nie zamierzają podjąć. Po prostu. Nie lubią i już. O kochany — tu zaczyna się trudniejszy wariant gry: samotnemu, odważnemu graczowi grozi wpisanie do „wykazu osób uporczywie uchylających się od pracy". Brzmi to zachęcająco, ale nie takie to proste. Decyzję w tej sprawie musi wydać organ administracji, czyli na przykład naczelnik dzielnicy. Czekamy dwa tygodnie na uprawomocnienie się, w tym czasie niezadowolony klient może odwołać się do wyższej instancji. Gdy ta utrzyma „wyrok" w mocy — może jeszcze „założyć rewizję" do Naczelnego Sądu Administracyjnego!

GDY ZAWODNIK MA PECHA

i nie dostarczy na przykład na czas jakiegoś zręcznego zaświadczenia (choćby że rozładowuje wagony na bocznicy trzy razy w miesiącu) — trafia wreszcie do nieszczęsnego wykazu. Tylko dlaczego znów nieszczęsnego? Dla zawodowca jest to obojętne, czy jest w wykazie czy nie. No i co? I

nic. Teoretycznie można go wciąż namawiać, łoić kolegia z miernym raczej skutkiem. Prawdziwy, otrzaskany z przeciwnościami życia gracz może pójść „siedzieć" za włamanie do kiosku, ale nie za uchylanie się od pracy.

Pewne niebezpieczeństwo niesie co prawda ze sobą tak zwany stan klęski żywiołowej. Jakaś powódź, zima stulecia, czy choćby plaga stonki. Szybciutko Rada Ministrów może wówczas podjąć decyzję (w drodze rozporządzenia) o skierowaniu kolegów figurujących w wykazie do stosownych robót. Tylko że jak się bliżej nad tym tematem zastanowić, to nie takie znów straszne te prace. Klientów trzeba przecież jakoś skoszarować, zapewnić ubranka, posiłki regeneracyjne, opiekę lekarską, środki transportu. Znając naszą organizacyjną zaradność — wszystkie znane mi klęski żywiołowe skończą się sporo wcześniej.

A gdyby jednak doszło do pracy? No, za ciężka to ona nie byłaby. Reguluje to stanowczo artykuł bodaj 15 opisywanej ustawy. Wyraźnie się tam wspomina, że zawodnicy nie mogą pracować dłużej przy robotach publicznych jak 60 dni w roku, nie dłużej niż osiem godzin na dobę! (można się spocić, albo odcisków na rączkach dostać!) No, w szczególnie uzasadnionych przypadkach można ich namówić na godzin dwanaście, ale już w dni ustawowo wolne od pracy — nie! Już to widzę: powódź, katastrofa, woda wali ze wszystkich stron, a oni leżą wokoło, wypoczywają, papieroski ćmią, bo jest niedziela! Piękne życie. Nie wolno ich też nakłaniać do wykonywania robót szczególnie uciążliwych. Jasne — wojsko na przykład może, ludzi się skrzyknie, w czynie społecznym pracę wykonają, ale obiboki życiowe — nie. Bo ustawa mu to gwarantuje. Nie wspominam już o warunkach szkodliwych dla zdrowia (chodzi zapewne o pracę w słońcu, albo — nie daj Boże — w wykopie jakimś!). Żaden tzw. pasożyt-zawodowiec nie może z powodu szkodliwych warunków ucierpieć...

Czyli — żyć nie umierać:

FACET W WYKAZIE FIGURUJE

urząd skarbowy trochę go podgląda od czasu do czasu, z czego się cwaniak utrzymuje, ale urzędy go już praktycznie nie wzywają. Bo i po co? Czekamy na klęskę żywiołową! Ktoś dociekliwy może spytać jednak: „A jak nas powiedzmy, zawieje, a taki zadeklarowany obibok się nie zgłosi na wezwanie?" No, to może „złapać najwyższy wymiar kary: grzywna lub dwa lata ograniczenia wolności. Czyli na przykład obowiązek wykonania nieodpłatnej, dozorowanej pracy na cele publiczne. Pracy, do której oczywiście klient może się nie zgłosić...

* * *

Ilu ich jest? Tych nierobów, obiboków, tych, którzy na mocy ustawy — grać będą z urzędami w opisaną grę? Według stanu na koniec kwietnia — około 19 tysięcy, którzy zakwalifikowali się do wstępnych eliminacji. W Łodzi i województwie (dane z ostatnich dni maja br.) — 1284. Z tego 445 podjęło już pracę lub naukę. Na jak długo? Tego nikt nie wie. A reszta?

Dane zmieniają się jednak z dnia na dzień. Gra dopiero nabiera rumieńców, wysyłane są wezwania, prowadzone rozmowy. Urzędy rozpoczęły pracę na dobrą sprawę dopiero od kwietnia. Poprzednie trzy miesiące czekano, aż się sami zgłoszą... Ale w stosunku do 34 bodaj zawodników wszczęto już wspomniane wyżej postępowanie o wpisanie do wykazu najbardziej uporczywych.

Urzędom, co by nie powiedzieć, przybyło masę uciążliwej pracy, sprawdzić trzeba setki ludzi, którzy przez lata minione uzbierali się w teczce z napisem „Uchylający się, czytaj — nieroby". Były tam i panie, paru umarło, nie można wykluczyć, że paru się „nawróciło". W samym śródmieściu stosowny wydział sprawdzić musi dane dotyczące blisko tysiąca osób.

Różne wydziały, w różnych dzielnicach, różnie zresztą pracują. Zawalone inną robotą, nie zawsze nadążają z nowymi obowiązkami. Zabawna historyjka o nowatorskiej działalności ukazała się zresztą kilka dni temu w jednej z łódzkich gazet codziennych. W jednej z dzielnic znalazło się już ponoć w ewidencji około tysiąca nierobów, gdy faktycznie było ich raptem ponad trzydziestu.

Z tymi nierobami — tak na marginesie — to różnie zresztą bywa. Piją, rozrabiają, są autorami wszystkich ulicznych awantur. Tymczasem, gdy milicyjny patrol legitymuje kilku rozrabiających pod kioskiem z piwem facetów, okazuje się nierzadko, że to młody rencista, albo „dziś robi na noc", albo dopiero co wyszedł z pracy. I każdy ma stempelek — czyli jaki z niego pasożyt?

Ustawa weszła w życie — jest realizowana. Z jakim skutkiem — zobaczymy. Osobiście też chciałbym któregoś dnia ujrzeć zgrabne kolumny obiboków w jednakowych uniformach, z łopatami na ramieniu, maszerujących z werwą do jakiejś społecznie użytecznej roboty. I nucących ochoczo: „Hej ho, hej ho, do pracy by się szło..." Chociaż ze śpiewem gorzej, bo wódeczkę sprzedają teraz dopiero od godziny 13. Ale to już zupełnie odrębny temat.

Słowo prezesa

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Prasa w naszym mieście podała tę wiadomość: faktycznie, podczas niedawnego zebrania, wybrany zostałem prezesem Zarządu Oddziału Łódzkiego ZAKR. O tym związku twórczym wspominałem w swoich felietonach wielokrotnie. ZAKR — to skrót. Pełna nazwa, po kilku transformacjach, brzmi Związek Polskich Autorów i Kompozytorów ZAKR. Znajomi widząc w klapie mojej marynarki związkowy znaczek pytają często, co oznacza owo „R", ostatnia literka skrótu — otóż wiąże ona działania twórcze członków z rozrywką.

ZAKR opiera swoje istnienie na własnym statucie i jest traktowany — przynajmniej z założenia — równoprawnie w stosunku do innych związków twórczych działających w naszym kraju, takich jak: Związek Literatów Polskich czy Związek Kompozytorów Polskich. Jednakże jest coś, co wyróżnia ZAKR spośród innych tego typu organizacji twórczych — mianowicie Związek Polskich Autorów i Kompozytorów skupia przedstawicieli dwóch całkowicie różnych dziedzin. O ile w przypadku ZLP wiadomo, że członkami związku są ludzie piszący utwory z zakresu literatury, o ile w przypadku ZKP wiadomo, że zrzesza on ludzi komponujących utwory muzyczne, o ile nawet w wypadku Związku Polskich Artystów Plastyków wiadomo, że na liście członków znajdziemy osoby uprawiające malarstwo, grafikę czy rzeźbę (a więc nieco odmienne, ale w sensie artystycznego wyrazu podobne gatunki), o tyle w odniesieniu do wspomnianego wcześniej ZAKR-u możemy stwierdzić, iż tworzą go ludzie zawodowo parający się małymi formami literackimi i muzyką rozrywkową. Pozostaje więc ZAKR w pewnym sensie związkiem elitarnym, wypadkową kierunków wywodzących się z dwóch źródeł i dążących w stronę lekkiej muzy — rozrywki.

Związek Polskich Autorów i Kompozytorów ZAKR liczy aktualnie blisko pięciuset członków. Notabene: ostatnio, bo 29 maja br., odbyło się Walne Zgromadzenie tego związku w Warszawie. Podczas zebrania wybrano także na kolejną trzyletnią kadencję nowe władze. Prezesem Zarządu Głównego został poeta, dziennikarz i autor tekstów wielu znanych piosenek — *Jan Zalewski*, natomiast funkcję sekretarza generalnego ZAKR-u w wyniku głosowania powierzono *Jerzemu Andrzejowi Markowi*, kompozytorowi o ustalonej od lat renomie.

Nasz — piszę, jak na prezesa przystało — Oddział Łódzki jest również reprezentowany we władzach centralnych: po jednej osobie wybrano łodzian do Zarządu Głównego i Sądu Koleżeńskiego. To dobrze, że będą oni uczestniczyć w pracach władz ZAKR-u, bowiem Oddział Łódzki jest po warszawskim (skupia ponad połowę stanu osobowego członków) bodaj największym w kraju. Obecnie liczy on sobie trzydzieści jeden osób, z czego kilka mieszka i działa w Kielcach, a znaleźli się u nas z tytułu rejonizacji. Nie tak dawno zastanawialiśmy się z poprzednim prezesem oddziału nad tym, jakie mamy u nas w Łodzi „zakrowskie towarzystwo" — wyszło na to, że wcale nie najgorsze. Wręcz przeciwnie. Oto w szeregach Oddziału Łódzkiego ZAKR wymienić możemy: dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta, dyrektora Orkiestry Polskiego Radia i Telewizji, a także jej drugiego dyrygenta, prezesa Stowarzyszenia Artystycznego, zastępcę redaktora naczelnego „Expressu Ilustrowanego", kierownika muzycznego Teatru im. Jaracza, prezesa zawieszonego Związku Artystów, szefa artystycznego „Estrady Łódzkiej" i kogoś tam jeszcze z nie byle jaką funkcją. Co ważniejsze, wszyscy z wymienionych piszą lub komponują w zależności od kompetencji. Jeżeli dodamy do nich parę nazwisk dobrze znanych z estrady, co najmniej dwóch liczących się kompozytorów muzyki filmowej, czterech wybitnych instrumentalistów i trochę więcej wysoko cenionych aranżerów (bo przecież to w wielu wypadkach się pokrywa), to uzyskamy obraz środowiska twórczego, jakiego pozazdrościć nam mogą inne duże ośrodki miejskie.

W branży mówi się, że przyjęcie do ZAKR-u stanowi dla autora czy kompozytora formę autentycznej nobilitacji. Nic dziwnego, członkami tego związku są przecież twórcy tej miary, co Agnieszka Osiecka, Katarzyna Gaertner, Wojciech Młynarski, Seweryn Krajewski, Ernest Bryll, Piotr *Figiel*, Janusz Kondratowicz i inni. O tym, że Komisje Kwalifikacyjne w obydwu sekcjach pracują bardzo skrupulatnie, a sito jest gęste, niech świadczy fakt, że w Sekcji Kompozytorskiej przedłużono staż kandydacki (a więc nie przeniesiono w poczet członków rzeczywistych) na następny rok *Krzysztofowi Krawczykowi*, a podobny los spotkał w Sekcji Literackiej *Andrzeja Mogielnickiego*, który jest w ostatnich latach dostarczycielem tekstów do całego szeregu radiowych przebojów. Dla Komisji Kwalifikacyjnych decydującym argumentem jest wartość artystyczna utworu.

Wbrew pozorom tekst piosenki nie tak łatwo napisać. Łatwo tymczasem krytykować. Na antenie lokalnego łódzkiego programu pojawiła się niedawno audycja „Superbazar", która tym właśnie się zajęła. Byłem bodaj drugim z kolei wziętym na warsztat prześmiewców. Przylepiono mi etykietę grafomana odczytując — powtarzam — odczytując mój tekst piosenki pt. „Stań na głowie", który sam w sobie jest satyrą i parodią. Żeby było śmieszniej przeczytano również — odpowiednio dozując samogłoski — wokalizę wykonywaną przez Renatę Danel, co zabrzmiało tak, jakby przekazując zapis nutowy tłumaczyć: „szesnastka to pionowa kreska z brzuszkiem zamalowanym na czarno i dwiema chorągiewkami". Etykietkę grafomana przylepił mi Włodzimierz Łuszczykiewicz i — choć poinformowano mnie, że za kształt audycji odpowiada kilkuosobowa ekipa — to właśnie on zaglądał publicznie w mój życiorys. Ciekawe, czy gdybym ja podał parę faktów z biografii „dziadka Włodka", ot choćby z ostatnich trzech lat, byłoby to dla niego przyjemne? Wątpię i nie podaję. Nie będę też przytaczał jego literackich prób, bo mogłoby to zakrawać na kopanie leżącego. Jestem zdania, że można serio traktować zarzuty kogoś, kto jest w danej dziedzinie autorytetem, ale jak ja miałbym bez protestu przyjąć atak człowieka, który z opłakanym skutkiem sklecił w życiu kilka tekstów piosenek? Tego sobie wyobrazić nie potrafię — słowo prezesa.

Przy okazji dodam, że tekst „Stań na głowie" cytował mój felietonowy ulubieniec — Jerzy Kijo (w ten sposób podtekst staje się czytelny). Dziwne, że ten młody człowiek zapomniał, iż piosenka „Stań na głowie" została zarejestrowana jesienią 1978 roku, a w sierpniu 1979 roku on właśnie na antenie ogólnopolskiej przeprowadzał ze mną wywiad ze zgoła innych pozycji. Nie wydawał się wówczas zaskoczony moją współpracą z Renatą Danel, ba — skwapliwie zapowiadał nasz wspólny utwór „Wszystko w jednym słowie" (czołowe miejsce w Plebiscycie Studia „Gama" na piosenkę roku 1978, przebój sierpnia 1978, drugie miejsce w plebiscycie „Interstudia"). Chciałoby się powiedzieć: tempora mutantur et nos mutamur in illis.

Póki co — twórcom „Superbazaru" dedykuję popularną ostatnio piosenkę z repertuaru Krystyny Prońko „Jesteś lekiem na całe zło". Dlaczego właśnie tę? Otóż wykonawczyni śpiewa w niej „Oto cały ty, NIEWYJĘTY ty...". Myślę, że te słowa można śmiało skierować do któregoś z panów przygotowujących wspomniany magazyn radiowy.